
PAMIĘTNIKI
MEJ MŁODOŚCI





Cz Wołyńska
12

PAMIĘTNIKI

mej młodości

Jeśli kiedy na te sny pamięci
Wzrok Twój upadnie i spocznie przez chwilę,
A pierwsze słowo do dalszych zachęci,
I poznasz serce, co uczuło tyle; —
Witajże się westchnieniem z tą falą młodości,
Która mię niosła przez Niebo miłości . . .

Pamiętniki mej młodości

O Czasie, Czasie, gdzież są owe chwile,
Co mi tak skwitły jak kwiatek podcięty?...
Wszystkie dziś w jednej spoczęły mogile -
W sukni wspomnienia ująłem ich szczęty...

I

Mam więc opisać dzieje swego życia.

Jakże was powitać moje lata młodociane, czy przycisnąć do serca i ogrzać westchnieniem, czy wspomnieć obojętnie bez współczucia i żalu? Och, miło to zajrzeć w tę otchłań bezdenną, w której nasze szczęście bezpowrotne leży, miło je ujrzeć raz jeszcze i choć wyobraźnią upieścić, ale i bolesno zarazem!... Nie jedna łza upadnie na różową wstęgę marzenia, nie jedno westchnienie pogoni za ubiegłą przeszłością i zapłacze u stóp krzyża wśród cierni! Ale po każdej łzie trochę lżej na sercu, po każdem westchnieniu jakaś wewnętrzna pociecha ogarnia nam piersi i poznajemy, że radość i smutek to dwa nierozłączne ogniwa jednegoż uczuć łańcucha. Nie jeden uśmiech radosny zmienia się wkrótce w bolesne ~~ust~~ wykrzywienie, nie jedna boleść gniotąca nam piersi wykwita w listki nadziei... A wszystkie nasze wspomnienia tak cudnie, tak dźwięcznie splatają się w wieniec, że żadnego z nich wyłączyć nie można; wszystkie kochamy zarówno, bo wszystkie są dziećmi jednej matki: w jednem one sercu wykwitły i rozwinęły się w kwiaty. Witajcie mi więc moje drogie

kwiatki, witajcie, niech Was przycisnę do piersi, bo tęskno mi, smutno mi jakoś... Wy bądźcie tym balsamem co koi smutki i radość przywraca licu, rozpędźcie te chmury, co mi dziś czoło zaległy i zagrajcie mi pieśnię przeszłości!...

Gniazdem mojem jest ów starożytny Kalisz, ognisko Wielkopolski, co pamięta i kolebkę mej Ojczyzny i grób naszych starożytnych dziejów. Przecięty kilku odnogami Prosny, leży w dolinie i wszystkie jego ulice, albo wybiegają ku rzece, albo też są położone nad skrętami Prosny. Usypane nad jéj brzegami wały, ocienione drzewami są miłem miejscem przechadzki Kaliszan. Kalisz przetrwał rozliczne klęski: szczególniej też ogień i wojna nieustannie go niszczyły. Wskutek ognia zgorzało Stare Miasto, gdzie dziś znajduje się wieś tegoż imienia, a i miasto obecne często wskutek ognia niszczało. Ale za to zabudował się Kalisz murowanemi domami, których dziś bardzo wiele spostrzedz można.–

Dziejowe karty Kalisza ciągłemi są wojnami zapisane. Najstraszniejszą dlań była wojna Szwedzka za Augusta II 1706 r. Wojska rosyjskie popierając Augusta przeciw Leszczyńskiemu, pobiły na głowę Szwedów przy wsi Zawady, dzisiaj Zawodzie i zajęły Kalisz. Dotąd dochowały się wspomnienia o téj bitwie; widać jeszcze znaki czworoboku w polu i

ogromne mogiły, które lud tameczny Szwedzkiemi górami nazywa. Od czasu do czasu wykopują z nich zardzewiałą oręż. Wtedy to Kalisz mocno ucierpiał, bo trzy czwarte części miasta z Kościołem Sgo Mikołaja zgorzały. — Niedługo potem, po wyjściu wojsk rossyjskich, zostawione przez nich morowe powietrze prawie całą ludność wygubiło. — Tak więc Kalisz jest jedynem może miastem, w dziejach którego widzimy wszystkie nieszczęsne koleje, jakie nasz kraj i naród przechodził. Dzisiejsza ludność miasta wynosi około 13000. Oprócz Polaków znajduje się tu wielu żydów żyjących zwykłym sobie zarobkiem i Niemców osiadłych tu za rządów Pruskich. Niemcy pozakładali różne wyrobnie, z pomiędzy tych najwięcej kwitną wyrobnie sukna.

Kalisz obecnie posiada pięć kościołów prawowiernych, jeden luterski i jeden Rossyjski. Najstarożytniejszym jest Kościół i Klasztor X. X. Franciszkanów, założony przez Bolesława Pobożnego Xięcia Kaliskiego, dalej idzie Kościół Sgo Mikołaja Kanoników regularnych, odnowiony po pogorzeli 1706 r., także dawnych sięgający czasów; nakoniec Fara, czyli Kościół P. Maryi w XV wieku założony, a w nowszych czasach odbudowany, po zawaleniu się starego w 1783 r. — Kalisz ma ładne okolice, które są zwykle letnią przechadzką jego mieszkańców. —

./.

jakoto: Szczypiorno, Nosków, Majków, Winiary, Rypinek, i inne. —
W owym to Kaliszu przyszedłem na świat w dniu 31go Grudnia 1840 roku. Nie pamiętam matki, bom ją czteroletnim dzieckiem utracił i zostałem sierotą... O! biada temu, kto matkę młodo utracił, kto żył tylko ciągle zagrobowem westchnieniem bez nadziei na macierzyńską opiekę!... Dla niego młodość będzie życiem polnego kwiatu, co swobodny wolném oddycha powietrzem a przecież nie wybujał, bo wystawiony na wichry i burze! Biada temu, kto niema komu trosk swych i smutku powierzyć, komu nikt boleści nie osłodzi i łzy nie obetrze!.. Dla niego często ziemia jest bezbarwną pustynią, na której rzadko listek pociechy, a nigdy ochłody nie znajdzie. —
I ja także byłem sierotą. Ojciec mój, Urzędnik Rządu Gubernialnego Kaliskiego, po złączeniu tegoż z Warszawskim, był zmuszony wyjechać do Warszawy; trudno było wdowcowi samotnemu zabierać mnie z sobą — zostałem więc na wychowaniu u rodziców mej matki. —
Tu to przebiegł pierwszy okres mego życia. Moi nowi rodzice byli to ludzie dobrzy, pieczołowici, kochali mnie, jako żyjący przypomnienie córki ulubionéj i starali mi się dogadzać we wszystkiem. Nie wywarli jednak na mnie żadnego znaczącego wpływu; od

samego początku, zacząłem się rozwijać samodzielnie, własnym rozsądkiem i zdaniem, którego żadna obca siła przeważnie nie krępowała. Nie dziw więc, żem z upływem lat nabył pewnej stałości, hartu, które Ojciec mój nazywał uporem, a w których ja widzę tylko samodzielność. Czy to w zabawach z rówieśnikami, czy to w jakim bądź kierunku umysłowym lub nieumysłowym, nigdy nie dałem sobą zbyt powodować, starałem się zawsze wydobyć ze swojem Ja, i jeżeli nie zwyciężyć to też przynajmniej nie upaść. Nazywano mnie krnąbrnym, poczytywano mi to za wielką wadę, ale nie wiem, czy można dziecku mieć za złe, że go prze naprzód siła ducha pragnącego objawu, że dziecko z wczesna objawia zaród samodzielności, która później, na świecie jest mu tak potrzebna? Prawda, że w świecie samodzielność wywiera czasem i zły wpływ na bieg wypadków, prawda, że tam, gdzie wszyscy chcą być samodzielnymi, tam nikt nie pozazdrości swobody działania, - ale spojrzyjmy na tych ludzi chwiejnych, niepostanowionych, zawadzających, że tak powiem, czyż zgadniem jaką oni korzyść społeczeństwu przynoszą? Żadnej zapewne - oni jej tylko zawadzają. Ale jeżeli nas zapytają o przyczynę, powiemy śmiało, że ich słaba znamiona jest bezpośrednim skutkiem złego wychowania. Mówią, że dziecko trzeba ciągle prowadzić na pasku, bo dziecko nie ma doświadczenia - a jakiż jest sposób nabycia tego doświadczenia,

czyż nie zrzucenie swego paska. Nauka słowna nie zrodzi doświadczenia, bo słowo pozostaje zwykle martwém słowem i chyba wtenczas korzyść przyniesie, gdy go promień czynu ogrzeje! Ten tylko, kto własnémi siłami przebrnął przez przepaści, zdolny jest pochwycić wawrzyn, co się tam wdali zieleni!.. Rodzice powinni tylko czuwać nad dziećmi i dostarczać środków żywotnych, ale nie wzbraniać im samodzielności, bo dziecko zafukane i przyzwyczajone dostępania podłóg cudzéj woli, nie będzie potem zdolne bez opieki walczyć z burzą swego życia. Wszakże mamy przykłady dziejowe, że wojsko trzymane pod rózgą, wtedy tylko błyszczy na polu bitwy, dopóki widzi groźną rękę swego wodza; gdy wodza nie stanie, łatwo traci ducha i idzie w rozsypkę. A przeciwnie, tam gdzie każdy żołnierz wierzy, że jest koniecznym członkiem wojska przeznaczonego do obrony Ojczyzny, gdzie każdy członek wojska, czuje że winien być szlachetną cząstką ogółu, tam i bez wodza, bez przewodnika nastąpi zwycięstwo, bo tam każdy jest wodzem i każdy żołnierzem. Podobnie rzecz się ma ze wszystkiemi ludźmi, — tylko samodzielność może wyrobić ludzi z czerstwem zdaniem i rozsądkiem; ona tylko zdolna wydać z swego łona gienjusz, działalność i bohaterstwo. Najpierwsi gienjusze dziejowi, jak Alexander, Cezar, Napoleon z łona samodzielności

powstali, - a świat dopóty do doskonałości nie dojdzie, dopóki samodzielność krępowaną będzie. - Rozpisałem się tyle o samodzielności, bo bronię jéj jak drogiego Skarbu, gdyż przez nią tylko człowiek może stanąć w pełni swego duchowego objawu, i uszczknąć kwiatu zawieszonego nad poziomem. Bronię jéj, bo przez to odkrywam główną drogę mego życia. -

U swych przybranych Rodziców czas upływał mi szybko, ale jednostajnie. Nie pamiętam nic takiego, coby kiedy większe na mnie wywarło wrażenie; zdaje się, że nic podobnego nie zaszło, kiedym o tem wspomnień nie zachował. Na zabawach, na igraszkach przepędzałem z rówieśnikami wiosnowe godziny życia, to w domu, to nad brzegami szumiącej Prony, w której pluskałem się jak ryba, to na łące pośród drzew cienistych. Pamiętam kilkorazowy przyjazd i odjazd Ojca, od których zaczynałem zawsze nowe liczenie czasu, - pamiętam ten odgłos trąbki pocztarskiéj, co mi sprawiał radość lub smutek, - lecz potem wszystko wracało do dawnego - znów biegałem, pływałem, bawiłem się, albo też stroiłem ołtarzyki i szyłem ornaty. A... przypominam to pierwsze dziecinne marzenie - stan Księży był ciągle moją główną myślą, roiłem sobie przyszłość

w murach klasztoru, wyobrażałem sobie szczęście w szarej kapturowej sukni i paciorkach za pasem. Dla tego też lubiłem bardzo odprawiać nabożeństwa, lubiłem służyć do mszy, za co często dostało się od Xiędza jaki obrazek, otrzymało jakąś pochwałę i zachętę. Podobno większość dzieci zawsze o tem marzy... Nic dziwnego. Dzieci uważają wszystko, co się wokoło nich dzieje, najwięcej zwracają uwagę na zewnętrzność i cała ich myśl, całe zastanawianie się pierwiastkowe polega na wrażeniach - co ich więcej na wstępie uderzy, o tem więcej myślą i mówią. A że suknia Xiężą najwięcej się od pospolitych wyróżnia, że śpiewy, śluby, pogrzeby, święcenia i inne zewnętrzności najwięcej się dzieciom mogą podobać, największy więc czują one pociąg do Xięży i Xiężego stanu. Dziwna rzecz że i potem, gdy już co innego zajmować się mogło, ciągle mi stan Xięży kołował i dopiero w 18nastym roku zupełnie się z pamięci wypadł.—

W szóstym roku życia zacząłem się uczyć. Nauka bawiła mię z początku, - następnie uczyłem się już więcej z przyzwyczajenia, niż z ochoty. pamięć miałem dość dobrą, pojęcie takie, łatwo się więc nauczyłem czytać, pisać i trochę rachunku. Były też i zachęty stósowne do wieku, zawsze jednak

uczyłem się więcej dla tego, aby prędzej odejść do zabawy, niż z rzeczywistego popędu do nauki. A że mi wszystko z łatwością przychodziło, nauka więc nie była dla mnie ciężarem i nie stała się uprzykrzeniem. Nie obarczano mię też wcale. Skorom się naznaczonej cząstki nauczył, zamykano oczy na moje psoty i bieganki i prawie całodzienne próżniactwo. Lubiłem słuchać opowiadań, powiastek, a później, bardzom polubił książeczki podobnej treści. Podobny popęd do czytania powiastek, u dzieci, przeradza się później w niepohamowany pociąg do powieści miłosnych. Na mnie się to także wykazało.–
I cóż powiem jeszcze o tym wstępie do życia?...
Nic zdaje się więcej nie pamiętam. Chwila biegła za chwilą a biegła szybko. Skończyłem rok dziewiąty. Okazała się potrzeba oddania mnie do uczelni. W Kaliszu wtedy uczelni Rządowych nie było, chciał mię więc Ojciec wziąć już do siebie i w Warszawie do niej wyprawić. Co to było płaczu, co to narzekania! trudno się było rozstać z Kaliszem. A tu jeszcze dzieci straszyły, że w uczelni biją, że tam jeść nie dają, inne przykrostki wyrządzają. Ale powoli chęć ujrzenia Warszawy i Ojca przemogła inne i lubo ze strachem i smutkiem musiałem wyjeżdżać. Dziaduś mnie odprowadził na pocztę, uściskał – może nie przeczuwał, że to raz ostatni – i wypra-

wiół mnie w podróż pod opieką kilku znajomych mi osób. Było to w Październiku 1849 r. Chłodnawo już było; przez całą podróż nie dano mi wyjść z powozu, rozmyślałem więc smutny o niedawno porzuconych przybranych Rodzicach, dzieciach i zabawkach, to znowu odgadywałem tę straszną Warszawę, to przypominałem sobie Ojca – a tym czasem przyjechałem do Łowicza. Tu nowe widowisko mnie czekało. Ujrzałem parojazd. Mocno mię on zadziwił i jakkolwiek już dawno o nim słyszałem, przecież nie mogłem się przyzwyczaić do jazdy bez koni. Było więc ocrem myśleć do samej Warszawy.

Przyjechałem wreszcie na miejsce. Moje opiekunki zawiozły mię do siebie. Przyszedł niedługo i Ojciec; potrzebowałem go uściskać – uściskał mię także i w krótce odwiózł do domu. Było znów wiele do opowiadania, do radości, bo nastąpiły nowe zabawki i przechadzki po Warszawie, która mi się rzeczywiście wydała całym światem. Porównywałem ją z Kaliszem: tam w pół godziny mógłem zajść na koniec miasta, tu, często mnie nogi zabolały nim przeszedłem jedną ulicę; podobało mi się wszystko, bawiło mię wszystko – zawsze jednak Kalisz żywo mi się przedstawiał w pamięci i więcej do siebie przyciągał. Ani szeroka Wisła, ani domy okazałe, ani różne cacka i nowostki nie tyle

mię pociągały do siebie, co ukochana Prosna ze swemi drewnianemi mościkami, co ozieniowe drzewami łączki lub z daleka malująca się wieżyca Fary. Przecież powoli do wszystkiego człek się może przyzwyczaić; i ja też przywykłem do Warszawy, tymbardziej, gdy znalazłem przedmioty bardziej mię do siebie przyciągnąć mogące. –

Ojciec chciał mię oddać do uczelni, pragnął jednak poprzednio dać mi gruntowne zasady, aby dalsza nauka łatwiej pójść mi mogła. Zostałem więc oddany do Uczelni początkowej, gdzie przebyłem rok blisko t. j. do Św. Jana 1850 r. – Szybko mi ten rok przebiegł wśród nowości dotąd nieznanych. Pierwszy to bowiem raz zasiadłem na wspólnej ławicy z podobnymi mnie chłopczykami i kiedy innym, zaczynającym od najpierwszych początków z trudnością przyszło postępować dalej, ja nieźle poprzednio przygotowany łatwo mogłem zadość uczynić żądaniom nauczyciela. Tak więc skorzystałem wiele, bardzo wiele, bo doskonałe początki; nauczyłem się nawet nieco czytać po francusku. Po odbytem wypytaniu miałem odpocząć miesiąc czasu – a potem udać się do Uczelni Średnich. –

II

Tymczasem Ojciec mój zaczął myśleć o powtórnem ożenieniu. Wołowowi, mającemu wiele urzędowych

zatrudnień, przytem mężczyźnie trudno było zarządzać gospodarstwem domowem, powiększonem przez moje przybycie. Szukał więc stósownej dla siebie żony — a życzeniem jego było znaleść sobie towarzyszkę gospodarną, łagodną, i życzliwą dla przybranego dziecka, słowem taką, coby i dom przyzwoicie utrzymać i matkę mi zastąpić mogła.—

W Rządzie Gubernialnym Warszawskim pracował także podówczas p. Jabłońskі, znający się z moim Ojcem od dawna, bo jeszcze z urzędowania w Kaliszu. Był on teraz powtórnie żonaty, a z pierwszego małżeństwa pozostała mu jedyna córka Scholastyka. Była to panienka pobożna, łagodna, pracowitości lubiąca, mająca trochę doświadczenia, bo za wdowieństwa Ojca wzrosła; posiadała więc przymioty dobréj żony i opiekunki. Ojciec mój zaczął bywać ze mną u państwa Jabłońskich i bywał dość mile przyjmowany, a że i mnie się przyszła Mama dosyć spodobała, zaczął się więc starać o jéj rękę. Panna Scholastyka przyjęła oświadczenie, rodzice zgodzili się także, został więc umówiony ślub, który się odbył 15 Czerwca 1850 r.

Była to chwila zmieniająca moje dotychczasowe położenie. — Jakkolwiek dziecko pojmowałem ja dobrze, żem matkę dawno utracił i że téj nikt mi

nie jest w stanie zastąpić; dostałem jednak za opiekunkę tę właśnie, którą sobie życzyłem, i która, jak mówili miała mię kochać jak syna. Nie tak to łatwo macosze oswoić z sobą pasierba, nie tak to łatwo Matkę zastąpić, tymbardziej wtenczas, kiedy dziecko dawno opieki macierzyńskiej pozbawione, wychowane zostało w niejakim strachu o przyszłość. Dziadek mój i Babka wspominali sobie nieraz z zadowoleniem, że Ojciec mój o powtórnem ożenieniu nie myśli; - bezpośrednio skutkiem ich słów, dobrze uważanych przezemnie, była obawa, aby się Ojciec powtórnie nie ożenił. -
A jakkolwiek Panna Wiśniewska podobała mi się z ułożenia i postawy, przecież obawiałem jéj się zawsze dla tego samego, że miała być moją opiekunką. A przytem Stwórca Sam jakoś wlał w serce dziecka wyłączne przywiązanie do matki, którego ono nie może już komu innemu udzielić. Jakże trudno macosze uczynić zadość obowiązkom matki w okolicznościach bezwzględnych, - a cóż dopiero wtedy, gdy dziecko znajduje się w ciągłej obawie, w ciągłym strachu téj, która właśnie winna je odeń uchronić?... Gdyby Ojciec mój zaraz po śmierci pierwszej żony pojął drugą - pięcioletnie dziecko, wychowane od pierwszej młodości z przyrodzonem rodzeństwem, przez tę, któraby imieniem matki

przyzwyczaił się nazywać, nie poczuł bym tej różnicy, jaka mi się później przedstawiła.-

Przeznaczenie chciało przynajmniej, aby kobieta łagodnej znamiony została moją opiekunką. Jak powiedziałem była to kobieta pobożna, i łagodna, dwa przymioty, które są największym skarbem macochy.- Łagodność bowiem niedozwala dzieci łajać i utrzymywać w strachu, a zatem i w rozdrażnionem usposobieniu – pobożność zaś usuwa mniej więcej złe względem przybranych dzieci zamiary, a zatem, w obec przynajmniej własnego przekonania, czyni macochę matką prawdziwą.- Taką była druga żona mego Ojca. Niestety, czas ją zmienił mimowoli.-

---

Tymczasem ja przeszedłem wypytanie i do Klasy I-ej w Uczelni Powiatowej przyjęty zostałem. Pomnę jeszcze tę radosną chwilę kiedy po raz pierwszy przybrany w uczniowski mundurek powitałem uczelne mury i zasiadłem w kole swywolnych rówieśników. Nam wtedy życie zdawało się złotą piłką rzuconą na uczelną ławicę a nauka była jakąś tajemniczą zagadką, której nie pojmowaliśmy znaczenia. Uczyliśmy się dla nakazu – szliśmy do uczelni jak żołnierz na codzienne ćwiczenia z tłomoczkiem na plecach, z wyuczonem zadaniem na języku, z uśmiechem na ustach! Ach, jakże to błogo czas schodził...

Wtenczas nic nam nie brakowało do szczęścia bo i czegóż nam brakować mogło? Czyż piłka, bieganie i psoty nauczycielom płatane nie były dostatecznem przepędzeniem czasu?
Z lat swych nie zachowałem żadnego wybitniejszego wspomnienia. Życie nasze, choć wesołe, majowe, było jednak bardzo jednostajne. W lecie piłka i przechadzki, w zimie ślizgawki i bitwy śniegowe były głównem naszem zatrudnieniem. —
Czas mijał szybko, a ja przyzwyczaiłem się do tych uczelni, które mnie tak dawniej przejmowały obawą. Uczyłem się nieźle, czem zjednałem sobie przychylność nauczycieli, a szczególniej Alberta Kitlińskiego, Nauczyciela Łaciny, który mnie bardzo polubił. Był to człowiek nieżonaty — mieszkał samotnie w niewielkiej izdebce, gdzie często czas poobiedni wśród naszej żywej pogawędki przepędzał. Uczony, gdyż oprócz wszechstronnego obeznania, zajmował się także piśmiennictwem, lubił czasem dziwaczyć i wśród płochów młodzi, był dla niej natchnieniem wesołości. —
Z owym to Nauczycielem Kitlińskim podczas drugich wolnych czasów wyjechałem do Ciechocinka. Od czasu wyjazdu z Kalisza była to moja pierwsza podróż. Przyjemnie ją spędziłem. Statek parowy prut białe fale Wisły, a ja poglądałem na zielone

okolice, co mają jej nadbrzeża. Przed nami szybko przesuwały się wierzby i topole, wioski i miasta, jak gwiazdki po mlecznej drodze a ja czas przepędzałem na pogawędce z moim przewodnikiem, to o minionym roku, to o przyszłych naukach i zatrudnieniach. A tymczasem przybiliśmy do brzegu. Miłym mi się wydawał Ciechocinek. Te porozrzucane wśród drzew chatki, te łączki ubarwione kwieciem, ten nieład przyrody i ludzkiej ręki przyjemne na mnie sprawił wrażenie. W jednej z takich chatek nauczyciel mój najął mieszkanie. Całe moje ówczesne życie składało się z następnych zatrudnień:

Rano, wstawszy o piątej, wyruszaliśmy na słone wody. Po każdej szklance odbywało się przechadzkę po umyślnie na to przeznaczonem wyrandzeniu; potem schodziwszy się nieźle wracaliśmy do domu, gdzie nas czekało świeże mleko i bułeczki. Po śniadaniu nauczyciel mój albo czytał coś na głos, albo opowiadał jakie zdarzenia. — Tak czas schodził do dwónastej. O dwónastej obiad. Obiad dla nauczyciela był wstępem do drzymki, a dla mnie wstępem do zabawki. Codziennie po obiedzie wyruszałem do przyległych gajów, gdzie nabiegawszy się dowoli, zasypiałem często pod cieniem drzewa. O piątej lub szóstej

nauczyciel budził mnie na przechadzkę. Wyruszaliśmy na piaski ku Toruniowi. Po przechadzce znów wracaliśmy do domu na zsiadłe mleko lub jaką inną wiejską wieczerzę a niedługo potem zasypialiśmy snem błogosławionych.- Czasem zwiedzaliśmy tężnie i warzelnie. Tężnie są to wysokie ścięte piramidy, ułożone z chróstu.- Na wierzchu są urządzone stósowne korytka, któremi woda słona z głównego zbioru wypływa i przeciekając przez chróst czyści się i zbiera w osobnych korytkach urządzonych na dole, z kąd ją potem wybierają i zlawszy w butelki rozsyłają po kraju jako uzdrawiające lekarstwo. Używają jéj głównie na wzmocnienie sił, tudzież choroby gruczołkowe.- W warzelniach wyparowują słoną wodę. Woda nalana w różne kształty, po ulotnieniu pozostawia sól, która tworzy różnopostaciowe wyroby, jako to: krzyże, kropielnice, i różnego rodzaju naczynia i zabawki.-
Używaliśmy też czasem gorących słonych kąpieli. Corocznie mnóstwo osób przyjeżdża w porze letniéj do Ciechocinka dla używania kąpieli, dla tego też codzień spotkać można długie przeciągi przechadzających się po kąpielach osób w różnych stronach i okolicach Ciechocinka. My także nieraz odbywaliśmy dalekie podróże. W stronie zachodniéj

Ciechocinka jest dość rozległy lasek, przez który wydeptane drogi prowadzą do miasteczka Raciążka. Raciążek niewielkie miasteczko leży na wysokiém wzgórzu ponad Ciechocińskim laskiem. – Nie będę go tu opisywał, bo należy on do liczby tych naszych podupadłych miasteczek, gdzie plebanja całe w sobie miasto mieści i odbija, a ogrody stanowią główną jego ozdobę. Tam to często kierowaliśmy swe kroki. Nauczyciel mój lubił często odwiedzać znajomą mu rodzinę, gdzie nieraz zostawaliśmy na noclegu. Państwo Struś prowadzili sobie większe gospodarstwo – czekały więc zawsze dla nas różne przysmaczki i owoce. Obok Państwa Struś była położona plebanja. Poczciwy Ksiądz Kowalkiewicz był wtedy pasterzem niewielkiej liczby swych owieczek. Żyjąc w ubogiej mierności przyjmował nas tém co miał t.j. dobrą wolą i duchownym chlebem. Poczciwy staruszek dawał mi raz po raz książki do czytania ze swego starannie uzbieranego księgozbioku, oprowadzał nas po swoim skrzętnym gospodarstwie i kiedy ja zostawałem się w ogrodzie na agreście i porzeczkach – On, wróciwszy do domu zabierał się z nauczycielem do gry w szachy lub warcaby. Takem się doń z czasem przywiązał, że żal mi go było później porzucać i długo nieraz potém

w Warszawie wspominałem sobie plebana, księgozbiorek, ogródek i czas, co tak mile u niego spędzałem. — Na takich zatrudnieniach schodził nam czas w Ciechocinku. Oddychałem wiejskiem powietrzem, przepędzałem chwile na wiejskich zabawach i przechadzkach i życie to zdawało mi się być nieskończoném gdy razu jednego nauczyciel mi oznajmił, że musiemy się udać z powrotem. Był to dopiero 20 Lipca 1852 r. zostawało jeszcze z pół miesiąca przednaukowego czasu, musiała go więc jakaś ważna sprawa wywołać z naszego ustronia. Zasmuciłem się trochę usłyszawszy wyrok podobny, ale nie było o czém rozprawiać — za dni kilka parostatek, unosząc nas do Warszawy przez te same wody, któremi niedawno witał uśmiechem nadziei. Niedługo ukazała się Warszawa i wysiedliśmy na ląd. —

Smutno mi było z początku po ulubionym Ciechocinku i Raciążku, ale gdzież wtedy smutek mógł być długim — Nowe przyjemnostki, nowi naukowi towarzysze, nowe życie, pocieszyły mię niebawem. —

Onowu książki, znów nauka, a obok niej większe lub mniejsze rozrywki czas mi zajmowały, a czas ten przebiegał szybko, nic szczególnego z chwil owych nie zostawiło mi wspomnień. W

przechodzie do klasy IVtej byłem w Kaliszu dni kilkanaście – odwiedziłem osamotnioną Babkę, Dziadek bowiem w 1850 r. zakończył swe życie. Natomiast jedyny syn ich Felix wrócił z zagranicy i mieszkał wówczas przy matce, rając nadzieję na przyszłość. Kalisz przedstawił mi się niezmienionym od owego czasu, w którym go porzuciłem, kilka tylko minionych wspomnień, kilka nagił więcej pomnożyło jego dzieje. I znowu go rzuciłem, aby na nowo wziąść książkę do ręki. – Tak znowu minęło lat dwa. Nauczyciel mój poczciwy Kotliński rozstał się z nami i opuścił Warszawę, wyjeżdżając na posadę nauczycielską do Wielunia, a ja tym czasem biegłem dalej a dalej. Nakoniec zbliżył się Czerwiec 1855 r. przeszedłem ostateczne wypytania i ukończyłem Uczelnię pięcioklasową.

Roiłem robić nową podróż do Kalisza, ale nastąpiła nowa praca. Trudno było skończyć na pięciu klasach. Ojciec miał zamiar przenieść mnie do Uczelni Gubernialnej dla kończenia dalszych nauk. Zamknąłem się więc na cały Lipiec w domu, obracając czas na przygotowanie się do nowego wypytania.

Nadeszło wreszcie oczekiwane wypytanie. przeszedłem je nieźle i zostałem przyjęty do klasy VItej. Tu nowy

świat otworzył się przedemną. Na nowym widnokręgu mego życia zjawili się nowi już dojźalsi towarzysze, nowe nauki, nowe życie wystąpiło na widownię. Odtąd nauka przestaje być dla mnie zabawką; odtąd zaczynam w niej widzieć ową przewodnią gwiazdę, co mi przyświecać będzie w zmiennej życia kolei. Ale z drugiej strony poznałem tu po raz pierwszy, że rozum nie jest jeszcze zdolny uszczęśliwić człowieka, że do uzupełnienia szczęścia potrzeba mu czegoś więcej, czegoś poetycznego, coby go mogło unieść po za szczupłe granice padołu, pobujać w rozleglejszej widowni i razem z nauką uczynić równowagę w życiu. Koleją myśli przebiegałem minioną przeszłość, ciekawem okiem poglądałem w przyszłość, lecz jeszcze nie nadeszła chwila zapału, owa iskra, co prędzej unieść duszy przemienia dziecko w młodzieńca.
Była to chwila jakiejś wewnętrznej walki ... co mówię – była to raczej chwila nużącej nieczynności ducha. Nauka przychodziła mi z łatwością, nie pracowałem wiele, nad sobą nie myślałem jeszcze, była więc w duchu mym jakaś próżnia, której towarzystwo i zabawy zapełnić nie mogły. –

Tymczasem rodzina nasza powiększona, została w przeciągu lat kilku trojgiem dzieci. Macocha moja

została matką. Jednocześnie z przywiązaniem do dzieci powstała w jej duszy obawa o ich przyszłość. Nie dziwię się temu bynajmniej. Każda Matka, kochająca z zapałem swoje dzieci, tę cząstkę swej krwi, swego życia, pragnie dla nich jak najświetniejszej przyszłości, wymarzonego szczęścia. Niestety, ja zdałem się być mojej macosze tą przeszkodą, która przyszłość jej dzieci zaciemnia, usiłowania ich na drodze życia niweczyć miała. Ona sobie uroiła, że ja właśnie będę wydziercą ich bytu i mienia.

Nigdym, przysięgam na popioły mej matki, nigdy nie miewałem w sobie nie tylko występnych zamiarów, ale nawet chwilowej myśli uczynienia kiedybądź krzywdy memu przyrodniemu rodzeństwu. Jam je kochał czule, bratersko, po chrześcijańsku. Ale ona nie mogła mnie pojąć. W ciągłej obawie o przyszłość swych dzieci zazdrościła mi nawet wyższego wychowania, wydatków na moje zwyczajne potrzeby, zazdrościła mi mojej własnej przyszłości. Gryzło mnie to nie mało; nie byłem jednak z liczby tych nieurobionych stworzeń, którymby macocha prawdziwie dokuczyć mogła. Przykre, choć niesłuszne wymówki z zimną krwią zawsze przyjmowałem, co ją przywodziło do rozpaczy. Poznawszy moje twarde usposobienie, macocha moja stała

się grzeczna. Odtąd było względem mnie zachowywana dwuznaczność; gdyż wiem z przekonania ile Ojciec mój nasłuchał się przedstawień i próśb, ile widział płaczów i grymasów, a jeżeli nie straciłem wiele na tem, winienem to tylko chłodnej jego rozwadze i obojętnemu poniekąd słuchaniu przełożeń swej żony.- Zresztą Ojciec mój należy do rzędu tych ludzi którzy pragną postępować według własnego rozsądku i zdania i nie lubią rad postronnych; gadaniny żony nudziły go, co nawet nieraz widocznie okazywał - a lubo dla mnie matki zastąpić nie potrafił, był jednak dobrym i życzliwym Ojcem.-

III.

Wśród takich okoliczności ukończyłem klasę szóstą i po raz drugi wyjechałem w Kaliskie. Teraz mając już swobodną głowę mogłem pobyć dłużej na świeżem powietrzu, aby nabrać więcej siły i chęci do nauk w ostatnim roku naukowym.

Miesiąc przeszło czasu przepędziłem w Kaliszu na przechadzkach i zabawach, czas mile i szybko uciekał,- w końcu trzeba się było wrócić na uczelne ławy z nadzieją ostatecznego ich porzucenia. Jakkolwiek miałem chęć do pracy, dziś jednak miałem już przedmiot, którym szczególniej lubiłem się zajmować, a tym przedmiotem były Dzieje. Dzieje szczególniej uprawiałem i lubiłem się im poświęcać-

rzeczą prócz ziemiopisztwa, jako przedmiotu łącznego z dziejami, nie tyle mnie już zajmowała. Główną więc moją myślą ciągłą było jak najprędzej ukończywszy tę klassę ostatnią i wstąpić w świat mniej więcej niezależny, aby się swobodniej zająć ulubionym przedmiotem. Pożegnałem więc Babkę z nadzieją ujrzenia jej na rok przyszły i wyruszyłem w podróż.–

Przyjechawszy do Warszawy zająłem się znowu naukami. Było przedemną pracy niemało, gdyż dla otrzymania świadectwa z ukończonych nauk, trzeba było przejść wypytanie ze wszystkich przedmiotów wykładanych w siedmiu klassach. Najgłówniejszym a zarazem najobszerniejszym przedmiotem była Rachunkowość. Aby się dostatecznie przygotować z niej trzeba się było uczyć wspólnie, gdyż tylko wspólne objaśnienia, wspólna praca mogły doprowadzić do zamierzonego celu. Wkrótce więc klassa nasza podzieliła się na oddzielne kółka, z których każde miało odtąd niejako swój odrębny światek, innem oddychało życiem.–

Długo to pozostaną w pamięci te schadzki wieczorne na których z taką skrzętnością łączyliśmy nasze usiłowania, aby jeden skutek osiągnąć. Bo i cóż przyjemniejszego jak nauka w gronie dobrych towarzyszów? Tam każdy jest wiernym zwierciadłem

ducha całego kółka; łącząc się usposobienia, myśl, słowo i czyn, jako duch wojska mającego zdobyć twierdzę. Bo wypytania nasze słusznie można było uważać za twierdzę, którą zdobyć można było tylko wytrwaniem w pracy, poświęceniem woli i zześrodkowaniem umysłu. Mieliśmy iść wspólnie do zdobycia nie wiedząc kto zginie; każdy się zabezpieczał od śmierci, lecz każdy się jej obawiał. A jakkolwiek trudną była droga do palmy zieleniejącej w oddali, przecież nadzieja podwajała nasze siły. –

W kółku, do którego należałem było trzech młodzieńców, z którymi zawarłem ścisłą przyjaźń. – Czwórka nasza związała się silnie, jeżeli nie jednakowemi wyobrażeniami, to przynajmniej sercem i duszą. Pierwszy z nich Stanisław Bartoszewicz był już dawno, bo od 5tej klasy moim naukowym towarzyszem. Wesoły, dowcipny, pełen najszczerszego wylania, był jedną z tych istot koniecznych w każdym kółku dla natchnienia wszystkich wesołością, do przelania w innych tego szczęśliwego usposobienia jakie sam posiadał. On był niejako tym jasnym obłoczkiem, co zawsze pogodę zwiastuje – dla tego też, gdy on był smutny, wszyscyśmy się po trosze zasępiali, rozmowa jakoś nie szła gładko i rozchodziliśmy się smutni. –

We wszystkich kobietach się kochał, każda była
panią jego myśli jak niegdyś u rycerzy średnio-
wiecznych, ale też dla tego zdaje się żadnej swego
serca nie powierzył. W jego pokoiku było pełno
różnych wyobrazków, z którymi lubił samotnie roz-
mawiać; lubować się ich pięknością. To była jego
jedyna może domowa przyjemność, gdyż o ile z na-
mi był wesoły o tyle w domu mało mówny i ponury.
Nazywaliśmy go Maciusiem. Gdy Maciuś wszedł,
a raczej wpadł do pokoju z czapką na bakier i
śmiejącą się twarzą: zaraz słychać było różne po-
wiastki, przygody, a wszystko z tak różnorodnemi
ruchami, z takiém ułożeniem i wyrazem twarzy,
że smutny nawet rozpogodzić, zagniewany udo-
bruchać się musiałeś. Odkąd pamiętać mogę
nigdym go jeszcze nie widział gniewnym. On
nie był zdolny rozgniewać się, gdyż wszystko
przyjmował jakby pół uwagą i nad niczem długo
zastanawiać się nie lubił. U niego głównie prze-
ważała rozmaitość, co tak zgodne było z jego
ułożeniem że zdawało się być jego nieodłącznym
przymiotem. A jednak nieraz z pod pokrywy trzpio-
tostwa, z pod pokrywy głupoty, jaką udawać lu-
bił, wymknęło się słówko, które ukłuć mogło, a tak
szczęśliwie dobrane, że trudno je było odeprzeć od
siebie. Trzeba przecież przyznać że w ostateczności

go używał, i wiele doń wagi przywiązywać nie umiał. Przyjaciołom robił czasem wymówki, ale zawsze niewinnie, a można je było zrozumieć. Jeżeli był smutny, pocieszyć go było trudno; czasem wysłuchawszy przełożeń do końca, jednem słowem udaremniał tę pociechę, jaką mu się starałeś przynieść. Był on z liczby tych ludzi, którym radość lub smutek długo serce zalegać zwykły i bywają przedmiotem długiego rozmyślania.

Bolesław Karanowski był zupełnie przeciwnych usposobień. Trochę porywczy, trochę dziwak, burda czasem, był to jednak chłopiec, jakich rzadko znaleźć – z otwartem sercem i duszą, gościnny i towarzyski, rzekłbyś jeden z tej dawnej zagrodowej szlachty, której przysłowiem było: "Gość w dom, Bóg w dom." Lubił nadzwyczaj porządek i oszczędność, dla tego też przy najmowaniu naszych osobnych mieszkań obierano go zawsze gospodarzem. On też dobrze umiał spełniać swoje obowiązki gdyż nietylko że przyjmował każdego z prawdziwą otwartością i towarzyskością, ale i przywracał porządek często przez nas naruszony. Bolesław nie mógł scierpieć nieporządku. Nieraz opuszczając mieszkanie, zostawiliśmy je w okropnym nieładzie: tu i owdzie papiery i książki porozrzucane bez ładu, ułamki papierosów, cybuchy i fajki zalegały podłogę, cygarniczki przychodziły w zetknięcie z atramentem ale nigdyśmy nie zastali nieuporządkowanego pokoju. –

Bolesław nigdy nie był w prawdziwie wesołem uspo-
sobieniu. Jeżeli ta prawda, że uśmiech maluje nau-
cie duszy to jego trudno było rozweselić.- On zale-
dwie na półuśmiech mógł się zdobyć. Kiedy my
pogrążaliśmy się w szale, on zimno obrachowywał
stan swej duszy i serca i nigdy wyjść sobie nie
dozwolił poza tę granicę, gdzie rozum jest w
zetknięciu z uczuciem.- Do pracy nie miał wiele
chęci - za to dumać lubił samotnie a jeżeli się za-
bawił kiedy, a nawet poswywolił, popocił, to
tylko przelotnie, nigdy z przejęciem prawdziwem.-
Do kłótni był skorym, a nawet znajdował w niej
pewną przyjemność i z przekonania się nie kłócił -
lubił się tylko sprzeciwiać, aby czasem innych
rozśmieszyć. Często lubił dziwaczyć, samo nawet
jego obejście, jakkolwiek otwarte, wylane, miało
w sobie coś dziwnego - zresztą był on dla mnie ho-
dą zagadką, którą przy takich stosunkach, jakiem tu
przedstawił niełatwo było rozwiązać.-
Mieczysław Wołkiewicz zwany od nas pospolicie
Mieciem lub Zosią był synem ubogich rodziców;
Ojciec, przeszedłszy różne koleje wcześnie go odumarł,
matka z szczupłego mienia jakie jej pozostało z
trudnością mogła swe dzieci utrzymać, był więc
skazany na mozolne trudy naukowe, na udziela-
nie nauk. Przeznaczenie skazało go na uporczy-

walkę z przeciwnością, ale przez to uszlachetniło mu serce, bo nauczyło go czuć przykre położenie innych. Odebraną co miesiąc płacę oddawał matce, oddzielając li szczupłą kwotę na swoje nieodbite potrzeby. Był to młodzieniec szlachetny, otwarty, ale za dobroduszny, z sercem, które nie znało pomiędzy ludźmi różnicy, do każdego się przywiązywał, każdemu wierzył, przyjmując dobre z wdzięcznością, a złe z cierpliwością. Często bo go też i to ostatnie spotykało. Towarzysze, choć go ściśle kochali, lubili, jak to zwykle młodzi, korzystać z jego dobroduszności i bawili się łatwowiernością. Żal mi nieraz było, chociaż często byłem porywany wirem śmiechu, gdy mu różne psoty wyrządzano – a nawet zdarzało się że i sam mu psociłem. – Tłoczony jakiemiś smutnemi myślami, jakimś kłopotem, którego pokonać nie mógł, wybitnie sobie na twarzy pewien rodzaj smętku. Rozmawiając był często bardzo roztargniony – o czem innem się zamyślał. Lubił przytaczać różne zdania, przysłowia i przystosowywać ich do okoliczności, co mu nadawało wyraz myśliciela. Nazywano go Księdzem, gdyż obok tego, że miał kiedyś zamiar wstąpić w stan duchowny, miał jakieś nieśmiałe, skromne, zabawne obejście się, co mu w oczach wielu obraz mnicha nadawało. Takim był Mirio. Od czasu poznania zaprzyjaźniłem się z nim serdecznie i najbardziej

lubiłem przestawać, najprzód dla tego, żem zawsze czuł doń pewien pociąg, a powtóre że przed nim można się było wynurzyć bez obawy wyszydzenia. Przylgnęliśmy więc do siebie jeżeli nie jednością wyobrażeń, to przynajmniej wzajemnem współczuciem. Co do wyobrażeń, Mieczysław nie odznaczał się zbyt widocznym polotem - miał jednak zdrowy rozsądek, który mu aż nadto wystarczał, a obok swego codziennego chleba i wyższym pokarmem nie gardził. Przekonać go było nie trudno, gdyż upartym niebył, a także daru do wielkiej obrony swego zdania nie posiadał. - Słaby, bez działalności, nie miał silnej woli, zawsze się wahał w wykonaniu, zawsze spodziewał się zawodu - a przez to samo trudno mu było dojść do zamierzonego celu, gdyż zwykle ci tylko spełniają swoje zamiary co śmiałą i pewną nogą postępują. - Oto obraz mojej pierwszej przyjaźni. Znalazłem w niej wszystko - i wesołość i poważność, dowcip i dobroduszność, szał i słodycz, rozwagę - a wszystko obleczone w jedną szatę wzajemnego współczucia i poświęcenia tak dziwnie złączyło się z sobą, że zdaje się całości istnieć by nie mogła bez najmniejszej cząstki. - Tak więc uczyliśmy się wspólnie przez siedm miesięcy - doczekaliśmy się wreszcie i końca. Wypytania poszły nam dobrze, i otrzymane z ukończenia nauk świadectwa, oblaliśmy węgrzynem w tej

samej izdebce, gdzie nam tyle chwil w oczekiwaniu przeszło, podaliśmy sobie ręce na znak nierozerwanej przyjaźni, postanawiając wspierać się wzajemnie. — Ja miałem zamiar wstąpić do służby krajowej, chciałem jednak poprzednio odetchnąć na świeżem powietrzu, wciągnąć w piersi młodzieńczą nowe ożywcze soki na przyszłe, nieznane, być może burzliwe życie.

Wyjechałem w Kaliskie.

Nigdym jeszcze nie wydalał się z Warszawy z tak promiennem czołem, z tak rozjaśnionem okiem, z tak pełną odwagi piersią. Jakaś nadzieja wstąpiła mi w serce; byłem wtenczas tak silny, że stawiłbym czoło wszystkim pociskom losu. A o ile duch mój był silnym o tyle słabiało ciało. Przed odjazdem chorowałem cały tydzień na nogi i dotąd jeszcze chromając miałem nadzieję podróżą się do reszty wyleczyć. Deszcz padał ulewny, wiatr dął przeraźliwy, — ja szydziłem z gniewu przyrody, a jednakże chciałem mieć skrzydła wichru, aby co prędzej stanąć w Kaliszu. Cóż mię tam przyciągało? czyż oczekiwało szczęście, czy też przeznaczenie gnało na spełnienie mych snutych widoków? To pytanie wcale nie zaszło mi w myśli. Jechałem bez celu, chciałem jednak co prędzej stanąć na miejscu, aby cokolwiek swobodniej wypocząć. —

Przybyłem do Kalisza w początkach Lipca 1857 r. Lato w pełni swego blasku przybrało miasto w świetne szaty — zielonemi wstęgami koło mu zwieńczyło. — Wokoły-

chałem rodzinnem powietrzem, wciągałem pełną piersią wietrzyk nadprośniański - dnie całe trawiłem na przechadzce po cienistych wałach i okolicach Kalisza. A wszystko wydawało mi się jakby nowym, umyślnie dla mnie stworzonym światem, jakby jednem urzeczywistnionem marzeniem. Snać ludzkiej duszy wiele ma wielki wpływ na przyjmowanie wrażeń... Gdy wesołe usposobienie zaigra nam w duszy, radzibyśmy aby uśmiech wszystkie twarze rozweselał, aby nawet martwe przedmioty dzieliły stan naszych uczuć; przeciwnie - gdy smutek spadnie nam na piersi jak grobowy kamień na trumnę, wszystko nas gniewa, wszystko smuci - i ludzie i otaczające nas przedmioty przykrość nam sprawiają. I jakże tu nie przyznać potęgi i wpływu ducha ludzkiego, kiedy we wszystkiem bezło jego naznacza swe piętno, wprzód nim je myśli ogarną.

Spędzałem więc czas swobodnie bez troski o przyszłość, bez obawy o jutro. Nic mi wtedy nie brakowało do szczęścia, a przecież nieraz przyszedłszy do domu siedziałem zadumany... O czem wtedy dumałem nie pamiętam, bo ileż to wtedy marzeń przesunęło się po myśli, a wszystkie biegły oderwane nie wiążąc się z sobą, choć jedno goniło za drugiem!... Wiem tylko, że często na przechadzce śledziłem z zazdrością szczęśliwe pary rozmawiające półgłosem lub wzrokiem, tak dokładnie malującem to, co się w ich duszy działo. Czemu ich śledziłem - toż oni

mnie obchodzić mogli - czegoż im zazdrościłem? może swobody? - nie, wszak i ja byłem swobodny; uśmiechała mi się przyszłość, nieznana, ale złocona nadzieją; i ja im chyba zazdrościłem tych wyrazów szczęścia, które tak często zamieniali, tych wzajemnych spojrzeń, co tak sobie odpowiadały rozkosznie.... A ja?... mnie nikt nie umiał pojąć, nikt zrozumieć, nikt odpowiedzieć mojej duszy! Marzyłem o szczęściu nieznanem, dalekiem, tak oddalonem odemnie, że zdawało mi się niepodobieństwem go doścignąć. Na wspomnienie bolesnego zawodu, przebudzenia się ze snu nadziei, łza mi się nieraz zakręciła w oku, a każdą łzę połykałem spiesznie, aby jej przed ludźmi nie okazać, przymuszałem się do uśmiechu chciałem być wesołym.

Wśród takiego szczęścia i smętku tem pomięszanych z uśmiechem, przechadzek i dumania przepędziłem trzy miesiące w Kaliszu. Daleki od żałowania tak długiego pobytu, nie byłem jednak smutny z odjazdu. Babka moja, u której przebywałem, żyła samotnie, a jakkolwiek czułem do niej przywiązanie, trochę nie smutno u niej było. Stałowita, wiekiem zniszczona, szukała tej ulgi, którą jej tylko mogły przeszłością żyjące przynieść myśli - wspomnienie lat młodych, łza nad grobem lub pamięcią zmarłych dzieci, westchnienie za ubiegłą przeszłością!

składało jej życie. Ja zaś, co cały przyszłością ży-
łem, pamięcią ledwie stojąc w obecności, nie
mogłem być w dźwięczni z jej obecnem życiem.
Z cichego domku nad strumieniem próżno wybiega-
ły me myśli na skrzydłach marzenia - wiatr
śledził ich bieg niknący w oddali, a ja pragną-
łem podążyć za wiatrem . .
Tak więc wyjechałem z Kalisza z zamiarem odda-
nia się jakem mówił do służby krajowej i usta-
lenia sobie przyszłości. Tymczasem przeznaczenie
stworzyło mi przyszłość zupełnie odmienną.-

IV.

Aby dalej ciągnąć moje opowiadanie, wspomnieć
muszę że p. Jabłoński, ojciec mojej macochy z po-
sady swej w Rządzie Gubernialnym przeniósł się
na posadę Burmistrza miasta Stoga leżącego
na drodze Warszawsko-Kaliskiej. Było to miasto
wyrobnicze, a zatem dość korzystne, ale też
bardzo niespokojne. Ludność złożona z Polaków.
Niemców, i Żydów toczyła z sobą bezustanne spory,
które się zawsze kończyły odwołaniem do Burmistrza.
Praca więc była wielka. Pan Jabłoński musiał więc
sobie kogoś do pomocy przyjmować. Z początku
starszy syn jego Władysław był takim pisarzem
przy jego boku. Teraz atoli Władysław wyjechał
do Warszawy, aby tam się wystarać o jaką stałą

poradę – a Ojciec musiał się jak mógł tymczasowo bez pomocnika obywać. Tymczasem w Słogu wynikło zaburzenie: wyrobnicy Niemieccy zburzyli Żydom bóżnicę w sam dzień sądny. Nastąpiły krzyki ze strony Żydów; wytoczyła się więc sprawa szczególnego wymagająca objaśnienia. Pociągnięty ciekawością pragnąłem wstąpić do Słoga, aby się czegoś dowiedzieć. –

W poprzednich już podróżach, wracając z Kalisza zawsze wstępowałem na dni kilka do Państwa Jabłońskich; obecnie jednak przyjechawszy do nich, musiałem z okoliczności ukończenia nauk zatrzymać się na dłużej. Tak sobie życzył Pan Jabłoński; nie miałem dostatecznej przyczyny do wymówienia się – tym bardziej, że mi pobyt u nich był miłym. Tu się rozpoczął nowy okres mego życia: Wiek młodzieńczy.

U Państwa Jabłońskich oprócz Władysława było troje dzieci. Marylka była najstarszą. Widziałem ją pierwszy raz w Warszawie, wtenczas kiedy mój Ojciec starał się o rękę mojej późniejszej macochy. Miałem wtedy dziesiąty rok życia – byliśmy oboje dziećmi, zawsześmy jednak przestawali razem, lubiłem się z nią bawić więcej, aniżeli z pozostałem rodzeństwem. Ten pociąg przechował się i nadal. Ile razy potem prze-

jeździałem przez Stóg, ile razy rozstawałem się z Marylką, zawsze uczuwałem pewien niemy, lecz przemijający smutek. Byłaż li to przyjaźń? Nie-bo przyjaźń rozpromienia lica przyjaciół, gdy się po długim niewidzeniu ujrzą, bo przyjaźń smutkiem zalega im dusze kiedy się rozstają. Względem Marylki nie uczuwałem tego wcale. Był to tylko pewien pociąg lekki, stały jak pewien wiaterku, co rozmowę listków roznosi, było to jakieś leciuchne przywiązanie, co przy każdem z nią rozstaniu zasępiało mnie trochę nie pozostawiając jednak śladów smutku.
Często siedzieliśmy razem; lubiłem bardzo spoglądać w jej niebieskie lazurowe oczy, w jej pięknne płowe włosy, dotąd jednak nie powstało we mnie inne uczucie, prócz łagodnego cichego przywiązania. Ona znowu była trochę uśmiechniętą... czuła do mnie przywiązanie jak do brata; na zasadzie tej braterskiej przyjaźni rozmawialiśmy czasem samotnie, a okno, co tyle słów naszych słyszało, tyle odgadywało myśli, było niemym świadkiem.—
Pewnego dnia, pamiętam ten dzień, był to Poniedziałek 12 Październikа, siedzieliśmy jak zwykle. Rozmawialiśmy wiele, choć o niczém; Ona spoglądała czasem na mnie z wyrazem współczucia

a ja mimowolnie w Nią wlepiłem oko. Tak ubie-
gło chwil kilka. Nagle zatrzymała na mnie
swe spojrzenie - jéj niebieskie oczy spotkały się
z mojemi. Zadrżałem przed tym wzrokiem - coś
nakształt iskry przebiegło po moich żyłach. Spu-
ściłem oczy, nie śmiałem na nią spojrzeć, a jednak
czułem, że poświęcił bym wszystko, abym tylko
mógł wiecznie tak siedzieć z nią razem i napa-
wać się widokiem jéj anielskich oczu! . . .
Jest w sercu naszém pewna ukryta iskra, któ-
rą wiek młodzieńczy rozżarza coraz bardziéj, do-
póki niewybuchnie wulkanem na całą istotę
człowieka. Wtedy to pierwszy raz objawia się
w nim uczucie, źródło innych uczuć - miłość. -
Gdy promień miłości rozjaśni serce człowieka
już zdolnym on jest do najszczytniejszych po-
święceń, do najśmielszych przedsięwzięć, do zwal-
czenia najsilniejszych przeciwności. On jest wte-
dy bohaterem, on jest wtedy Artystem. U niego
wszystko przybiera różową barwę, znika smutek
pośród największych burz pocisków, on wszystko
znosi z jednomyślnością - bo w miłości znajdzie
zawsze niewyczerpane źródło pociechy. Dla te-
go biedni, co nie kochali nigdy, których serce
zamknęło się w sobie jak pączek przepalony
od słońca, nie są zdolni wznieść się po nad

ziemię, zabłysnąć wiosną swego życia; oni tylko zdolni jak karły pełzać w ubogiej mierności ducha - nie żądają wiele, bo co tylko wyższe nad mierność to już jest za wielkie na ich siły i przemijają na tej ziemi jak kwiat nierozwinięty bez wspomnienia i żalu. Ten tylko kto serce swoje otworzył kluczem miłości, kto podzielił swe uczucie z podobną sobie istotą, kto przestąpił ten zakres, gdzie zimna obojętność z zapałem graniczy, ten tylko zdolny jest wyłonić z swej piersi natchnienie, zaczerpnąć sił nieprzebranych na drogę żywota i unieść się po za gwiazdy!...
Bo w łonie ludzkości wre walka Rozumu z Uczuciem i ten kto chłodną rozwagą nie zniweczył kwiatów swego serca, zdolny jest poznać swoją ludzkość i drogą zapału uszczknąć tajemnic zapartych dla chciwego Rozumu. Precz więc z rozumem, precz marne liczby z toni mego życia! oddalam was na zawsze od siebie! Witam cię boska Miłości, Miłości Niebios córo! ty unieś mnie na swoich skrzydłach w krainę tego wiecznego życia, gdzie leży nieprzeparta tama dla ziemskości!...
Takie uczucie szlachetne, bohaterskie, tajemnicze zajaśniało wtedy w mojem sercu. I wtejże chwili uczułem pokrzepienie na Duchu, zapomniałem o obecności, nawet patrząc na Nią zapomniałem o Niej i cały utonąłem w marzeniach! Ja uczułem

w mej piersi natchnienie, wzniosłem swoją duszę. Odtąd uczucie przebiegało wszystkie moje żyły, otworzyły się dla mnie skarby poezyi - moja lutnia zabrzmiała pieśnią miłości, ja czułem się najszczęśliwszym z ludzi. A jednak miłość moja była cicha, smętna, czysta i nieskazitelna. W mojéj duszy nigdy nie powstała myśl płocha, zuchwała; nie powstała ani jedna chwila żądzy; jam Ją ukochał miłością Anioła, niebiańską, duchową, co tak uszlachetnia serca, co tak wznosi nasze dusze!

Z dniem każdym iskra, co zabłysła w mojém sercu, rozżarzała się gwałtownie, z dniem każdym kochałem ją więcéj i więcéj coraz... Za jeden Jéj uśmiech rzuciłbym się w przepaść, za jeden Jéj pocałunek poświęciłbym wszystko... siebie samego... jakbym bohatersko wytrzymał męczarnie, gdyby mię tylko Jéj spojrzenie zachęcało do wytrwania.

Miłość moja wzrosła do tego stopnia, żem zazdrościł spojrzenia, rzuconego przez Nią na własnego brata, zazdrościłem słów najobojętniejszych, wyrzeczonych do kogo innego. Cały mój wzrok zwrócony był tylko na Nią, całym duchem pochłaniałem słowa wychodzące z Jéj ustek, ja żyłem tylko dla Niéj, tylko przez Nią, Jéj szczęście było mojém własném szczęściem. Jéj najmniejszy smutek moją własną boleścią. Ona ciągle jak gwiazda świeciła na drodze mój myśli; A jednakże wśród

-owego anielskiego szczęścia, nieraz myśli posępne przesuwały się po moim umyśle; nieraz obawiałem się, aby jaka czarna chmura, nie zasępiła tego jasnego widnokręgu, z którego piłem słodycze. Dla zakochanych czas ma szybkie skrzydła. Dnie mijały za dniami, tygodnie za tygodniami, a ja nie liczyłem czasu, bo czas był dla mnie tylko próżnią, w której ja dopiero podstawy szczęścia budować zacząłem. Kilka razy Ojciec pisywał do mnie, że czas wracać do Warszawy, czas udać się na urzędowanie, to znów radził mi wstąpić do Kształtni Lekarskiej nowo otwartej w Warszawie; — ja byłem głuchy na przedstawienia — ja wtedy żyłem tylko obecnością.

Aby czémkolwiek usprawiedliwić mój tak długi pobyt u państwa Wiśniewskich, uczyłem im syna, tudzież wszystkim trojgu opowiadałem Dzieje Ojczyste. Marylka słuchała z zajęciem. Widzę jeszcze to oko wlepione w opowiadacza, ten miły uśmiech, kiedym w chwilach zapału unosił się nad bohaterstwem naszych przodków, nad chwałą mojego narodu. Ja byłem wtedy krasnomówcą — wypadki, dni, imiona płynęły mi z ust nieprzerwanym ciągiem, ja wtedy mimowolnie zgromadziłem całą moją pamięć i wymowę. Jedno Jej spojrzenie było dostatecznem do zgromadzenia wszystkich moich wiadomości.

Opowiadaliśmy zwykle wieczorami, a potem pisaliśmy krótki ciąg opowiadanych dziejów. Pan Jabłoński był czasem obecny na takim piśmienniczym wieczorku – dziwił się mojéj pamięci i łatwości wysłowienia. Czułem wtedy rumieniec występujący mi na lica i ja, którym przed chwilą tak łatwo władał językiem, nie mogłem znaleść słowa na odpowiedź. On włożył to na karb zbytecznego zajęcia się przedmiotem, obawiałem się jednak, czy nie odgadł, co się działo w mojéj duszy i kto jest moim natchnieniem. –

Brat Marylki najmłodszy Jasio, chłopiec swywolny pojął i odgadł od dawna, że mam do niéj większe niż do kogo innego przywiązanie. Jasio miał dobre serce i kochał mię czule jak przyjaciela i brata. On był moim posłem. On codziennie przenosił dzień dobry i dobranoc jak się masz i do widzenia i ostrzegał mnie zawczasu przed niebezpieczeństwem. Poznałem bowiem wkrótce, że mi się strzedz należy. Siostra Marylki Aniela, panienka żywa i dość ładna, ale płocha i trzpiotliwa śledziła nas często i starała się prześladować. Jakkolwiek czułem dla niéj przywiązanie braterskie, nieraz jednak z tego powodu przykrzyłem sobie jéj towarzystwo. A przytem Marylka przy swéj wrodzonéj nieśmiałości, była nieco śmielszą gdy jéj siostry nie było. –

Jasio więc zawsze skrycie stał odemnie postawiony

na straży i chronić mnie od złośliwych uśmie-
chów, które były nie najprzyjemniejsze.-
Pewnego dnia Marylka, znużona poobiednią
przechadzką, zasnęła na chwilę. Janio donosił mi o tem.
Pisałem dla Niej wtedy jakieś urywki - spiesznie więc
odbiegłem od pracy do mego śpiącego Anioła.
Ach! jakże była piękną, jak zachwycającą w tej
chwili! Jéj śliczne płowe włosy w gładkich splo-
tach spływały na śnieżną szyję, zamknięte oczy
zdawały się błądzić nie po ziemi, bo Anielski uśmiech
rozjaśniał Jéj usteczka różowe. Zdawało mi się
że widzę niebiankę, która po to tylko zstąpiła na
ziemię, aby rzucić te kilka kwiatów szczęścia, któ-
re ja tak spiesznie pochwyciłem.-
Zbliżyłem się na palcach, aby Jéj nie przebudzić.
Przez chwil kilka patrzyłem nań zdala lubując
się Jéj śpiącą postacią. Czułem gwałtowne bicie
serca - szedłem trochę nieśmiało ukradkowo. Na-
reszcie lekko dotknąłem Jéj serca, i obejrzawszy
się poprzednio na wszystkie strony, złożyłem
cichy pocałunek na Jéj czole. Jakiś prąd roskosz-
ny przeszedł mi po całem ciele, twarz moja pała-
ła, byłem wtedy Polikratem i radbym był tak
wieki patrzeć na ubóstwioną kochankę. Ale szelest
w oddali obudził mnie z zachwycenia; złożyłem
więc jeszcze na Jéj licu kilka ognistych pocałun-
ków i spiesznie powróciłem do mego stolika.-

Państwo Jabłońscy odgadywali może moje myśli – tym bardziej, żem czasem zapomniał schować jakiego wierszyka, którym do Niej pisał, albom zapomniał lub nie mógł ukryć jakiego więcej znacznego wzruszenia. Ale byli to ludzie nie bardzo dla mnie niebezpieczni. Pan Jabłoński kochał mnie prawie jak własnego syna, nazywając mnie zawsze swoim wnukiem; żonę jego przyzwyczaiłem się uważać za matkę; będąc u nich uważałem się za czwarte z rodzeństwa, i słyszałem czasem jak porównywali moje z Marylką usposobienia: rozpalona wyobraźnia mogła z tego wiele domarzyć. – Wszczęściu dni szybko upływały - bawiłem już blizko dwa miesiące i niewiele miałem chęci do odjazdu, gdy w tém Ojciec doniósł mi, że w Warszawie przy Uczelni Gubernialnéj otwartą została oddzielnie Klasa Leśna Prawna sposobem próby na lat trzy - i radził mi, że jeżeli nie jestem obojętny na własne dobro, abym przyjeżdżał zapisać się jeszcze na pół roku, a potem poświęcić się leśnictwu. List ten spadł jak piorun burzą brzemienny i zachmurzył mi dotychczasowe szczęście. Pan Jabłoński radził mi nie opuszczać takiéj sposobności, ja sam także czułem pożyteczność podobnego kroku, ale nigdy jeszcze podobny smutek nie zaległ mi serca, nigdy jeszcze w moim umyśle nie powstała większa walka za i przeciw, jak wtedy. Nakoniec zważywszy, że pobyt mój, jakkolwiek w przychylnym mi domu, był za

długi i byłoby może niegrzecznością nie wyjechać, gdy tak ważna nastręczyła się przyczyna, odważyłem się udać w podróż. Na to postanowienie wpłynęła wiele okoliczność, że nie chciałem się w zabardzo złem świetle przedstawić opierając się przełożeniom Ojca, który w ostatnim liście pisał mi, że jeżeli nie pójdę za jego radą, zostawi mnie własnemu przekonaniu obecnie i nadal. Trzeba było uledz.
Z boleścią w duszy, z rozdartem sercem opuszczałem moją ukochaną Marylę, - i ona podzielała mój smutek, co tym większą sprawiało mi boleść: ja byłbym może weselszy, gdybym widział ów dawny, swobodny świetlki uśmiech na Jéj ustach. Zamieniliśmy kilka smutnych spojrzeń, rzuciliśmy się w wzajemne objęcia, wpletaliśmy dwa ostatnie pocałunki i słowa: bądź zdrowa Marylko! zakończyło moje szczęście.-
Pożegnałem Jéj rodzeństwo, pożegnałem Jéj rodziców i wkrótce potem wsiadłem do powozu. Był to dzień 4 Grudnia 1857 r. Pocztarek zatrąbił na odjazd - ach, jakimż smutkiem przejął mnie ten dźwięk trąbki, co żegnał może na długo to miejsce, w którem moja miłość zakwitła, gdzie szczęście po raz pierwszy pełnym spełniłem pucharem, aby znowu wychylić kielich goryczy! Konie ruszyły. Byłem w otrętwieniu, mimowolnie błądziłem wzrokiem w stronie tyle dla mnie drogiego domku; wszystko na chwilę zdawało mi się jakimś snem bolesnym;-

jednak łza spadła mi na lica, westchnienie wydobyło się z piersi - siedziałem nieporuszony. Miałem za towarzysza P. Wiecsór, Nauczyciela Uczelni Gubernialnej Piotrkowskiej. Światły ten człowiek rozerwał mnie trochę, dał on mi jakieś utwory poetyczne do przejrzenia - nie czytałem ich jednak, z nim też nie wiele mógł zważać co mówił. Całą ową podróż gorzko rozmyślałem o przeszłości i z bojaźnią badałem przyszłość, w której moje ściśnione serce widziało same tylko czarne chmury, same tylko burze. - Czasem tylko wspomnienie o Niej, odnowienie Jej obrazu w myśli rozjaśniało jak tęcza na tem chmurnem niebie, lecz ta znikała nagle pod natłokiem smutku. -

V.

Tak rozstrojony przyjechałem do Warszawy, którą znienawidziłem na samym wstępie, za to, że była poniekąd przyczyną mojego odjazdu z tego raju jaki sobie stworzyłem. Przyjechawszy do domu zastałem tylko macochę ze średniem z mego młodszego rodzeństwa. Starszy mój brat przyrodni, już sześć lat mający umarł w Sierpniu w tymże roku - a za nim wkrótce padła i siostrzyczka, jakby obawiając go się zostawić samotnym w pozaziemskim świecie. Pustki po nich przykre na mnie sprawiły wrażenie. Ignacia, przyjechawszy do domu, miałem zamiar uczyć; - niestety niedoczekał się nauki! Jedyny brat jaki mi pozostał chorował także niebezpiecznie

i lędwie się uchować. Wyzmnutniał więc dom nasz i powitanie go było tak smutne jak i podróż. Ojciec był w biórze. Macocha powitała mnie grzecznie, ale tylko grzecznie; nie pragnąłem od niej więcej. — Powitanie z Ojcem było trochę podszczone z wymówkami; nie miałem mu za złe, że mnie ciągnął do Warszawy, pragnął bowiem mego dobra. Szkoda tylko, że owa Klarka ósma nie odpowiedziała jego oczekiwaniom. Tak więc pozostałem sam; — wszystkie twarze zdawały mi się za smutne, ściany za ponure — ciągle wzdychałem za tym małym domkiem, w którym spędziłem tyle chwil rozkosznych, a które dziś po sobie zostawiły tylko smutek wśród wspomnień żałosnych, jak parowiec, co ślad swej wesołej jazdy oznacza tylko czarnym kłębem dymu, zasępiając go w powietrze. — Ojciec dziwił się nieraz gdym pogrążony w dumaniu przesiadywał po kilka godzin na jednem miejscu z oczyma w jedno miejsce wlepionemi i sądził, żem chory. — Prawda, byłem ja chory, ale sercem tylko i duszą. Byłem jak kwiat któremu odjęto promienie słoneczne. — Nie prędko się znajdzie lekarstwo na zbolałą duszę, i jedynem lekarstwem jest pociecha, ale któż mię mógł pocieszyć? Ona była daleko odemnie… Mówią, że czas goi wszystkie dusze i serca rany — mylił się kto to wyrzekł. Czas jest to wielka próżnia, w której ukryć można wszystko, ale zniszczyć nigdy! Może on ranę zabliźnić, ale nie zagoić; tam

zawsze pozostanie ból wewnętrzny, co się przy pierwszej niepogodzie odezwie: czas tylko koi nie goi.–
Miałem dopiero lat siedmnaście, a już tyle wypiłem szczęścia i wkład zatem tyle przetrawiłem goryczy, że sam nie mogłem pojąć, gdzie jestem, czyli wszystko, co istniało w mej pamięci, było rzeczywistą prawdą, czy tylko snem bolesnym, nieurzeczywistnionym marzeniem… Ale Jej obraz nadto głęboko wyrytym był w mojej duszy, abym śmiał wątpić o minionem szczęściu, a serce nadto było zbolałe, abym mógł wątpić o obecnem rozczarowaniu.–
Jakże to krótkiem ludzkie szczęście! Nie darmo nam Stwórca dał czułą duszę, serce pełne uczuć. Uczucia wiążą się z sobą i nigdy radość nie obejdzie się bez smutku, jak róża bez kolców. Ten tylko kto zdołał w swem sercu bieg krwi zatamować, ten tylko, kto zamknął się dla drugich, uskrzrzył się w sobie, ten tylko nie doznaje wzruszeń, a nawet niezdolny pojąć smutku, bo życie jego ślimacze zawsze jednostajne bieży po drodze zimnej mierności, nie wiedząc, co się wokoł dzieje. On mówi, że wygrał, bo nie goni za marzeniem i zna rzeczywistą wartość wszystkiego – a niepamięta, że zdeptał swego ducha, wprzód nim zdobył to chłodne doświadczenie, którem się tak chlubi. Stanął na zgromadzonych skarbach, skrzętną ręką zbieranych – i nie spostrzegł, że się znajduje w gronie głazów.–
Głaz, co go przybił do ziemi posłuży mu też za ka-

mień grobowy, którego łza ludzka nie skropi. –
Tak minęło dni kilka. Jam był ciągle smutny i niepocieszony; mnie obojętną była Warszawa, w której inni upatrywali tyle wdzięku, mnie obojętnym był wir zabaw, w który inni tak ochoczo się rzucali – moją zabawą było rozmyślanie o Niej, moją pociechą była nadzieja obaczenia się znowu.

Chciałem się wziąść do jakiejś pracy, do pewnego zatrudnienia, ale nadaremnie. Dziś zdolny byłem tylko do Poezyi tęsknej, smutnej, wylewającej się, jaką była przepełniona moja dusza. Pisałem więc poezje, czytałem księgi dziejowe, to znowu dumałem wieczorami w domu lub na przechadzce i tak czas zeszedł do Nowego roku. – Przyzwyczaiłem się do obecności jak więzień do kraty dzielącej go od świata; jak więzień też wrociłem wzruszenia, mając ciągle w pamięci minioną przeszłość i wzdychając do niej.

Postanowiłem wreszcie zapisać się do owej Klasy VIIIej, która była przyczyną mego odjazdu ze Stoga, chociaż ten prędzej, czy później i bez tego musiał by nastąpić. Poznałem znowu moich nowych towarzyszów naukowych, ale było to wszystko giętkie, modne, zwyczajnie młodzież, co już weszła w świat i niespodziewała się na nowo wejść

na uczelnych ławkach. Większa ich część pracowała po sądach; mieliśmy bowiem tak rozłożone godziny, że czas sądowy był wolnym.— Kursa rozpoczęły się z dniem 13 Stycznia 1858 r. Każdy z nas spodziewał się i wiele skorzystać i nabyć przez ukończenie téj klassy pewnéj podpory w posuwaniu się na posadę. Omyliły nas nadzieje. Bo jakże można było przez cztery miesiące przejść całkowity kurs prawa obowiązującego wraz z dziejami prawodawstwa! Ten w czyjéj głowie myśl o owéj prawnéj klassie powstała nie wiele zapewne zadawał sobie pracy w rozważaniu korzyści, jakie ona przyniesie dla kraju i pragnących się poświęcić służbie sądowéj.—

Odwiedziłem moich przyjaciół. Misio i Bolesław wstąpili do Kształtni Lekarskiéj nowo otworzonéj w Warszawie — Stasio zaś przygotowywał się wstąpić w roku przyszłym do Wszechnicy; zajmował się obecnie językami i czytaniem dzieł; Ojciec jego Sędzia Sądu Odzewnego był moim Nauczycielem w Klassie VIII éj. Dobry to był prawnik, zamiłowany w prawnictwie i w mowie ojczystéj — szkoda tylko że nie miał czasu nauczyć nas wiele. Ta owa Klassa, była jakby umyślnie utworzoną na to, aby się w niéj nic nie nauczyć.—

Powoli, jednostajnie czas zbiegał. Codziennie dwie ranne i dwie popołudniowe godziny spędzałem na nauce prawa. We dnie w wolnym czasie przepisywałem kursa; wieczorem ukończywszy pracę, chodziłem na przechadzkę - często się wtedy zaszło do znajomych, pogadało trochę, a potem znowu do domu. Nudno mi nader czas upływał: z przykrością go sobie wspominam.

Upłynęło półczwarta miesiąca. Dowiedziałem się wreszcie, że moi trzej przyjaciele, wynajęli sobie w końcu miasta oddzielny pokoik. Smutno mi było w domu, przyłączyłem się więc do nich. Mieszkaliśmy znowu we czterech. Cały dzień wolny od nauk przepędzałem w tej izdebce, przypominającej mi pokoik, w którym tyle chwil przyjemnych spędziłem - i tam zajmowałem się prawem i poezyą, spisując sobie płody najpierwszych naszych utwórców; sam także pisałem wierszyki, śpiewałem piosnki, które dla Niej splętałem i tak powoli zajmowałem umysł, który już teraz nie mógł w nieczynności, jak dawniej zostawać. W domu bywałem rzadko - prawie tylko na obiedzie, przepędzając resztę czasu w przyjacielskiem gronie. Czytaliśmy dzieła, spisywaliśmy wiersze, a wieczorem zasiadłszy nad wrzącym samowarem paliliśmy fajki i toczyli

pogawędkę i wśród wzajemnych uniesień, wśród wzajemnego: Kochajmy się! odnawialiśmy dawne wspomnienia, i rozwijaliśmy zamiary na przyszłość.—

Płynęły dnie za dniami trochę weselej jak w domu, zbliżała się pora wypytań. Po skończeniu klasy VIIIej miałem zamiar udać się na początkowanie do Sądu Pokoju; nie rzuciłem jednak myśli odwiedzenia Marylki przed udaniem się do Sądu. Nadzieja ujrzenia Jéj wkrótce, skracała ten czas, co mię od niej dzielił. W mgnieniu oka przeszły wypytania i otrzymałem świadectwo z ukończenia nauki prawa.

Znowu więc byłem wolny, znów swobodny, znów byłem bliski wydalenia się z Warszawy i wyjechania w kochane strony. Ale znowu przeznaczenie odwlokło nieco spełnienie tak dawnego życzenia i rzuciło mnie na drogę na którą poprzednio mało zwracałem uwagi.—

W téj porze z Wszechnic rossyjskich pozjeżdżali się do kraju dawni moi naukowi towarzysze. Spotkałem się z wieloma z nich, byłem u kilku. Toczyliśmy pogawędkę a rozprawiając o tem lub owem każdy z nich zaczął wychwalać swoją Wszechnicę i zachęcać mnie do kończenia ostatnich nauk. Mówiono o kilku przez Rząd wyznaczonych posadach; czas był

starać się o nie, jeśli kto niemógł jechać na utrzymanie z własnych zasobów, a pragnął dokończyć ukształcenia. Ja byłem w takiem położeniu; zabłysła mi nagle myśl podobna – postanowiłem więc spróbować szczęścia. Był to dzień 4 Lipca 1858 r. pamiętam ten dzień, bo on może ważnym będzie w mojém życiu. Nazajutrz podałem w tym celu prośbę do Okręgu Naukowego, a za dni kilka rozpoczęły się wypytania, które trwały dni sześć. Widocznie sprzyjało mi szczęście, gdyż prawie bez przygotowań przeszedłem dobrze wypytania i otrzymałem jedno z prawnych miejsc po 245 rubli rocznie. Niewiadomo jeszcze było, gdzie zostanę wyprawiony, do Moskwy czy do Petersburga. Ministerstwo Oświecenia miało to rozstrzygnąć. W tym celu zostały wyprawione papiery do Petersburga, na które nieprędko mogła przyjść odpowiedź. – Miałem przeczucie, że nad brzegi Bałtyku wyprawionym będę. A tym czasem ukończywszy dzieło, które nagle jak piorun spadło mi na głowę, mogłem się udać w podróż. –

Z nową radością i nadzieją wydalałem się z Warszawy. Zamiarem mojéj podróży było ujrzenie Marylki, ale zarazem i pożegnanie Jéj na czas długi. Pan Jabłoński wskutek owéj sprawy o rozwalenie bóżnicy został przeniesiony na Burmistrza do Pa-

mięcina, niewielkiego miasteczka o dwie mile oddalonego od Kalisza. Musiałem więc jechać przez Kalisz. Jakkolwiek zawsze drogiem było dla mnie to miasto rodzinne, ale w obecnéj chwili widziałem jedną tylko gwiazdę w jedno mię tylko przyciągającą miejsce.—

Przybyłem do Kalisza, zabawiłem tam dni kilka i pożegnawszy Babkę i znajomych pojechałem do Pamięcina. Tak byłem niecierpliwy, że lotem ptaka pragnąłem przebiedz dwie mile. Przybyłem nareszcie. Panna Aniela spostrzegła mnie przez okno i zaledwie zdołała donieść o mojem przybyciu, gdy ja już stanąłem w progu. Rzuciłem okiem po pokoju; Jéj spostrzegłem zdala, ale wybiegła żywo przewinąwszy mi się przed oczyma. Serce mi biło gwałtownie, nie miałem odwagi ukrywać wzruszenia. A tu w jednéj chwili: Awitaj nam! jak się masz? coś robił, gdzieś bywał? — sypnęły się zapytania . . .

Powitałem Państwa Jabłońskich i zacząłem toczyć jakąś rozmowę i nie pamiętam już czy słowa moje były w związku, taki byłem zmięszany i zwarzony. Wkrótce nadbiegł Jasio i rzucił mi się na szyję — a za nim Panna Aniela — powitałem ich, usiadłem, znowu wstałem — byłem jak na mękach. Nareszcie przyszła i Ona. Mogłem Jéj się teraz lepiéj przypatrzeć. Utkwiłem w Nią oko — zmięszała się

nieco; rumieniec ten uczynił Ją w moich oczach jeszcze piękniejszą, jak dawniej.
Zbliżyłem się, aby Ją powitać. Ach, jakże wtenczas nie życzyłem sobie świadków! Twarz moja pałała, nogi się chwiały podemną, gdym się do Niej zbliżał.. Marylciu! wyrzekłem i słowa skonały mi na ustach.. Ona nieśmiało spojrzała na mnie i na Rodziców - a ja objąłem Ją i prawie upadłem na Nią.. nasze usta spotkały się cicho, potajemnie, nasze oczy zapadały gwiazd promieniami.. Jéj włosy trąciły o twarz moją.. Boże mój, jam wtedy był w Niebie, ja szalałem z rozkoszy..
Przez chwilę byłem nieruchomy - nie mogłem się od Niej oderwać; tylko serce biło mi gwałtownie, tylko pierś mi się wznosiła, tylko oko jaśniało ogniem miłości - Ja byłem na ziemi, ale ciałem tylko; duch mój uniósł się w inną, rozleglejszą krainę, krainę marzeń. Przez tę krótką chwilę odnowiły mi się w myśli wszystkie ubiegłe wspomnienia, w téj małéj chwili zgromadziłem całą rozkosz jakiéj tylko doznać mogłem - ja byłem pijany miłością!...
Przyzwoitość nakazała mi Ją opuścić. Na różnorodnéj rozmowie przeszedł ten dzień pierwszy, dzień błogi, tak bogaty w szczęście. Był to dzień 14^{go} Sierpnia; Nazajutrz były Imieniny Marylki. Dzień ten żywo mi stoi w pamięci; pierwszy to

bowiem raz obchodziłem go na miejscu, obok tej dla której zajaśniał. Od samego rana czułem w nim jakąś uroczystość - a kiedy wieczór i powinszowania sypały się jedno po drugiem, ja wybiegłem z pokoju, szukając sposobnej chwili, aby Jej powinszować oddzielnie, gdy będzie samotna. — Znalazłem Ją nakoniec samą w małym panieńskim pokoiku. Stała patrząc się w okno - usłyszawszy moje kroki, obejrzała się i odwróciła. Przez chwilę panowało milczenie - nie śmiałem doń przemówić. Cóż Jej mogłem życzyć? moje serce więcej dla Niej czuło życzeń, niż słowa były zdolne wypowiedzieć. Dla tego też nie mówiłem wiele, jak to zwykle przy powinszowaniach bywa, ale tylko uścisnąłem Ją serdecznie i z okoliczności dnia tak uroczystego ofiarowałem Jej pamiątkę. Była to książka do Nabożeństwa. przyjęła ją i wyrzekła z cicha: dziękuję - Ona zrozumiała moje powinszowanie, ona pojęła żem więcej czuł, niż mógł powiedzieć - i spojrzała na mnie, tak lubo, tak Anielko, że długo potem gdym w duszy Jej obraz odmawiał, zawsze mi to rozjaśnione, lazurowe oko przyświecało, zawsze mi się przedstawiał ten uśmiech łagodny, co Jej wtedy płosił usteczka.

Co mnie tylko wówczas zasmucało, to ta wielka nieśmiałość Marylki, znaczna cecha odróżniająca Ją od Siostry. Panna Aniela trzpiotliwa, filuterna

wesoła, niedała się prosić ani o uśmiech, ani o spojrzenie. Jéj uśmiech był na zawołanie – spojrzenie było śmiałe, wyzywające. Ale dla tego to właśnie te trzpiotliwe rysy niemogły wzbudzić uczucia, a jéj uśmiech, gry oka stały się za powszednie. Marja przeciwnie, zawsze skromna, zawsze nieśmiała, ale za to pełna uczucia; każde Jéj spojrzenie rozlewało poezję w mojéj duszy – każdy Jéj uśmiech, niesztuczny ale z uczucia wykwitły, roztaczał urok nie do opisania, a im rzadziéj się pojawiał na Jéj ustach i prawie zawsze miał za towarzysza jasnoróż na licu, tym bardziéj był pożądany, tym większą wartość posiadał – i kiedy Marja każdym spojrzeniem, każdym uśmiechem, każdém swojém słowem przenikała do duszy i pozostawiała drogie po sobie wspomnienia. Aniela mimowolnie, sztucznie wesoła, szafująca zbytecznie tym skarbem, co tak zdobi kobietę, wydawała się tylko zabawną i chwile z nią przebyte przemijały bez wspomnienia i smutku. –

Jak mężczyźnie tylko zapał i dzielność wartości nadać mogą, tak w kobiecie zachwycają nas tylko ciche uczuciowe obrazy, na dnie duszy powstałe i z nieśmiałością gościa po licu błądzące. Namiętne, ogniste córy południa mogą nas oczarować na chwilę, natchnąć przelotną miłością, ale nigdy nie pozostawią po sobie tych

czawych wspomnień, jakie tylko serce wypieścić, a dusza wypielęgnować jest w stanie. Tak poetyczne, tak uczuciowe dziewice u nas znaleźć można. Jak poeta w chwilach natchnienia tak kobieta nieprzerwaném uczuciem być winna, a gdzie tylko uczucia brak, tam nie masz kobiety. Prawdziwie cnotliwa dziewica odznacza się skromnością i nieśmiałością. Wstyd dziewiczy dopiero na ślubnym kobiercu pozwoli Jéj wyznać, że kocha narzeczonego. Przed tym dniem uroczystym jéj serce w milczeniu chowa tę iskrę, co w jego łonie powstała, jak Westalka ogień święty – a jasnoróż, co zdobi jéj lica, więcéj jéj zalet dodaje, niż wyjawienie swych uczuć. – Oto ideał, jaki sobie wymarzyłem i jaki znalazłem na drodze swojego życia – szczęśliwy jeżeli go posiądę, zrozpaczony jeżeli utracę; bo w długiem naszém życiu, które jest niejako pielgrzymką po pustyni, rzadko znaleźć oczekiwaną oazę, – a jeśli przeznaczenie nie dozwoli nam do niej dobiedz, umieramy spragnieni, nie ożywiwszy ust spiekłych nektarem ze zdroju uczucia... Boże! w Twojem ręku moja przyszłość spoczywa, – wiem to dobrze, ale czuję, że jeżeli oderwiesz od mego serca ten listek, który ono pieści tak długo – to serce biedne uschnie i zwiędnie dla mojéj przyszłości. Ja silny jestem, dopoki Jéj spojrzenie, Jéj uśmiech rozjaśniają moję

mogę, dopóki Jéj złota dusza natchnienia mi dodaje, — ale upadnę nie podniósłszy się na nowo, jeśli . . . . nie, niemam odwagi dokończyć . . .

— · —

Tak spędziłem dni cztéry, patrząc na Jéj lica, pijąc te spojrzenia, w których zawsze niebo widziałem, napawając się tym zachwycającym uśmiechem, co tak wstrząsał mą istotą, temi dźwięcznemi słowy, co tak mile chwytałem z Jéj ust koralowych! Ja znowu byłem szczęśliwy, jak wtedy kiedym po raz pierwszy uczuł miłość przebiegającą me nerwy, jak wtedy, kiedym po raz pierwszy ujrzał w Niéj to marzenie, które tak tęsknie, niewidzialnie, tajemniczo błądziło po mojej duszy. . .
O drugiej stronie mego życia w Rumięcinie cóż powiem? . . . Oto błądziłem czasami wieczorem z matką Marylki, którą już teraz za własną matkę obrałem i wielkie do Niéj czułem przywiązanie. — Chodząc po milczącej przestrzeni wokół domku, staraliśmy się nieraz ulżyć sobie ciężary, co nam duszę tłoczyły. Jam miałem porzucić wszystko i podążyć w nieznaną mi ziemię — Ona była Matką a syn jéj był w Warszawie samotny, własnym pozostawiony siłom, w obawie o jutro. Ona wiedziała, co się działo w mojem sercu, chociaż sam nigdy nie miałem tyle śmiałości aby jéj się otwarcie z tem wynurzyć — ale wzruszenie przenikające

moją duszę pozwoliło jej zapewne lepiej mnie odgadnąć, aniżeli słowa na jakie mógłbym się zdobyć.—

Nieraz łzy spadły nam na dłonie, nieraz złączyły się nasze westchnienia i wzajemna pociecha kazała nam się spodziewać nadziei. Czasem chodziliśmy długo w noc późną, a ile razy rozłączałem się z Matką Maryli, zawsze odchodził trochę pokrzepiony, rozweselony, natchniony nadzieją! Czasem z panem Jabłońskim prowadziliśmy rozmowę— przedstawiałem mu moje zamiary na przyszłość, to znów opowiadałem coś z ubiegłych wspomnień. Znużony całodziennem biurowem zatrudnieniem lubił wieczorkiem gawędzić. Czuł on do mnie przywiązanie—ja nawzajem byłem z nim trochę na domowej stopie, jak z Ojcem; przypominam jednak, że nie miałem doń tej śmiałości, jaka mi towarzyszyła w rozmowie z jego żoną.—

Godzina odjazdu szybkim zbliżała się krokiem; trzeba było znowu pożegnać krótko trwałe szczęście, znowu żyć tylko myślą, nadzieją, tęsknotą! Ach, jakże ta chwila mimowolnie przejmowała mnie bojaźnią! W moim umyśle krążyły ciągłe obawy to o siebie, to o Nią. Miałem Ją ujrzeć dopiero za lat cztery, a może nigdy, któż mi bowiem mógł zaręczyć, że zmienne podnośne powietrze, o którem mi tyle mówiono,

nie przyniesie uszczerbku memu zdrowiu. —
Rozpalona wyobraźnia błądziła dalej — Widziałem przed sobą długą chorobę w dali od ubóstwionego Anioła, w oddali od kraju i przyjaciół, od wszystkiego — nareszcie wzmagające się opuszczenie sił i ostatnie za przeszłością westchnienie...
Ta myśl przejmowała mię dreszczem. Umierać, umierać wtenczas, kiedy wiek młodości w najlepsze się uśmiecha, umierać wtedy kiedy serce po raz pierwszy zbudziło się z tak długiego uśpienia i zatętniło tętnem miłości — wstąpić do mogiły, kiedy nad Nią róże rozkwitać zaczynają i upajać cudowną wonią — to trwoga, to rozpacz pomyśleć!
A przecież myśli te mimo starań, aby je usunąć od siebie, przychodziły dość często, i przedwcześnie truły mi spokojność. —
Przyszedł nareszcie ten dzień złowieszczy, dzień 21. Sierpnia. Trzeba było pożegnać szczęście i ruszać w oddalsze ziemie. Wypadało mi znowu jechać przez Kalisz; znalazła się wygodna sposobność — o trzeciej z południa miałem odjeżdżać. Im więcej zbliżała się ta chwila, tym większy czułem smutek, tym większy żal obecności zakrwawiał mi serce, tym większa obawa przyszłości niepokoiła moją duszę. Spędziłem dwie godzin w męczarniach, jak to zwykle bywa przed odjazdem. Zajechała nakoniec bryczka, zawiadomiono, że wsiadać należy. —

Ja byłem odrętwiały – chciałem pakować rzeczy, choć te już były popakowane, – błądziłem po pokoju zwarzony; ściskałem Jasia kilkakrotnie, jakby z żalu, że jego z sobą zabrać nie mogę – był to bowiem chłopiec czuły i bardzo do mnie przywiązany. Ilekroć ja byłem smutny i on wtedy wesołym nie był, ale starał się pocieszać i wszystko zduszy byłby oddał, aby tylko mój smutek ukoić. Pożegnawszy Jasia żegnałem Państwa Jabłońskich. Smutne to było pożegnanie; odjeżdżałem bowiem z przekonaniem, że przed czterema laty nie powrócę – a ileż to w tym przeciągu czasu wypadków, ile zmian zajść mogło. Długom sobie wspominał to ich ostatnie pożegnanie, bo świętosini Rodzice czulszymi dla mnie okazywać by się nie mogli. – Uściskawszy serdecznie panią Aniel, zbliżyłem się do Marylki, która była wtedy w swoim małym pokoiku. Ona była smutną – w Jéj oku łezki się kręciły; mimowolnym podaliśmy sobie ręce i uścisnęli czule; łza długo wstrzymywana spadła mi na dłonie, pocałowałem Ją wesoło i rzekłem: bądź zdrowa! – W sionce jeszcze raz oddaliśmy sobie ostatnie pożegnanie i za chwilę słyszałem tylko turkot bryczki toczącej się śpiesznie po Zamiejskim bruku. Długo jeszcze widziałem białą chusteczkę powiewającą w powietrzu – i ta nareszcie znikła . . . Pozosta-

stałem samotny... tak samotny, ale postanowiony na wszystko. — Ona mnie natchnęła tem postanowieniem. Już mi teraz obojętnym prawie było gdzie jadę. Skorom z ogniska miłości wyjechał; smutno mi było porzucać kraj i przyjaciół — ale tylko po Niej jednej żal pozostał w mojem sercu. Byłem wtedy nawet silny; jakaś nadzieja szeptała mi, że Ją niedługo obaczę. — Zacząłem wierzyć w przyszłość, w powodzenie, w własne siły i wytrwanie. Ona mnie rozpromieniła i obdzieliła na drogę, i "alea jacta est" wyrzekłem. — Z takiem zapewnieniem o przyszłości jechałem z powrotem do Warszawy. Ostatni raz wstąpiłem w progi mego rodzinnego miasta, jeszcze raz pożegnał Babkę, nie przeczuwając że na wieki, pożegnałem znajomych i znowu w dalszą podróż. Nie byłem już smutny; boleść z postanowieniem przetrawiona, zmieniła się w ruszteh — nadzieja dodawała mi skrzydeł, a obraz kochanki odwagi. Naprzód dziecko przeznaczenia! myślałem, naprzód, śmiało zajrzyj w przyszłość, bo ołówek silnej woli z samém piekłem mierzyć się może! I przypomniał mi się wierszyk Mickiewicza:

„Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał Hydrze,
„ Ten młody zdusi Centaury,
„ Ten piekłu ofiary wydrze,
„ Do nieba sięgnie po laury! —

A razem z nim wróciła spokojność do duszy. Prze-
stanki szybko przemijały. Ukazała się nareszcie i
Warszawa – przyjechałem do domu. –

VI.

Dom nasz w owej porze niewiele się odmienił,
od czasu jak o nim wspominałem. W roku 1858. no-
wy przybysz z Raju powitał osamotnione ściany i
utulił trochę smutek mej Macochy po śmierci jej
dwojga dzieci. Ona sama odmieniła się nieco. Po-
stępowanie jej zimne przybierało barwę coraz bar-
dziej przyjazną – a także widząc może, że już dom ro-
dzicielski opuszczam, aby iść naprzód o własnych prowie
siłach, zaprzestała mędzić mego Ojca. Tak przynaj-
mniej mi się zdaje. Było mi więc w domu już trochę
przyjemniej. Prócz tego nowa osoba dom nasz po-
mnożyła. –

Władysław Jabłoński starszy brat Marylki, – przyje-
chał, jakem już wspominał, do Warszawy, mając
zamiar wstąpić do służby krajowej – i początkował
w biurze Naczelnika powiatu. Ale że Ojciec, mając
sam szczupłe zasoby i jeszcze troje dzieci w domu,
nie mógł go dostatecznie wspomagać, musiał
więc biedny ciężkie przechodzić koleje. Z począt-
ku udzielał nauki na fortepianie – ale to nie
bardzo rzecz przyjemna być na cudzym chlebie,
bo wiele wymagają, a mała nagroda; przymu-
szony więc był porzucić je niedługo, niechcąc dogo-

dzać kaprysom ludzi którym niczem nie był obowiązany - i znalazł się w dość przykrem położeniu. Matka, czuła, kochająca matka przysyłała mu od czasu do czasu, co mogła oszczędzić; wszystko to jednak było za szczupłe li na samo utrzymanie, a tu jeszcze trzeba było i mieszkanie opłacić i porządnie się pomiędzy ludźmi pokazać. Szczęściem otworzyło się miejsce pisarza w Urzędzie Lekarskim Gubernii Warszawskiej i Władysław zaszczytnie przedstawiony przez Naczelnika powiatu, otrzymał je. Szczupła to płaca, bo tylko 500 Złp. rocznie, ale już przynajmniej coś pewnego, stałego, co mu pościć na sitach i zrozpaczyć nie dozwoliło, a połączone z pomocą otrzymywaną z domu, mogła wystarczyć na nieodbite potrzeby. To mię przynajmniej pocieszało, że już ma nadzieję na przyszłość, że może pójść dalej i wyżej i będzie przecie mógł wybrnąć z kłopotliwego położenia.

Władzio był to poczciwy młodzieniec z otwartem sercem, przyjacielski, wylany i to właśnie było poniekąd jego wadą. Bo gdy miał pieniądze w kieszeni, to znaleźli się zaraz znajomi, z którymi musiał coś stracić - a jeden wieczorek przepędzony w cukierni, albo winnym sklepie prowadził nieraz za sobą szereg dni rozpacznych i kłopotliwych. Jako powinowaci przyjaźniliśmy się szczerze.

Przykro mi bardzo było gdy biegał nieraz od rana do wieczora, aby z kąd wyrwać pieniędzy, bo lichwiarz stał często za drzwiami i w razie niewdolania się pożyczki wiele mu szkody mógł przynieść. Ale ja nie mogłem mu w niczem pomódz, bo sam czepiałem się tylko deski rodzicielskiego domu; - w przykrem więc położeniu, w jakiem się znajdował, mogłem mu tylko życzyć pomyślności.
Oto był skład ówczesny naszego domu w Warszawie, bo Władzio jakkolwiek mieszkał oddzielnie, często jednak do nas przychodził na pogadankę, na rozrywkę, której w własnym domu nie miał.

Przyjechawszy do Warszawy, pierwszą rzeczą moją było udać się do Okręgu Naukowego - ale odpowiedź z Ministerstwa jeszcze nie nadeszła. W oczekiwaniu na stanowcze moje przeznaczenie spędziłem pół miesiąca śród licznego grona przyjaciół i towarzyszów z Wszechnic, na ciągłych zabawach i ostatnich pożegnalnych rozrywkach.-
Miecio starał się wraz ze mną o miejsce rządowe na prawo - ale ominęła go nadzieja. Miał więc zamiar chodzić rok jeszcze do Warsztatni lekarskiej a potem na rok przyjęty znowu się do Wszechnicy o miejsce rządowe starać. Stasio miał w tym roku zapisać się do Warsztatni, a Bolesław także chciał ją dalej

kończyć. Obecnie, że to już była pora naukowa, najął on sobie znowu po przyjeździe do Warszawy, pokoik, gdzie wszyscy schodziliśmy się prawie codzień na różne zabawy.

Nakoniec 11. Września przyszła odpowiedź z Ministerstwa; zostałem przeznaczony do Petersburga. Tegoż dnia podpisałem moją zgodę na dziesięcioletnią służbę w kraju i otrzymałem pieniądze na podróż. Zacząłem się więc przygotowywać do wyjazdu.

Dnia 17 Września mieliśmy ucztę pożegnalną. Bolesław przyjmował w swej izdebce. Zgromadziliśmy się o szóstej i ucztowaliśmy do 11 w nocy. Piliśmy węgrzyna - ja piłem Jej zdrowie, piłem za pomyślność kochanki. Nikt nie odgadł, co się działo w mojej duszy - ja sam tylko obchodziłem uroczystość. Miesiąc temu ujrzałem Ją po raz pierwszy w Pamięcinie. Dzień ten przedstawił mi całe dzieje mej miłości od początku do ostatniego pożegnania. W mojej myśli przesuwały się wszystkie obrazy szczęścia i rozkoszy. Ja żywo wszystko miałem w pamięci, jak gdyby się to działo w dniu wczorajszym. Zapomniałem o smutku, byłem wesół, ona rozpromieniała moje myśli, ona kołysała mój głos, kiedym śpiewał ostatnią pieśń pożegnalną.

W takiem wewnętrznem, tajemnem, szczęściu i ogólnem rozradowaniu przepędziłem ten wieczór

jedną z najszczęśliwszych w moim życiu. Spełniałem zdrowie za zdrowiem i pod-ochociłem sobie nie najgorzej. Towarzysze moi również dobrze pili i wszyscy byliśmy w złotém usposobieniu. Nakoniec zaczęliśmy się odprowadzać gromadnie - zrobiliśmy jeszcze dużą przechadzkę po mieście i potem dopiero Stasio powrócił do Bolesława przenocować, a mnie Miecio odprowadził do domu. Noc tę przepędziłem w marzeniach, w snach rozkosznych, w których urzeczywistniła się nie jedna moja myśl oddalona . . . Był to ostatni dzień mój przepędzony w Warszawie, który nazwać mogę szczęśliwym..

Kilka dni następnych, nudnych i posępnych zeszły na przygotowaniach do podróży. Otrzymałem urzędowe pozwolenie do wyjazdu i zamówiłem powóz pocztowy. W przeddzień odjazdu oddałem pożegnalne odwiedziny znajomym, a nazajutrz kończyłem jeszcze zapakowanie. Nareszcie nadeszła chwila odjazdu. Z macochą i rodzeństwem pożegnałem się w domu a Ojciec odprowadził mnie jeszcze na pocztę. Tam zgromadziło się wielu moich naukowych towarzyszów. Pożegnałem ich wszystkich przy wzajemnych dobrych życzeniach. Pocztarek zatrąbił na odjazd - uściskałem się więc z Ojcem i wsiadłem do powozu. Niedługo trąbka powtórnie zabrzmiała, ujrzałem jeszcze z daleka kilka pożegnań - i konie ruszyły. - Było

wtedy południe 23 Września. Ja byłem samotny, stokroć samotny, bo opuszczałem ojczyznę kochaną, przyjaciół i znajomych, wszystko co mi było drogiem, aby jechać w północ odległą do ziemi nieznanej! Ta podróż z początku była dla mnie przykrą, powoli jednak oswoiłem się z obecnością, ona dodawała mi odwagi. Jechałem więc jak przed tem z Pamięciną z myślą o przeszłości, z nadzieją w przyszłość, z wiarą w siebie, ze spokojem w duszy.

Przejechaliśmy Augustowskie lasy i bagna, smutne Ostrołęckie pola, powabną Łomżę, wesoły Augustów, śpiewające Suwałki, zbliżając się ku granicom Litwy. Nakoniec podjechaliśmy ku Kownu. Przed mémi oczyma otworzył się przepyszny krajobraz. Z jednej strony zielona Aleksota z malowniczemi urwiskami i chatkami zawieszonemi jak lampy na wzgórzach - z drugiej żywe, gwarne Kowno z starożytnemi wieżycami na czole, w których chciwa pamiątek wyobraźnia moja szukała zabytków z dziejów Litwy i Krzyżackiego zakonu. - Wspaniały Niemen, ubarwiony różnorodnemi statkami, rozwijał się w pośrodku. Jego nurty przypominały mi Napoleona z dowieczną wyprawą a tam w dali, w dali wzrok mój błądził po błękicie szukając drogi, kędy jego orzeł szybował śmiało, zuchwale, dopóki chłodem owiany nie upadł na

zaśnieżonych polach... Smutno mi było przez chwilę, gdym wspomniał na te krocie walecznych, co tak marnie wyginęły od głodu, zimna i wroga tej ziemi, na której ich kości zostały... A liście zaszumiały w borach, jakby na odpowiedź, że duchy poległych w miljonowej pomście się odrodzą...

Piękna to nasza kochana Litwa! - Te wspaniałe lasy rozściełające się przed okiem wędrowca jak wstęgi zielone bez końca i początku; te powikłane w gordyjskie węzły knieje, wśród których niejeden zwierz dziki założył swoją siedzibę; te srebrne rzeki rozwijające się po murawie jak mleczna droga w widnokręgu; te jeziora wychylające się z po za borów w modrej fałdzistej sukni; te chatki białe wyglądające z po za drzew, jak główka nieśmiałej dziewicy z okienka; te wioski wesołe, przy których zawsze na łące bydełko się pasie, a pastuszek przyśpiewuje mu raźno; - wszystko to tak urocze, tak wspaniałe, tak pociągające do siebie, jak dusza i serce Polaka, a tak pełne uczucia jak łza naszych Polek!... A lud tutejszy choć biedny, a jednak otwarty, gościnny, z radością witający każdy powóz pędzący z po za Niemna lub Warty - przypomina nam te czasy, kiedy Litwa wraz z Polską uścisnęły się bratersko i ślubem miłości i poświęcenia połączyły się na wieki... Przed Niemnem i po za Niemnem jedno serce bije, jeden duch się unosi, jedna łza nad przeszłością i jedna w przyszłość nadzieja...

Pod Janowem odbywa się przeprawa przez Wilję.
Niema tam mostu a tylko promy przewożą jezd-
nych i pieszych na brzeg przeciwny, a czasem długo
czekać trzeba, gdyż nieraz oddziały wojska przebie-
gają ten kraj z południa na północ i z północy na
południe. — Tu z jednej strony majowe równiny żal
niejako wzbudzają, żeś je przymuszony opuścić, z drugiej
biały Janów wytyka Ci dalszą drogę — a pod twemi
stopami Wilja się uśmiecha, jakby ci przynosiła
pozdrowienie od Wilna. I żal ci ją opuszczać,
chciałbyś się jeszcze napawać jej widzeniem i
pogawędzić trochę o tych brzegach, które od tak dawna
omywa i coraz nowe wspomnienia gromadzi na
swej złotej pościeli. Ale konie szybko przeprzęgają
i dźwięk dzwonka żegna się z Wilją i pędzi dalej a
dalej....
Poza właściwą Litwą spotyka się Białorusów, lud
przechodzi od Polaków do Moskalów i ta przechodo-
wość odbiła się w ich narzeczu, które jest nieokładną
mięszaniną dwóch języków. Lud to chytry, przebie-
gły, zachował przecież w sobie iskrę słowiańszczyzny,
a w ciągłem obcowaniu z Polakami zrobił się tro-
chę ludzko. Ich nazwa niewiadomo zkąd powsta-
ła, może od białego płóciennego odzienia, w którem
często ich spostrzedz można. A wśród Polaków, Bia-
łorusów jak tułacze błąkają się żydzi, to z przeciążo-

nemi

nemi towarem wozami, na których siedzą jak Wie-
cha na wieży, to węszący z miasta do miasta, gdzie
czują lepszą nadzieję zysku, to znów po miastach zgro-
madzeni w kółka i radzący o biegu spraw świata, a wszy-
stko to brudne, zasmarowane może jeszcze przedpotopowem
błotem. Oni może najlepiej pojmują, że są gośćmi
na ziemi – dla tego też nie starają się swojej siedziby
uprzyjemnić, będąc tylko zajęci gromadzeniem ma-
jątków które im zapewne posłużą za wkupne do Kra-
ju Jehowy...
Od Dyneburga do Rzeżycy rozciąga się kraina pół pol-
ski. Polski żywioł widoczny tu jeszcze, moskiewski
jednak przemaga coraz bardziej im dalej na północ;
Rzeżyca nakoniec przedstawia nam miasteczko zupeł-
nie do naszych niepodobne. Porozrzucane domostwa,
jak namioty obozowe sterczą czarno i brudno – świe-
cąca cerkiew razi nas nierozświetlając obrazu, a w
steku ludności ujrzeć można i Polaków i Moska-
lów i Białorusów i Żydów gdzieniegdzie – łażących
po ulicach, które się kręcą dziwnie, jak ich przypadek
rzucił w przestrzeni.
Nareszcie mijamy Rzeżycę i wjeżdżamy w czystą dziedzi-
nę Moskwy. Przed nami szeroka Pskowska zie-
mia. Odtąd stopniowo znikają lasy, a w ich miejsce
jakieś bagna, jakieś trzęsawiska, topiele, moczary,
ziemia uśmiechająca się mile, jak cyganka na imieniu.

A zamiast miast wioski, a zamiast wiosek, jakieś niekształtne chałupy, nad których zbudowaniem niewiele się ręka ludzka trudziła; są to bowiem kłody drzewa leżące na sobie poziomo, i wiązane w rogach, a na dachach zamiast słomy, któréj nie-wiadomo zkąd dostać, bo zboże nie rośnie, porzucono trochę ziemi, co tym domom nadaje więcéj podobieństwa do nory dzikiego zwierza, aniżeli do ludzkiego mieszkania. A od dachu zwykle jakiś żarcik drewniany zwiesza się jak broda Moskala, co go miał rozum wymyśleć.— Wioski są zwykle wyciągnięte w sznur nad drogą bitą, aby jako tako przedstawiały cudzoziemcom, że i Moskwa posiada ludność mieszkającą w domach. A poza wsią pustynie w których tylko wicher niepodległe wieje.— Przyjechaliśmy do Ostrowa. Tu to była granica Rzeczypospolitéj polskiéj za Stefana Batorego.— Wjeżdża się do miasta przez ładny most kamienny łańcuchami sprzężony — a na rzece Wielikiéj spostrzegamy wyspę, na któréj stoi cerkiew brudnozielonéj barwy z kopułą umalowaną na niebiesko; te dwie barwy tak dziwicznie zgadzają się z sobą, że chyba tylko wzrok Moskala zachwycić się niemi może.— W pobliżu Cerkwi widać rozwaliny baszty i murów zapewne jeszcze z XVI wieku dotrwałych, mury rozsypują się w prochy;

które Wielika unosi do morza przeszłości. - Miasto dość czyste, schludne, pociągające ku sobie; jestto jedyne miasto, co w pskowskiéj ziemi ściągnąć może na siebie uwagę wędrowca. -

Od Ostrowa same pustki; wieś od wsi niezmiernie daleko; widać tylko przestanki pocztowe, na których rzadko kiedy obiadu dostać można - czemu wię? - jedzenia, za które trzeba drogo zapłacić, a które tylko od swojego twórcy może się nazwać obiadem - podróżny, gdyby je uważał za coś więcéj nad posiłek konieczny byłby za wspaniałomyślny. -

Gdzie niegdzie tylko spostrzedz można żołnierzy włokących się na kibitkach lub moskiewskie sejmy t. j. gromady ludzi w czerwonych koszulach i niebieskich spodniach założonych w odziegiowane buciska; na głowie zamiast czapki jakiś szkapek, który Moskalowi służy za miejsce do składzenia cygarów. Gromady takie zwiastują nam zwykle wieś. Jedni się biją co ma być dowodem przyjaźni, drudzy przewracają się po ziemi, inni znowu z głupowatem wyrazem twarzy wytrzeszczają oczy na jadący powóz, będący dla nich godnym uwagi zjawiskiem; a wszystko to tak dokładnie przedstawia życie całéj Moskwy, że trudno nań nie zwrócić uwagi. -

Mijamy moskiewskie sejmy i braterskie

uścieki ich strumków - znowu pustki; ziemia, jak słusznie powiedział Mickiewicz, podobna do karty białej od dnia stworzenia, na której dopiero pisać by wypadało; można by tu tylko dodać zwątpienie, czyby się co dało napisać, - bo i ziemia niezdolna do wystawania płodów, żywi się zbożem z południa i lud niezdolny do przyjęcia światły. Szerokie barki, muskularne ręce, silny skład ciała przedstawiają nam w tym ludzie wielką sposobność noszenia ciężarów. Ale o ile rozwinęła się w nim zmyślnia, o tyle umysł przytępiał, a gruba na ćwierć cala czaszka okazuje, że mózg jego niezdolny być pod wpływem bożkiego promienia. Dlatego nie obwiniajmy Moskwy, że tak żółwim krokiem postępuje na drodze oświaty; ona temu niewinna, bo sama przyroda stawia jej nieprzeparte tamy do wybłysku. Ona tylko zdolna do życia słomowego, do pracy, olbrzymiej pracy, może korzystać z cudzych wynalazków, ale sama niezdolna ich pojąć, bo to przechodzi zakres sił umysłowych. Gdyby Moskale złagodzili swoje obyczaje wykwitłe z łona Tatarów, mogliby przyjść do tej błogości, jakiej w cichem, domowem szczęściu używają mieszkańcy niektórych wysp Oceanii. -

Im bliżej Petersburga, tym bardziej ziemia martwieje. Widać już tylko karłowate krzaki;

nigdzie zasiewów, nigdzie ogrodów, nigdzie roślinności - ziemia jakby wymazana z grona ziem przeznaczonych na użytek człowieka.— Przejechaliśmy miasto Ługę jeden z przystanków parojazdu i wkrótce potem koło wraz z osią pękło u powozu. Sporządzono je na prędce - zawlekliśmy się do kowala, który je jako tako nadłatał - oś jednak psuła się coraz bardziej, nareszcie w Pulkowie, ostatnim przystanku przed stolicą, odmówiła nam dalszej posługi.

Musiałem wsiąść w odkrytą bryczkę - a jak na nieszczęście deszcz padał ulewny, przemokłem więc do nitki i rzeczy moje przyszły podobnież do opłakanego stanu. Nie zważałem już na okolicę, jakkolwiek teraz weselszą była droga, bo przez cały przystanek ciągnęły się składy, wyroby i letnie mieszkania Petersburżanów. - Nareszcie zawitał i Petersburg. Wjechałem przez wielkie kamienne wrota, wystawione walecznym wojskom moskiewskim na pamiątkę wojen odbytych od śmierci Aleksandra I do 1849 r. i ozdobione stosownemi godłami i napisami, - i przed mémi oczyma otworzyła się obszerna widownia miasta, co jest europejską suknią w jaką się Moskwa dla cudzoziemców przebrała. Taki byłem przemokły, żem nie miał wiele ochoty przyglądać się stolicy.

z radością ujżałem poczte. Ona teraz była mojją oazą po deszczu. Ale teraz trudnoby mi było obróić się gdziekolwiek. Szczęściem czekał już na mnie uprzedzony listownie przez jednego z moich towarzyszów student Wszechnicy, który mnie przyjął do siebie. Tak więc 28 Września 1858 roku powitałem świat Petersburgski.–

VII.

Józef Gromicki u którego stanąłem mieszkał razem z Janem Radoszewskim powinowatym swoim. Niemając ochoty szukać mieszkania, bo deszcz ciągle padał, przedłożyłem im zamiar mój zamieszkania z nimi na trzeciego. Zgodzili się na to. Mieszkałem z nimi pół miesiąca, a razem czas przepędzając oceniłem ich znamiona i zyskałem dwóch nowych przyjaciół. Obaj oni byli synami prawników; sami się też rzucili w zawód prawny, ale odmienne usposobienia odmiennie ich prowadziły na tej drodze.–

Józef Gromicki był młodzieniec rudy, otwarty i przyjacielski, każdego przyjmował z serdecznością z wylaniem, czasem aż do śmieszności posuniętem, gdyż zawsze chcąc tym milej przyjąć gościa u siebie tarzył do słów tak dziwne ruchy, iż ktoby go nieznał, mógł posądzić o przesadę.–

Pracowity do najwyższego stopnia cały dzień ślęczał nad książkami; to tylko szkoda, że przy

swojéj nie umiał czasem dobrze użyć, gdyż zdarzało się nieraz iż wypisując różne z książek ustępy, kilka razy jedno powtarzał. Wypisów u niego było mnóstwo – prawdziwy księgozbiór z konspektów. Niedość na tem, że pracował nad sobą, chodził on jeszcze do Wszechnicy na takie przedmioty, które mu żadnéj korzyści przynieść nie mogły i podczas gdy wszyscy bawili się w najlepsze, on robił zapiski (*) z wykładu katedrowych. –
Wprawdzie przydało się to późniéj, gdyż z tych przedmiotów wypytania były i pod koniec roku wszyscy zgłosili do Józefa po zapiski; dowodzi to jednak jego wielkiéj pilności, która, że się tak wyrażę nie robiła w pracy żadnych wyjątków, uważając za wewnętrzny obowiązek studenta, uczęszczać na wykład wszystkich przedmiotów.
Wśród swéj pracy wyrobiła się w nim pewna drażliwość nerwów; wszystko go przykrzyło, co tylko z prawą nie było zgodne; nudzić więc lubił, zżymał się, gawędził bez przyczyny i skutku. Nieraz trzpiot jego powinowaty sprzeciwiał mu się z tego względu, że przecież urobi się jakoś, rozweseli swoje usposobienie. Gdzie tam, po długich sprzeczkach zniósł on wreszcie spokojnie wszystko i wrócił do dawnego. – Lubił nadzwyczaj

(*) Zapiski oznaczają nietylko zapisywanie godnych uwagi szczegółów, ale i cały ciąg jakiéj nauki, z którego się trzeba na wypytania przygotować. –

porządek, ale to aż do znudzenia; niedość bowiem, że wszystkie swoje rzeczy jak najczyściej utrzymywał, ale niemógł znieść aby coś w pokoju zostawało niezgodnie z jego widzimisię. Papiery na jego stoliku leżeć musiały równo, jedne na drugich, tak aby żaden arkusz nie wychodził po za obręb drugiego, książki koniecznie musiały być w tym porządku w jakim je ułożył; każda drobnostka u niego miała swoje oznaczone miejsce. – Dość było ułożyć krzywo papier, dość było przełożyć cokolwiek z jednego miejsca na drugie, aby mu się sprzeciwić; już go to bowiem korciło, niemógł znieść tej przemiany i szukiwał sposobnej chwili aby przywrócić rzeczy do dawnego porządku. – Nazwałem go Sapałos mając na względzie to, co tak przeważało w jego gryźliwem usposobieniu. Przydomek ten wiernie go malował, ale choć zyskał pospolitość nie poprawił go. Nuda bowiem, założyła w nim, jak się zdaje, trwałą siedzibę.

Obok takiego usposobienia, czyż Józef mógł być prawdziwie wesołym? Były, prawda, niekiedy chwile, w których był wesołym, bo i on nie stronił od rozrywki, jakkolwiek ją słabo podtrzymywał, ale chwile te były krótkie, gdyż zawsze zdarzyć się musiało coś takiego, czego jego nieszczęśliwe usposobienie znieść nie mogło, a jakkolwiek często tego nieokazał, ale w duszy jego niespokojność

czała. Gniewać się nie umiał; gniew jego był zawsze przelotnym, po którym się zawsze udobruchał. Sam zaś, sądząc po sobie, mniemał, że nieraz kogo jaką drobnostką obraził i przepraszał wiele za to, czego nawet niezauważono. Nakoniec trochę dobroduszny, dał sobą wiele powodować; szczególniej zaś ów powinowaty miał nad nim w tym względzie wielką przewagę, osobliwie z początku, kiedy jeszcze nie był wiele obznajmiony z tém, co go otaczało.—

Jan Radoszewski tworzył z nim zupełne przeciwieństwo: Jeżeli miał dać trochę podobieństwa, to chyba z dobrego i czułego serca, otwartości i przyjacielstwa. Co do reszty różnił się z nim tyle, co barwy czarna i biała. Tamten ponury, ten wesoły, tamten pracowity, ten próżniak, tamten oszczędny ten rozrzutny, tamten mola, ten swobodnomyślny, z niczego sobie nic nierobił, zawsze pełen dowcipu i wyobraźni. O, wyobraźnia Jasia była niezwyczajna. Ciągle w ruchu, ciągle odwiedzając znajomych, których miał pełno, biegając po mieście od mieszkania do mieszkania, a rzadko gdzie zatrzymawszy się dłużéj nad chwil kilka, zbierał różne wieści i puszczał je potem jak ogniotryski po ludziach, ubarwione w rozliczne, a zawsze śmieszne dodatki, a puściwszy jaką bajkę, sam się nieraz zapytywał czy to prawda. Bajki Jasia

taką zyskały pospolitość, że częstokroć gdy się dowiedziano o fałszywości jakiejś wiadomostki, zaraz to kładziono na szalkę jego wymowy - i utrwaliło się przysłowie: skłamać jak Radoszewski. Ale jego bajki nie były pospolite; były one często oblekane w taki wyszukany dowcip, że niektóre z nich na długo pozostaną w naszej pamięci.-

Biegając po mieście rzadko kiedy nie wstąpił do cukierni, rzadko kiedy nie kupił jakich drobiazgów, rzadko kiedy nie przyniósł do domu jakich przysmaczków. Pieniądze u niego były bardziej okrągłe niż u innych; pojmował on ich wartość o tyle, o ile smaczniejszy kąsek można było dostać. Nikt też pewno wyborniej nie wiedział gdzie były jakie przysmaczki jak Jasio. On był mistrzem w tej sztuce. Głównym jego wrogiem był brak pieniędzy. Inni w takim razie obywali się jak mogli; on obejść się nie mógł i często był zadłużony po uszy, dopóki go jaka szczęśliwa przesyłka nie wydobyła z kłopotu.-

Niestety, bez woli nad sobą nigdy się długo niczem zająć nie mógł. Ileż to razy czynił sobie jak najsolenniejsze oświadczenia, że pracować będzie! Gdzie tam - gdy przyszło do pracy nigdy wytrwać. Na jego stoliku w największym nieładzie leżało mnóstwo papierów - a wszystko pozaczynane, nic nie dokończone. Zdolności miał

wiele i jeśli było potrzeba, mógł w krótkim czasie zrobić to, co Józef wyślęczał długą pracą — ale nawet w konieczności trudno mu było skupić uwagę na obrany przedmiot. Jemu zawsze rozmaitość bujała po głowie i nie dała nad niczem zastanowić się dłużej. —

Zwracając uwagę na świat go otaczający, zapomniał obejrzeć się na siebie. Jego rzeczy w smutnym znajdowały się stanie. Rzadko kiedy pamiętał on suknię oczyścić, lub podartą dać do naprawy. Od praczki nigdy się nie upominał, zagubionych rzeczy, ginęły też często i gdyby był trzy lata przebył w Petersburgu nie wyjechawszy do domu, pewnoby na czwarty chodził bez koszuli. Ale jego śmiałość nie martwiła i jakkolwiek nie wierzył w przeznaczenie, swobodnie jednak znosił przypadki zdarzające mu się w życiu, bez uwagi na nie nieraz. Zresztą wesoły, dowcipny wiele się zbliżał do Maciusia — z Józefem zaś lubił się ciągle sprzeczać, ciągle mu sprzeciwiać, jakby pragnąc się przedstawić w najzupełniejszym przeciwieństwie z tym ostatnim. —

Tacy to byli moi dwaj nowi przyjaciele. Do obydwóch przywiązałem się jednakowo, i Jasio zastępował mi obecnie Maciusia, a Józef Misia. Jasio był na drugim kursie prawa, Józef zaś razem ze mną na pierwszym. Zamówiliśmy więc wspólną pomoc i wzajemne korzystanie z zapisek. —

VIII.

Na odpoczynku po podróży spędziłem dni kilka, zwiedzając miasto o którem mi tyle mówiono, ale nie odpowiedziało ono wcale moim oczekiwaniom. Wyobrażałem je sobie powabném, wesołém, kwiecistem — zawiodłem się zupełnie.

Petersburg, jestto krótko mówiąc wyrąb Findlandzkiego granitu rzucony na Czuchońskie błota, ręką woli, która niechciała znać niepodobieństwa. Słusznie wyrzekł Mickiewicz, że Car Piotr stworzył nie miasto mieszkańcom, lecz sobie stolicę. Bo też trudno pomyśleć, aby ludziom przyszła kiedy chęć osiedlenia się na tak niewdzięcznej ziemi. Ale Piotr pragnął ostoju dla Moskwy nad Baltyku falami — a skoro Piotr pragnął, więc i poddani zapragnąć musieli. Zasypano więc bagna drogim wydatkiem zwożoną ziemią, sprowadzono granit z świeżo zawojowanej Finlandyi — nakreślono przedsobkę miasta i każdy z niedawno ogolonych bojarów otrzymał rozkaz wybudowania domu na świeżo stworzonym gruncie spędzono chłopstwo na miejską służbę — założono sklepy dla wygody nowych mieszczan i gród powstał . . . ale jaki?

Miasto ogromne wprawdzie, ale bez smaku, bez dziejów, które się w miastach Europy przebijają, a które malują życie, wzrost i znamionę narodów. —

Nie pojęli budownicy Petersburga, że ogrom nie nadaje wspaniałości; może on ją tylko powiększyć, ale nie jest w stanie stworzyć. Wszystkie tu ulice równe, domy równe, przedziały równe, jak zagajniki na które lasy dzielą; wygodne to jest, ale nie zdolne nas zachwycić. Petersburg podzielony na ulice wygląda jak biuro podzielone na wydziały, jak koszara podzielona na izby.

Miasto dzieli się na pięć części: dwie wyspy, Wasilewska i Petersburgska, dalej część Admiralicyi, Wyborska i Newska. Część Admiralicyi najwięcej zasługuje na uwagę. Tu to znajdują się Cesarskie pałace, tu pierwsze ulice, tu miasto zgromadziło wszystkie bogactwa swoje. Od placu Admiralicyi aż do drogi Żelaznej Petersbursko-Moskiewskiej ciągnie się ładna ulica Newski-prospekt, wyłożona drzewem i upiększona wspaniałemi gmachami rządowemi i prywatnemi. Ze znakomitszych budowli tej ulicy zasługują na uwagę: Ratusz, Księgozbiór Cesarski otwarty dla powszechności z przeszło 400,000 ksiąg składający się, Szereg Teatrów; dalej kilka Cerkwi, z których najwięcej godna uwagi Cerkiew Matki Boskiej Kazańskiej zbudowana w półkole na obszernym placu — a z dwóch stron Cerkwi jakby na straży stoją dwaj zimowi bohaterowie: Barklay de Tolly i Kutuzów. Są tam także i Kościoły innych wyznań — godne uwagi

Kościół Prawowierny Sw. Katarzyny oddany Zakonowi Dominikanów, kilka ładnych mostów kamiennych, na których wznoszą się to rozchukane konie, to znów jakie nimfy starożytności. Nakoniec mnóstwo sklepów różnego rodzaju jaśnieje bogactwem i błyskotkami. A na ulicy turkot, gwar – pełno pojazdów, powozów, dorożek, dryndułek, kiszek, gitar, omnibusów a czasem i kibitek. Wydziwaczeni w jaskrawe suknie sługusy pędzą konno, to znów oddziały wojska dążą środkiem po błocie, tu i owdzie katrynka jęczy: Adie Leonora (śpiew z Trubadura) – a wywiędłe piękności suwają się po chodnikach i z wdziękiem i zalotnością podnoszą nóżkę ukazując czerwone spódnice wyglądające z pod sukni wydętych jak bańki.

Oto Newski-prospekt – prawdziwy prospekt, nie wiem dla czego Newski, bo przecież daleko od Newy? zostawmy to pytanie na boku – A teraz idźmy dalej. Równolegle z Newskim-prospektem idą dwie także długie ulice: Grochowa i Wozniesieński-prospekt, a te trzy są przecięte znowu trzema równoległemi i długiemi ulicami. Oto duch budowy Petersburga; zdaje się, że podobny rozkład jest także w Berlinie. Na boku od placu Admiralicji znajduje się plac Izaaka a na nim Sobór Izaaka, pyszna budowla, ogromnej wysokości – cały z marmuru i granitu

zbudowany w czworobok i ze wszystkich stron jednakowo się przedstawiający. Ogromne kolumny podpierają tę budowę, która swoim ciężarem przechyla się trochę na bok. W dniu pogodnym kopuła ta iskrzysto odbija promienie słoneczne, a złoty krzyż wystrzelający w powietrze złudliwie się w słońcu kąpie. Długo budowano ten Sobór, ogromne bogactwa nagromadzono wewnątrz - miał on podobno zwydatkować 80. milionów rubli srebr. Tu to zwykle cała wykwintność stolicy zbiera się na modły.-

Dalej, w stronie północnej placu Izaaka spostrzegamy Newę wijącą się w granitowych kajdanach jakie jej włożono na boki za zuchwalstwa, jakich się nieraz względem domów dopuszczała. Nad brzegami dwa Sfinksy zapomniawszy o Nilowych okolicach, patrzą się głupowato na szum jej bałwanów jak żołdacy na warcie; ale nie ma się czego obawiać. Bunt Newy nie jest niebezpieczny. Ona już nabyła moskiewskiej znamiony. Poszumi, pohuczy i zagrzmi na chwilę, a potem upamięta się i wróci do jarzma, zapomni błędów młodości!... Lubiłem nieraz patrzeć na Newę - bo piękny to widok na statki z różnobarwnemi banderami, na wijące się łódki, na dymy parowców, na słońce wreszcie jak w modrej, szumiącej fali odbija swoje złote lica.-

Nad rzeką z obydwóch stron równo budowane domy składają ulicę, która się nazywa nad-

brzeżna; pospolicie w miastach położonych nad rze-
kami znajdują się rozmaitości, place, ogrody, domy
w rozliczności bo to tylko może rzecz nadać wspa-
niałości. Tu przeciwnie — nie dość że rzeka płynie
równo, linijnie, upatrzono jeszcze piękność w wy-
stawieniu podobnież linijnej ulicy, może dla tego,
aby się domy w wodzie odbijały. Nie dość na tem,
Car Piotr widział Żuławach kanały, chciał więc w
Petersburgu podobne potworzyć. Porznięto więc zie-
mię, pobudowano kanały i nadbrzeżne — i kanały
takie nazwano rzekami. Tak więc Petersburg przecię-
ty jest mnóstwem rzek, któremi powiększej części
spławiają drzewo, kamienie i zboże. —
Rzeka Newa przepływa miasto i dwoma odnogami
wpada do Bałtyku. Jedna z tych odnóg nazywa się
Wielką a druga Małą Newą. Te to dwie odnogi
wraz z dwiema stronami odnogi morskiej tworzą
wyspę Wasilewską. Tu znowu inny układ. Od
Małej Newy aż do morza ciągnie się kilkanaście ró-
wnoległych ulic, których każda strona zowie się li-
niją. I tak mamy liniję Uniwersytecką, Kadecką,
a następnie oznaczono liczbami od 1 do dwódziestu
kilku. Te linje począwszy od Nadbrzeżnej Wielkiej
Newy są przecięte trzema prospektami: Wielkim,
Średnim i Małym, — dalej znowu nadbrzeżna i Mo-
rze. Tak więc wyspa Wasilewska przecięta nakształt
skóry Dydońskiej składa z 4 nadbrzeżnych, trzech

prospektów, dwódziestu kilku linii i pewnej liczby tak zwanych zaułków t.j. niewielkich uliczek skracających drogę.—

Wyspa Wasilewska łączy się z miastem właściwem za pośrednictwem ładnego kamiennego mostu, mającego żelazne chodniki i drewnianą na żelazie poręcz. Bliżej wyspy most dzieli się na dwie odnogi, a w miejscu tego podziału jest kaplica Śgo Mikołaja, obraz mozajkowy przed którym wiecznie świecznik gorzeje. Kaplica ta przystawiona tu była zbrzymne za panowania Mikołaja I. Przed tą kaplicą zawsze ujrzeć można głowy kiwające się jak kłosy na polu.

O pozostałości nie wspominam, poczęści że jej nie znam, poczęści że nie warta wspomnienia. Dobrze powiedział jeden pisarz, że Petersburg jest jakby jedno wielkie biuro i jedna wielka koszara. I tak jest rzeczywiście — mało jest bowiem ulic wolnych od biur lub koszar. Całe też miasto pełne czynowników i żołdactwa.—

Godnym jest uwagi Ermitaż t.j. miejsce, gdzie zgromadzone zostały najpiękniejsze płody pędzla i dłuta z różnych szkół Europejskich a pomiędzy niemi i płody naszych malarzy, ale te włączono do szkoły Rosyjskiej. Znajdują się tam również medale, starożytności pieniężne i pamiątkowe, stare księgi, krajobrazy, natury, i t.p. Ermitaż znajduje

się obok zimowego Cesarskiego pałacu, położonego nad Newą. Petersburg jest oświetlony gazem. Gęsto rozstawione świetlniki rozjaśniają nieźle ten mrok jaki tu w zimie już o 3ᵉⁱ spada. — Na mostach i w znaczniejszych miejscach są świetlniki o dziesięciu płomieniach – i wydają się jak jakiś pył światła – a w czasie oświetlenia miasta w dzień dworski zapalone świetlniki i kagańce nad Newą bardzo pięknie odbijają się w jej falach. —

Petersburg jest dziwnym igrzyskiem przyrody, którem się ona bawi przerzucając jak zacho z jednej ostateczności w drugą. W zimie mróz tęgi, w lecie upały nieznośne – w zimie mrok spada wcześnie po południu – w lecie prawie ciągły dzień w zimie mróz przeplata się deszczem, śniegiem a czasem wiosennem powietrzem a w lecie trudno się deszczu doczekać; w Październiku już niema liści na drzewach zasadzonych na sztucznej ziemi – rzeki Petersburgskie już w połowie Listopada zamarzają a puszczają dopiero pod koniec Kwietnia – świeża roślinność zaczyna się dopiero w Maju – dodajmy do tego zmienne wichry gwiżdżące przekleństwa od czasu do czasu i zrywające się niespodzianie – dodajmy do tego potoki błotnej lawy w której się kąpie pod koniec zimy a będziemy mieli obraz powietrzostanu Petersburgskiego. —

A wśród takiego powietrza niejedna wątła postać przenosi się do podbłotnych grobów – niejedna pierś jęczy szorcznie chorobą, bo tu najmniejszy wybryk powietrza, zaszkodzić jest wstanie – szczególniej gdy się kto dobrze nie zabezpieczy przeciw tym wiatrom zdradliwym, które nieznają przebaczenia dla cudzoziemca. A gdy choroba pochwyci cię w swoje czarne szpony, to musisz być wtedy długim więźniem swego domu i starać się o spieszny ratunek – bo choroba tutejsza to tygrys zgłodniały który twego życia chciwie pożąda . . .

Półtora wieku pracowało nad wykuciem północnego olbrzyma. Stanął nakoniec, ale cóż – nie było ducha narodowego, coby go ożywiał. Daremnie Moskwa całą piersią tchnęła w swoje nowe siedlisko słowo – stań się! odbiło się tylko tysiącami odgłosów o burzliwe Newy bałwany, ale w mieście duch narodowy się nie ocknął; – daremnie Europa tchnęła całą piersią, aby w nim swego ducha zaszczepić – duch europejski się nie ocknął – daremnie wszyscy pragnęli na nim położyć swoje znamię – usiłowania były bezskuteczne: każdy pozostawiał swój ślad tylko nie wybitniejszy swej przewagi i wskutek tego różnorodnego parcia owa l'Etoile du Nord jak się tam komuś podobało nazwać Moskwy stolicę zajaśniałem światłem różnorodnem

jaskrawem, rażącem. Z matki moskiewskiej z ojca przybysza, europejskiego wędrowca Petersburg stał się mieszańcem, przybranem dzieckiem Europy, podrzuconą córką Wschodu, którą ona starała się wychować na to tylko, aby kiedyś zrobić z niej dla siebie niewolnicę, fille de joie dla przyjeżdżających cudzoziemców. - Petersburg jest miastem całej Europy, a żadnego wszczególności narodu w sobie nie wybitnił. Jedni chyba kacapi brodą uwieczeni, których wszędzie napotkasz mogą rzucić domysł, że to miasto do Moskwy należy. Alež gmin nie stanowi stolicy. - Tu przesuwają się różnorodne tłumy od wykwintnego Paryżanina do głupowatego Czuchońca. Górą jednakże francuski pierwiastek który wewnątrz miasta brzmi po wszystkich salonach, a zewnątrz błyszczy na wszystkich napisach, po wszystkich domach i ulicach. Co do Polaków, tych ma być podobno do 40,000. ale mało jest prawdziwych polaków - są to tylko słowianiny tak zwani Katolicy Petersburga, większa ich część zapominała nawet wiary języka i uczuć. -

Z przykrością przyznać wypada że nikt bardziej z cudzoziemców zmoskalec nie może, jak polak w Moskiewskiej służbie. Niemiec nawet pomimo że naród ten uważać można za najpodlejszy z europejskich - nie wspominając o Moskwie bo ta mogłaby może być szlachetną, gdyby była

oświecona. Niemiec mówię, który utrzymuje, że tam ojczyzna gdzie chlebem pana, w służbie Moskwy choć się płaszczy i czołga jak gad, a przecież pamięta o pochodzeniu swojém, o obowiązkach jakie względem swoich rodaków zaciągnął i samolubstwa swego używa na ich korzyść; — Polak przeciwnie: dopóty on tylko Polakiem nazwać się może dopóki w służbie Moskwy nie jest; jeśli zaś tego zaszczytu dostąpi już on dla Ojczyzny stracony niepowrotnie, już on niezdolny patrzeć na tę gwiazdę co się jego rodakom promieni — on ślepnie przed jéj blaskiem, bo w długiej ciemności odzwyczaił się od światła, a zapomniawszy o pochodzeniu swojem, staje się najzupełniejszym Moskalem, a nawet przejść go się stara. Takiż w stolicy Moskwy jest wielu, tacy nie znają języka swoich Ojców, a choćby nawet znali wstydziliby go się używać; tacy przechodzą na wiarę grecko-ruską, jeżeli już sprzykrzyło im się dłużéj wyznawać swoję pozornie lub jeśli przez to mają nadzieję otrzymania jakiego świadectwa, jakiego znaczku, albo lepszego uważania od swoich nowych współwyznawców, i słuchają obojętnie przekleństw, jakie im wiatr z południa przynosi. —

IX.

Mieszkańcy Petersburga, którychże jest przeszło pół miliona dzielą się na trzy odrębne rodzaje: panów, mużyków i cudzoziemców. Główną oznaką można —

stanu jest zewnętrzna ogłada, która zależy na zaparciu się narodowych obyczajów i naśladowaniu Paryża. Wykwintność, mody, język francuzki oto znamiona Petersburgskiego możnostanu. Co do pospólstwa, które w narodowym języku znane jest pod nazwą mużyków albo chatyjstwa, to jedno jakkolwiek jaskrawie, ale zawsze zachowało dawne obyczaje a wdrożone do Wiekowéj uległości wykonywa służbę pospiesznie, posłużnie, ale przebiegłością żyda, szukające zysku w oszukaństwie i zdzierstwie. Pokora chatyjstwa istnieje tylko wobec panów i batoga czyli knuta, ale niech tylko noc nastąpi, albo ciemny wieczór, mużyki nabierają zuchwałości i z bezczelném naigrywaniem a czasem i okrucieństwem dopuszczają się rozbojów i kradzieży. — Jest jeszcze stan pośredni mieszkańców Petersburga. Nie mówię tu o tym stanie trzecim, którym są w Europie rzemieślnicy, bo ci w stolicy Moskwy należą do stanu Mużyków. — Owym stanem pośrednim są Czynownicy. Czynownika poznasz z pierwszego rzutu oka. Ma on zwykle czerwone, wyniszkłe rysy twarzy, policzki nabrzmiałe, nos zatabaczony — chodzi zawsze w mundurze niewdzięcznym swoim przyjacielu; a niechno ma jaki krzyżyk, jaki znaczek, zaraz ci je wszystkie wywiesi na piersi;

a niechno dom w mieście posiada, wypisze się zaraz wszystkie swoje rangi i nazwy. – Tak to zwykle bywa: gdy kto nie posiada wewnętrznego, własnego, duchowego światła, stara się zawsze błyszczeć zewnętrznem świecidłem. Czynownik wspina się zawsze do możnostanu – dla tego też spogląda na chałupstwo z góry, urzędowém okiem, może dla tego, że sam służy za podnóżek nietylko możnostanowi, ale i pierwszemu lepszemu czynownikowi, co rangą wyższy od niego. – Jak tamten za nic go niema, jak tamten uważa go tylko za przedmiot, z którym można robić, co kaprysy radzą – tak on znów uważa swego podwładnego, a tym sposobem jeden drugiego odziera z części i samopoznania i wszyscy przychodzą tylko do jednéj dążności, którą jest obdzieranie ludzi i bogacenie się pracą współbliźnich. Czynownicy wysokiéj rangi wyosobniają się już z grona swych braci i wchodzą w skład wykwintnego możnostanu. –

Cudzoziemcy zaś żyją sobie odrębnie według możności i narodowych obyczajów. Żydom niewolno tu mieszkać jak w całéj Moskwie, mogą oni tylko bawić w stolicy czasowo, dni kilka ile razy mają jakie sprawy do załatwienia. –

Co do życia Petersburgskiego, to zależy od majątku

i stanu. Możnostan żyje wystawnie, corocznie jeździ do Paryża lub na daczę t.j. wieś w okolicy Petersburga, w teatrach zanajmuje loże na wszystkie przedstawienia, wydaje bale, chodzi na maskarady, koncerta, wieczorki, słowem nie odmawia sobie wygód. Czynownicy o ile mogą starają się naśladować, a czasem naśladują nad możność. Pospólstwo nakoniec bije się i pije, wyprawia hece i nurza się w kale, a gdy ostatki lub święta Wielkanocne nadejdą i na placu Admiralicyi wystawią tak zwane igry zabawy różnego rodzaju - Wtenczas już szaleje bez miary, a pachnący możnostan objeżdża pojazdami oglądać hawyjący gmin, jak w cyrku dzikie zwierzęta. Wojskowi bohaterowie żyją życiem czynowników, od których wyróżniają się tylko ubiorem, walecznym mołodeckim orężem i trochę junacką szorstkością -

A wśród tego życia z jednej strony widać jak szampan pieni się i burzy, a z drugiej wódka przewraca rozbestwione tłumy po ulicach; tam pełno przyjmaków na każde zawołanie, nie mogących jednak przynieść zadowolenia - tu mużyk zadowolony, że szklankę ulubionego czaju trzyma w ręku, a czy to wśród wygód, róż i pachnideł czy też wśród brudu i kału, wszędzie się ludzie poją najwyuzdańszą zmysłowością i zepsucie jak robak toczy całe miasto i chłonie wszystkie soki pożywne, jakiemi młodość władnie

i z jakich ludztwości skorzystać by mogła.—
Oto obraz Petersburga. Cóż więcej o nim wspomnę?
Chyba, że utrzymanie drogie, że cena mieszkań ogromnie wygórowana, że wśród gwaru i szatu, jakim tchnie całe miasto przecież nudno i duszno, przecież jakoś ciężko mi było na piersi i poczułem ogromną różnicę w życiu stolic Polski i Moskwy. Ale nie wszystko jeszcze wyprowadziłem na widownię; jest tu przecież jeden dźwięk, co się splątał z moją duszą, co mi do uczuć przemówił — jest tu przecie Opera Włoska.

—·—

Opera stanowi jedną z najgłówniejszych strun tutejszego życia. Jeżeli nie dla przyjemności, to przynajmniej, że zwyczaju z uśmiechem wieczoru wszystko co żyje spieszy na Operę — ci pieszo, ci pojazdami, ci zwoszczykiem, pojedyńczo lub kółkiem. Teatr jest zawsze przepełniony. Opera zasługuje na to, kto nie słyszał tutejszej Opery nie pojmuje do jakiego wydoskonalenia dochodzą ludzkie zdolności i ile śpiewu wytrwa mieścić w sobie może.— Śpiewacy włoscy przebywają w Petersburgu pięć zimowych miesięcy, a na lato wyjeżdżają do Paryża lub Londynu. Oprócz stałej płacy pobieranej od Rządu dają jeszcze po jednem przedstawieniu na swoją korzyść; dochód z każdego winien wynosić 2000 rubli, w przeciwnym zaś razie Rząd dopłaca. Ale bo też Opera cudowna.
Mieliśmy cztery soprany: Bosio, Lotti (właściwie

blizko mezzosoprano) Bernardi, i Dottini - czterech
tenorów: Tamberlick, Calzolari, Mongini i Bettini -
dwa barytony: De Bassini i Everardi (właściwie basso-
baryton) - jeden bas: Polonini - jeden bas niższy:
Marini - nakoniec La Blache De Merich stanowiła
alt żeński, co tak rzadko się zdarza. Skład był wy-
borny. Wszyscy się zachwycali a każdy odmiennie i z
każdym żal się było rozstawać.-

Bosio cudownym słowiczem głosikiem zachwycała
i unosiła w marzeniach; nieraz długo jeszcze po skoń-
czeniu widowiska głos jej brzmiał mi w uszach i roz-
stać się z nim nie mogłem, szczególniej też w Tra-
wjacie, uroczej Trawjacie, gdzie tak mistrzowsko
wykonywała najtrudniejsze ustępy, że mimowolnie
zdumiony byłem, - a gdy w ostatniej części umie-
rająca śpiewa pożegnalne pieśni trudno się było
nie wzruszyć jeśli nie jej postawą to głosem płyną-
cym powoli, powoli, gasnąco aż do ostatniego tchnie-
nia. Trawjata długo była moją jedyną operą i
dziś nawet, gdy wiele wznioślejszych poznałem,
zawsze jeszcze lubo wspominam tę chwilę w któ-
rej Trawjata dała mi poznać wartość Petersburg-
skiej Opery Włoskiej.-

Lotti znowu silnym głosem, ognistą i majestaty-
czną postawą poruszała mię do głębi i albo łzę
tęsknym śpiewem wyciskała z oka, albo pogrążała
w marzeniach o minionej przeszłości. A gdy weszła

pieśnią, uderzyła moje ucho, tak jakoś lubo, tak bosko mojej duszy było, że radbym tak słuchać wiecznie i błądzić wspomnieniem. Nigdym nie widział przesady w jéj grze, a zawsze mogłem na niéj wyczytać wzruszenie prawdziwe. To raz mdlejące oko zdawało się być przesłańcem szybkiego zgonu i błagało modlitwy nad jéj trumną, to uśmiech złocił jéj usta i z gorącem spojrzeniem przenikał do głębi; to znowu boleść i rozpacz współczucia domagały się gwałtownie i pociągały do siebie i przelewały w jeden jęk, w jeden odgłos rozdzierający piersi.. Widzę ją jeszcze jak w Hugonotach w białéj sukni z zrozpaczonem licem cofa się mdlejąca od okna, którem jéj kochanek wyskoczył na obronę braci, jak gwałtownie upada przy sofie i gasnącym wzrokiem wzywa współczucia. Widzę ją jeszcze jak w Mojżeszu przewodnicząc Izraelskim dziewicom śpiewa hymn do Boga błagając o szczęśliwą przeprawę przez Czerwone morze, a tak anielsko, tak bosko, żem wlepionego w nią wzroku nie mógł odwrócić i gdy śpiew przebrzmiał patrzyłem jeszcze w martwe deski nie wiedząc czy to sen czy złuda..

W grach wesołych, swobodnych lub wymagających większéj prostomyślności, Bosia źle odbijała, może dla tego, że wyglądała trochę pedantersko — i choć starała się śpiewać z wdziękiem, zalotnością młodéj panienki - zawsze słyszałem tylko głos

niemogąc się pozbyć przedstawionej przez nią osoby, Lotti przeciwnie, nie starała się o to, a wdzięki śpiewu przychodziły jéj same przez się — i kiedy Bosio uginała się pod bukietami i wieńcami sypanemi jéj od powszechności — Lotti odbierała tylko podziękę ale z serca płynącą i sama nawzajem dziękowała niewyszukanie lecz z uczuciem. — Bosio zasłynęła więcéj przez mistrzowskie wyrobienie głosu; Lotti więcéj pociągała nas ku sobie śpiewem płynącym z głębi duszy, pieśnią pełną zapału, — a kiedy tamta skończywszy grę swoją przedstawiała się w rzeczywistości — Lotti przejęta odgrywaném położeniem, często długo po przedstawieniu wydawała mi się tą samą czarodziejską sylfidą, którą niedawno widziałem płynącą na łódce marzenia po falach wieszczego uczucia.

Tamberlick podobnie jak Bosio był mistrzem wyrobienia głosu. Śpiew jego tak mile głaskał po piersi, tak odbijał się w sercu, że czułem jak w głębi duszy uczucia przelewały mi się wzajemnie jak pieśń jego przemawiała do nich i łączyła w jeden wieniec rozkoszy. Głos jego szczególniéj w miękkich śpiewach tak łagodnie odbrzmiewał, że smutno go było porzucać, nawet wtedy gdy Lotti miała go zastąpić. — W Wilhelmie Tellu Tamberlick był niezrównany. Tam to powoli od miłosnego śpiewu do kochanki, przechodzi do zachęty na oswobodzenie ojczyzny z pod

jarzma Niemców - nakoniec z zapałem pociąga towarzyszów do boju, a razem z ostatnią jego pieśnią wszyscy słuchacze gotowiby iść wszędzie, gdzie tylko miecz jego zabłyśnie....

Calzolari i Mongini to Bosio i Lotti. Trudno mi było dać jednemu z nich pierwszeństwo. - Calzolari z cudownie urobionym głosem śpiewał w duchu Tamberlicka; niebyło tam zapału, ale głos jego falujący jak morskie bałwany sprawiał urok wielki, a gdy zaśpiewał falsetem i zbliżył się do tej granicy, gdzie tenor wsopran przechodzi - oniemiali słuchacze ucichli się w zachwyceniu, a potem jednogłośnie zagrzmiewali go oklaskami. - Mongini nie posiadał takiego wyrobienia, ale za to śpiewał z uczuciem, z zapałem; głos jego pieśniowy odbijał się w moich piersiach i obawiał się nieraz aby jemu piersi nie pękły tak był wylewający i potoczysty. - Gdy Lotti grała wspólnie z Monginim i zawiśli na sobie i splątali się w dwój głosie, zdawało się że ogień przeźre im piersi, taki zapał widać było w ich śpiewie. Calzolari zwykle występował razem z Bosio - obydwoje nas zachwycali, ale nie wzruszali, i jeden tylko Tamberlick, co nie miał swojej pary i to z Bosio, to znów z Lotti występujące mistrzowsko umiał z zapałem podżegać i zapanować nad duszą słuchaczy.

Co do Bernardi i Dottini były to głosiki miłuchne, słodziuchne, ale słabe. Bernardi miłszym śpiewem

Dottini większém wyrobieniem przedstawiała się słuchaczom. W Mojżeszu rad byłem słuchać Dottini, w Ernanim rad słuchałem Bernardi. W jednéj tylko Łucyi z Lamermooru Dottini niewłaściwą miała grę i jéj głos zaś stały pojedyńczo lepiéj by się wydawał w wielogłosach, ale przy silnym głosie Monginiego zniknął, zatarł się.—
De Bassini stoi u mnie obok Lotti i Monginiego, jego głos silny, miękki, czysty baryton, choć i pojedyńczo brzmiał pięknie, najlepiéj się jednak wydawał w kilkogłosach; tam bowiem łącząc się z tenorem i sopranem tworzył miłą dla ucha dźwięczność.—
Everardi z swoim basso-barytonem, Polonini basem i Marini niższym basem w kilkogłosach byli zawsze przedmiotem uwielbienia, ale pojedyńczo, dla mnie przynajmniéj nie byli upragnionymi.—
Nakoniec La Blache De Merick śpiewała ześlekim altem. Przebrana po męzku, półmęzkim głosem pociągała słuchaczy, szczególniéj w Trubadurze i Lukrecyi, gdzie z kielichem w dłoni śpiewała pieśń tak porywalnie, że cały teatr pogrążał się w wirze i szale.—
Oto skład Petersburgskiéj Opery Włoskiéj. Tu znalazłem przecie kogoś co mi przemówił do duszy, co mi uprzyjemnił życie na północy. Lotti wydała mi się cherubinem, który zstąpił na ziemię dla śpiewania Majestatu Stwórcy. Wtenczas poznałem potęgę

powab, cały zachwyt pieśni. Te wesołe śpiewy jakiemi słyszał u Hugonotach przypominały mi kilka owych dni szczęśliwych, spędzonych obok kochanki, co się tak szybko w moim życiu przesunęły... Ten śpiew tęskny, rzewny, jakim usłyszał na Traviacie, zdał mi się westchnieniem, jakie może kiedyś wonny południowy zefirek zapędzi nad moją mogiłą... Ta pieśń dzika z Trubadura zdała mi się owym łoskotem z jakim Newa roztrąca swe zuchwałe fale o granitowe brzegi, ona mi przypomniała moje osamotnienie pośród gwarnego miasta... Ogółem każdy prawie śpiew, każdy dźwięk uderzający moje ucho odnawiał w mojej duszy jakieś pamiątki, naprzemian to tęskne to wesołe, to ponure. A ja się kochałem w tych pamiątkach, bo one mi dziś stanowiły jedyną drogę po rzeczywistości pozostałości...

X.

Dnia 2 Października byłem pierwszy raz na wykładzie w Wszechnicy. Wszedłem do słuchalni z okiem zimnego spostrzegacza i na samym wstępie pojąłem całą zmanierowanie moskiewskiego społeczeństwa. Wszechnica godnie je przedstawia. Wszystko to napuszone jak pawie, głupowate jak pawie, a próżne jak bańka mydlana! U nich mundur studencki stanowi swobodę próżniactwa, a szkiełka i złote łańcuchy stanowią bardzo jasny dowód, że kto je posiada może swobodnie nieukiem pozostać. Nic dziwnego,

że kto o parę kroków nie może towarzysza bez szkiełka rozpoznać, ten tymbardziej nauki, która się szkiełkiem spostrzedz nie daje, gołem okiem rozpoznać nie potrafi. Sądzą, że za wiele zrobili poświęcenia przepędziwszy lat kilkanaście na uczelnych ławicach, spoczywają teraz na zdobytych wawrzynach. Jest Moskalów we Wszechnicy około 1000. Polaków zaś dwustukilkudziesięciu. Mur chiński odgradza jednych od drugich. Tu inne życie, inny duch panuje. Poznasz zaraz Polaka po swobodnej, niewymuszonej postawie – gdy tymczasem Moskal zawsze niewolniczo się trzyma; miarowo chodzi i w samym wyrazie twarzy ma coś odrębnego. –

Wszechnica jest położona nad Newą Wielką, a zatem na Nadbrzeżnej; gmach duży, dość pięknie urządzony, gdyby nie to, że czoło gmachu wychodzi nie na ulicę ale na dziedziniec. Założoną została w 1819 r. za Aleksandra I i z początku niewielką liczbą młodzieży się cieszyła, gdyż i mało wydziałów i niewielu zdolnych kształcicieli posiadała. Dziś jest już trochę bogatszą w tym względzie. Obecnie dzieliła się na 4 Wydziały: 1, Językoznawstwa, 2, Rachubowy, 3) Prawny, i 4) Wschodnich języków. Z tych pierwszy dzieli się na oddziały: językowo i dziejowy; drugi na oddziały: rachubowy i nauk przyrodzonych; trzeci zaś na czysto-prawny i ...

Każdy wydział ma przełożonego nad sobą Dzieka-
na, którym bywa jeden z Kształcicieli tegoż wydzia-
łu. Dziekan zajmuje się wszystkiemi sprawami wy-
działu i jest wyłącznym rozporządcą przejść studentów
z jednego kursu na drugi. Ma on sobie dodanego po-
mocnika, którym jest także jeden z kształcicieli.-
Przełożonym Wszechnicy jest Rektor; ogólnym porząd-
kiem zajmuje się Nadzorca, który ma sobie dodanych
do pomocy dwóch Podnadzorców, a Pisarnia Wszechni-
cy znajduje się pod władzą Syndyka, który zajmuje
się wszystkiemi zewnętrznemi sprawami Wszechnicy.
Przy Wszechnicy znajduje się Księgozbiór i gabinety na-
uk przyrodzonych.-
Co do Wydziału Prawnego na który uczęszczam, ten
w przyszłym roku ma być przetworzony. Obecnie byłem
na pierwszym kursie - ten mię więc najwięcej obcho-
dził. Mieliśmy siedm przedmiotów, mianowicie: Ro-
zumowość prawa i Dzieje zewnętrzne Rossyjskiego
Prawodawstwa wykładane przez kształciciela Kał-
mykowa, który był zarazem Dziekanem Wydzia-
łu prawnego; dalej Prawo Rządowe Rossyjskie kszt.
Andrzejewski; Dzieje Rossyi Kszt. Kastorski. Du-
choznawstwo Kszt. Prof. Palisadow; nakoniec dwa
przedmioty polskie Kszt. Antoni Czajkowski i Prawa
Stósunkowe Polskie obecnie obowiązujące, Kształci.
Hieronim Krzyżanowski.- Najwięcej uczęszczaliś-
my na Dzieje prawodawstwa Polskiego - naprzód

Małego, że one nas najwięcej obchodzić mogły, a powtóre, że mieliśmy wybornego nauczyciela. P. Antoni Czajkowski ukończywszy zaszczytnie Krakowską Wszechnicę został tu powołany w r. 1847 i objął mównicę po P. Hube.- Uczony to człowiek, oczytany wiele, znający gruntownie dzieje prawa i kraju naszego, był zajmującym ich opowiadaczem. Nie było nauki, w której by nam nie powiedział coś nowego, coś zajmującego, to z dziejów prawa, to z dziejów kraju, a wszystko w tak doborowych wyrazach że z prawdziwą przyjemnością słuchaliśmy jego wykładu. Najwięcej zasługiwały na uwagę jego poglądy, w których dojrzale bieg rzeczy oceniać umiał i pięknym językiem malował. A wykład jego tak pociągał do siebie że i wyższe kursa uczęszczały na dzieje prawodawstwa polskiego.

Co do prawa Stósunkowego Polskiego, to nizko wtedy u nas stało. Hieronim Krzyżanowski piastujący mównicę tegoż prawa był to człowiek zdatny na pracowitego urzędnika, ale nie na nauczyciela Wszechnicy. Był on wysłańcem Rządu wysłany za granicę dla ukończenia nauk, nie wiele tam jednak skorzystał i to co z sobą przywiózł błyszczało więcej powierzchownością jak gruntowną nauką. Umiał on dokładnie określić stan Wszechnic francuskich, umiał nam dokładnie wskazać

gdzie jaka część prawa w Ustawniku się znajduje - ale nieumiał nas obeznać z rozumowością, z Duchem prawa. Dla tego też na wykład jego niewielu zgromadzało się słuchaczy; były nawet przypadki, że nikogo nie zastał.

O Rossyjskich kształcicielach cóż wspomnę?.... Dziekan Kadmyskin był to człowiek uczony, wiele języków posiadał, obeznany był z piśmiennictwem i prawem Europejskim i w rozumowości prawa, którą wykładał mógł był wiele pięknych poglądów umieścić - ale przeciwnie było: wykład jego był trochę za niski, za jednostajny, we wszystkich latach jednakowy, mało co z biegiem nauki zmieniający się; jego niektóre rozumowania były tak naciągane, że wątpić by można, czy to z ust uczonego wyjść mogło?.. Może umyślnie, niezgodnie z sposobem myślenia? Nie wiem. Może wykładał przystępnie do pojęcia ogółu, gdyż Moskale tak mają ograniczone zdolności, że nieraz najprostszych rzeczy niepojmują. Zdaje się tém potwierdzać moje mniemanie, gdyż na czwartym Kursie miał podobno wcale dobrze wykładać część dziejową tejże Rozumowości prawa. Drugi jego przedmiot Dzieje Zewnętrzne Rossyjskiego prawodawstwa był za nudny i za słaby aby zeń można było cokolwiek o wykładającym wywnioskować. -

Andrejewski, kształciciel prawa Rządowego, był to Człowiek zdolny i wymowny, ale wykładał

przedmiot wcale niepociągający do siebie. Wykład jego czasem bardzo mi się podobał – ale prawie zawsze robił zboczenia, które być może zgodne były z pojęciami Moskali, ale na które innym trudno się było zgodzić. –
Kastorski, Wykładaciel Dziejów Rossyi był za wielce stronnym w swoim wykładzie. Jego dzieje podług moskiewskiego poglądu na przeszłość, nie mogły być zgodne z pojęciami Polaka; ale że był to człowiek rubaszny, mięszający do wykładu śmieszne ruchy i powiastki, miał więc dość słuchaczy. Chodziliśmy na jego przedmiot więcéj dla zabawy jak nauki. –
Nakoniec Duchoznawstwo przedmiot tak piękny, jak część powszechnéj Rozumowości, było oddane człowiekowi z ograniczoną wiedzą – zmartwiało więc dla nas bez korzyści. Pop Palizadów, który stał się sławnym utrzymując, że dusza jest połączona z ciałem na prawach Fizyki, – sprawił, że Duchoznawstwo zaczęto uważać za przedmiot niegodny uwagi, którego uprawiać nie warto. –
Tak więc pierwszy kurs prawa w Petersburgskiéj Wszechnicy, był obecnie dla nas nie przedmiotem nauki, ale tylko środkiem do przejścia na kurs drugi. Jeden tylko Czajkowski zachęcał nas do prawa i przyciągał doń niego; reszta pozosta

wiona była własnej chęci, własnej pracy i własnej możności. —

Dni ubiegały szybko. Wśród obszernego koła nowych towarzyszów, zapomniałem o troskę, co mi długo szkoło szpiła; wzwyczaiłem się powoli do tego nowego życia, które się otworzyło przedemną i pędziłem czas, jeśli nie wesoło, to przynajmniej bez nudy. Do południa bywałem zwykle w Wszechnicy, potem po skromnem objadku czytałem jaką książkę lub przedrzymałem chwil kilka, a gdy wieczór nadszedł szedłem na operę lub w przyjacielskim gronie przy fajce i czaju, wśród wesołości, wśród śmiechu, spędzałem wieczorne godziny. Prawie wszyscy bowiem studenci polacy mieszkają na Wasilewskiej wyspie i porozrzucane tu i owdzie izdebki uwspólniają się często. Schodzą się jedni do drugich, to na wesołą pogawędkę, to na uczone rozmowy, to na jeszcze uczeńsze rozprawy. A zawsze z otwartością otwierają się drzwi dla każdego i choć skromne, ale serdeczne przyjęcie towarzyszy uściskowi dłoni. A życie nasze, to życie rozbitków wyrzuconych na bezludną wyspę, bo Petersburg, gdzie wszystko jest fałszywe od słodziuchnych uśmiechów półtwarzy roszczek do szczęścia rangowych bohaterów, nic z nami niema wspólnego.

Jak rozbitki podajemy sobie dłonie, wspierając się wzajemnie, żyjemy tém życiem, które w naszéj Ojczyźnie wykwitło i wzrosło, oddychamy tém powietrzem, jakie nam tęskny wiaterek z południa przynosi. A duch nasz, to duch milionów braci, a pieśń nasza, to córa pieśni naddziadów, bo lutnia polskiéj młodzieży, brzmi tylko Polski imieniem! Na pyłe ziąg, na wspaniałych szczeblach nauki, na złotych poezyi strunach - wszędzie jéj imię spoczywa... a przy każdem wspomnieniu jęk głuchy obija się o świata krawędzie, a przy każdem spojrzeniu łza szczy się w puchar dziejów - i nie widać nic, prócz nadziei!... Ale na niwie świata już ziarno dojrzewa, już blizki czas żniwa - a przy żniwie wszech pociechy i nasz się ptak biały pożywi i pieśni się narodowéj napije i wzleci ponad szczyty Karpatów i zaszybuje w przestworzu ponad Bałtyku falami. My czujemy przyszłość, bo przyszłość z przeszłości się rodzi, a przeszłość nasza święta, pełna poświęceń jako życie Chrystusa, a jako krzyż przez Golgotę, tak i my prze śmierć przechodzimy do Wskrzeszenia.—

Dzieliliśmy się na różne kółka; każde kółko miało swoje wybitniejsze znamiona, inne od-

rębniejsze jednostki, inaczej jakoś żyło, inaczej czas przepędzało. Z każdego kółka rozchodziły się po całej Wyspie lotem błyskawicy wiadomostki, zdania i różne opowiastki, które stanowiły główną naszą rozrywkę i pierwszy przedmiot do rozmowy. - Były one podobne do starożytnych Greckich państewek, z których każde żyło odrębnie, a wszystkie jednym oddychały duchem, do jednego celu dążyły.—

Jak niegdyś rozstrzeleni Grecy tak i my w naszém ówczesném rozstrzeleniu mieliśmy sposoby życia i połączenia się ogólnego. Grecy łączyli się jedną wiarą, której ognisko było w Delphach, my jedną potrzebą kształcenia się, którego ognisko w Uczelnicy się znajdowało. Tam załatwiały się różne sprawunki, tam umowy, powitania, tam najlepsza sposobność ujrzenia znajomych i dowiedzenia się o czemś kolwiek; było to jawne miejsce zboru. - Ale oprócz jawnego było jeszcze skryte, samotne, gdzie cały rdzeń życia naszego spoczywał. Było to miejsce w którém się znajdował Polski Księgozbiór. Odnosząc książki biorąc inne, czytając Dziennik jaki u nas wychodził, gawędząc w tej świątyni Minerwy, wynosiliśmy z tamtąd wspomnienia błogie, niczem niezatarte. Księgozbiór łączył wszystkich w jedno towarzystwo, bo wszyscy czerpali z niego korzyści,

i przyczyniali się do jego wzrostu. Tam każdy brał znamię obywatela naszej szczupłej osady, które mu jednało towarzyskość wszystkich, a zarazem nadawało prawo głosu w obiorze Naczelnika Księgozbioru. - Naczelnikowi Księgozbioru była oddana nietylko piecza nad tą naszą wspólną umiejętnością, ale zarazem i opieka nad wspólnemi zasobami, które miały być wprzyszłości użyte na dobro powszechne. Dla tego też urząd taki był zaszczytnym. Naczelnik Księgozbioru, był niejako pierwszą osobą między nami, primus inter pares. Do obioru takiego Urzędnika należał każden Student Polak z wyjątkiem pierwszoletników, którzy głosu niemieli jeszcze, gdyż nie byli jeszcze dobrze z kołem towarzyskiem obeznani - i dzień obioru był dniem ważnym jak dzień igrzysk u Greków, ale kto tego dnia mogło być chyba porównane z Francuską Izbą poselską.

Tak więc tworzyliśmy jedno ciało, jedno towarzystwo, które mimo różności jednostek, mimo różności zdań a często i różności pojęć, nie przestało tworzyć spójni, nie rozpadało się na części, bo oddychało jednym polskim duchem. -

XI.

Upłynęło pół miesiąca od czasu mego przyjazdu; Spędziłem je po większej części na niczem, jak

i wszyscy moi towarzysze. Ale trzeba było przecie 58
pomyśleć o pracy. Pokoik w którym mieszkałem
z Józefem i Jasiem był trochę za szczupły na trzech.
Prócz tego niewygodnie to zawsze we trzech miesz-
kać jeśli mamy zamiar pracować. Uczuliśmy
słuszność tej uwagi. Porozumiałem się więc z
nimi w tym względzie i od 13 Października za-
mieszkałem we dwóch z świeżo z Warszawy przyby-
łem prawnikiem z 2° kursu Aleksandrem Słowiń-
skim. Tak więc zyskałem nowego towarzysza, z
którym bliżej żyjąc zaprzyjaźniłem się a jako
przyjaciela wspominam go tu ściślego z tego kółka
w którém najczęściej moja dusza gościła.—
Aleksander Słowiński był to młodzieniec wesoły i
towarzyski, lubił zabawy, wir i szał, gdzie wśród
grona tchnących jednym uśmiechem, jednem roz-
weseleniem sam był głównym działaczem, gdyż
był wybornym naśladowcą, czy to śpiewem, czy
pełném zabawności opowiadaniem, a nigdy nie
był bez przypadków — tężące do tego zabawne ruchy
wybuchał najszczerszą wesołością i wszystkich zara-
zem rozweselał. Dla tego też Słowiński był po-
żądany w naszém kółku. Wesołość była jednak
trochę niezgodna z wyrazem jego twarzy, trochę
za poważnym, odrębnym który nawet był przy-
czyną nazwania go Papą Słowińskim. — Obok
wesołości niezapominał on jednak uważać,

jakie na wszystkich robi wrażenie i czy czasem kto nie zbiera z niego wzorków, a gdy coś podobnego zauważył, zmieniał rysy twarzy i przybierał postać nijaką, aby nic zeń nie było można wyczytać. Obróciło się to później w podejrzenie. Zawsze się obawiał złego o nim sądu u ludzi, i zawsze się dowiadywał, co też o nim mówią w naszem kółku i bardzo to do serca przyjmował.—

Nadzwyczaj wielkie granice zakreślił własnej godności. Bardzo wiele było rzeczy przychodzących z nią w zetknięcie, które przez to wywoływały niezadowolenie na jego twarzy. Obrazić go było nietrudno; w rozmowie trzeba było bardzo miarkować swoje słowa – w obejściu nie dopuszczać z nim poufałości, gdyż łatwo mógł mniemać, że miałeś go zamiar obrazić. Byli tacy, co mieli z nim bardzo bliskie stosunki, a jednak nie odważali się na poufałość, gdyż jeśli coś podobnego ujrzał, chłódł wielce i długo zachowywał w pamięci. Być może że z tego powodu nadano mu nazwę Pan Słowiński, co w równości Studenckiej mogło mieć wiele znaczenia.—

Rozpraw teoryi nie lubił, a natomiast trzymał się pół środków i w towarzystwie rozprawiających widocznie się nudził, a nieraz stosowiając swoje sławne juste-milieu między nimi, stawał się ogólny przedmiot na zabawniejsza drogę

zwrócić, a jeśli usłyszał rozmowę o polityce, zakończył lub przerywał ją zwykle swoim ulubionym słowotokiem: Cesarz wyjeżdża do Plombières, Cesarz przyjechał z Plombières, którym zwykle przycinkował dziennikarskim doniesieniom. Pod względem zdania o innych z tem się wydawać nie lubił; bronił jednak wszystkich, bojąc się o kim źle wyrzec. — Ciekawy jak kobieta, drżał z niecierpliwości, widząc przed sobą jakąś tajemnicę, tymbardziej, gdy się z czem przed nim ukrywano; sam zaś lubo był wielkim gadułą, miał w sobie przecież trochę skrytości, czem się nawet chlubił. — Lubił wygody bez względu na okoliczności, a ztąd był czasem nudny, gdyż wymagał tego, czego sobie inni skąpili. — Takim był Aleksander w stosunku do towarzyszów. — Co do osobistości — był to grzeczny, wykwintny il cavagliere serwante, zaczepiał kobietki, odprowadzał je do domu i zawiązywał stosunki które się zaczęte zaczynały mową o pogodzie, a kończyły deszczem, gdyż jego znajomostki w Petersburgu innego nie miały znaczenia; zawsze sobie bowiem robił wiele nadziei, a potem miał się za wysłomaczonego, że zamiary jego spełzły na niczém. Zaczęto więc rozmaić przysłowie: Kochać się jak p. Słowiński. Ale on się nie kochał — on może próbował jak się zakochać i dziś uważał swoje znajomości za sposobności do miłego przepędzenia wieczorku, po którym pełen

marzeń na jutro wracał do domu, opowiadając okoliczności, które według niego były zwiastunem bliskiego szczęścia, a według nas były tylko wymarzonem pragnieniem. Słowiński był to Sardanapal na małą skalę: drżał za każdem postrzeżeniem szelestu sukni kobiecéj, drżał za każdém ujrzeniem postaci kobiecéj, a mówiąc nawiasem nie robił różnicy w wyborze piękności; - miał mówię wielką słabość dla kobiet; - ale brakło mu szczyptę odwagi: chciał pełzając po ziemi uchwycić to lotne stworzenie, co mu ciągle migające przed oczyma, i rojąc o haremach, o rozkoszach Wschodu, stąpał jak zimny, wyrachowany Anglik marząc bez nadziei...

Z gorącém sercem, z pełną uczuć duszą, był on zdolny zakochać się kiedyś, z zapałem młodego wieku, ale wątpię czy nie przepali tych kwiatów jego z jego pierwszym wykwitną - bo miłość w kwiecie życia powstała przepala się najczęściéj od skwarów zaśrodkowanych uczuć.-

Alexander uważał pobyt w Wszechnicy za odpoczynek w wewnętrznéj i zewnętrznéj niezależności. On by sobie życzył, aby każdy z nas tworzył sobie oddzielny światek, w takim tylko będący z drugim stosunku, w jakim znajdują się ciała niebieskie w obrocie około słońca.-

Jego życzenie spełnić się nie mogło. Każdy z nas

pojmować swoją godność, znać swoje Ja; ale to Ja nikło w tém kole, w jakiém, splątaliśmy dobrowolnie myśli i uczucia.–
Niespełniwszy życzeń swoich był w oczywistém niezadowoleniu; nie nasza w tem wina, że zamiast sam wcielić się w mnóstwa, żądał raczéj, aby mnóstwa zacieśniły się w świat jego. W tém Papa był podobny do Józefa. Jak Józef daremnie w domu szukał spokoju, tak on nie mógł go znaleść po za domem. I obydwa żyli niezadowoleni ze świata, a może i z samych siebie, z tą różnicą, że w tym względzie Józef był spotęgowanym Alexandrem.
Obok takiéj znamiony Alexander był dobrym towarzyszem, szczerym i zabawnym, nie lubił nieczynności, jakkolwiek i pracą wiele się nie zajmował i w tym względzie zajmował środek między próżniactwem i pracowitością.– Miałem zeń dobrego towarzysza, gdyż od razu odgadłem jego usposobienie i zastósowałem się do niego. Płynął nam więc czas wesoło w pół-pracy w pół-zabawie i przemieszkałem z nim dwa miesiące t. j. do 13 Grudnia. Rozłączyliśmy się nakoniec. Przyczyną naszego rozłączenia była mała okoliczność w któréj promienie naszych samodzielności pokrzyżowały się wzajemnie; zrobiłem mu jakieś gorzkie wymówki i oznajmiłem

że pragnę mieszkać osobno. Dziś przyznaję się do winy. Uniesienie mnę powodowało, zbyt gorąca krew górę wzięła, a w końcu ochłodłem; nie jest jednakże moim zwyczajem cofać wyrzeczone słowa — rozstałem się więc z nim ze smutkiem. —

Pierwszy to raz w życiu zamieszkałem samotnie. Teraz mogłem już działać samowładnie, w pełni swojej woli, nieścieśniony żadnym względem. Życie takie przypadło mi do smaku, a samotność zgodną była z mojem usposobieniem. Urządziłem się więc jednostajnie i zacząłem więcej pracować. —

Codziennie, przepędziwszy ranne godziny we Wszechnicy, jeśli były jakie ważne nauki, spieszyłem do moich pierwszych współmieszkańców na obiadek, a potem spędziwszy tam na pogawędce chwilkę, wracałem do domu, gdzie zajmowałem się czytaniem dzieł aż do wieczora. Potem zabierałem się do tłomaczenia francuskich lub niemieckich i ukończywszy naznaczoną sobie cząstkę, witałem się z czajem, rannym i wieczornym towarzyszem moim. Po czaju, przy lotnym dymku z fajki błądziłem wspomnieniem po ubiegłej przeszłości; czasem piosnka z ust wybiegła, czasem łza z oka spadła

czasem jaki wierszyk się splątał i przelał na pa-
pier. A gdy noc zamroczyła niebios sklepienia,
brałem jaką powiastkę do ręki i czytałem już
w łóżku dopóki nie skleiły się oczy. — Czasem
długo, długo usnąć nie mogłem. To Bronisia
uśmiechnęła mi się mile i niezapominajkę
rzuciła przed oczy — a wtedy rozmarzony wyspia-
łem kwieciście, lubo jakoś; to znów zatapiałem
się w przyszłości, starając się ją przebić silnym
wzrokiem i długo pracowałem myślą dopóki nie
zmorzyłem się do szczętu. A rano obudzony brzę-
kiem samowaru wstawałem z pogodną myślą
i znów przepędzałem jednostajnie dzionek. —
Czasem kółko towarzyszów powitałem u siebie, to
znów sam wyruszałem do znajomych, a wtedy w
miłej rozmowie lub hucznym szale spędzaliśmy
wieczorek. — Coraz częściej chodziłem na Operę a zaw-
szem z niej wracał zachwycony i pełen odświę-
czenia udawałem się na spoczynek.
Miłe to było życie. Przyjaźniąc się z wieloma,
żyłem sobie jednak niezależnie i żyłbym tak
długo gdyby nie położenie pieniężne. Wydat-
kując na Operę i na różne przyjemnostki, gdyż
z początku każdy z nowo przyjezdnych nie oblicza
się z pieniędzmi, wydawałem więcej, aniżeli mia-
łem dochodu. Obliczywszy nakonice wydatki i

dochód znalazłem się w przykrem położeniu. – Opera stała się dla mnie niezbędną, przeznaczonych więc na nią wydatków niemogłem zmniejszyć wcale; trzeba się więc było na innych wydatkach ograniczyć. A że do najgłówniejszych wydatków liczyła się opłata mieszkania, a to zawsze jest taniej zamieszkując we dwóch, zacząłem więc szukać towarzysza. Najkorzystniejszym dla mnie mógł być Józef, najprzód, że pracowity, a powtóre, że byliśmy na jednym kursie; ale on nie śmiał Jasiowi wspominać o rozłączeniu. Ja także nie śmiałem mu o tem mówić – a tymczasem on sam nas uprzedził. Pokoik w którym mieszkałem był wesoły, przyjemny do pracy, pociągający do siebie. Jasio, często u mnie bywając przyzwyczaił się do niego a nakoniec przedstawił mi byśmy razem zamieszkali. Zgodziłem się na to ochotnie, gdyż tak był dla mnie przyjacielski i otwarty, żem zawsze miał pociąg do niego. Tak więc od 13 Lutego 1859 r. zamieszkaliśmy wspólnie; Józef zaś z początku wziął sobie innego towarzysza, a potem zamieszkał sam. –

Pędziłem znów czas jak dawniej, z tą tylko różnicą, że częściej siedziałem w domu, więcej pracowałem i prócz Opery na którą już teraz chodziliśmy z Jasiem prawie codziennie, nie wydawałem

się z domu. Jan także zaczął w domu więcej przesiadywać i czytać dzieła, których mieliśmy pod dostatkiem. A obok czytania dzieł zajmowaliśmy się językami, a wieczorkiem drzymką lub pogawędką. Zyskaliśmy więc oba na wspólnem zamieszkaniu i ja wesołego towarzysza, on znowu pokoik, co go pociągał do siebie a tem samem i do pracy.—

XII.

Tymczasem szósty Marca zamknął dla nas podwoje Melpomeny. Na przedostatnim przedstawieniu pożegnaliśmy Lotti i prawie całą operę, bo to był Don-Żuan w którym wiele osób występuje. Nakoniec Trawjata zakończyła wszystko i na niej to pożegnałem Calzolarego, Everardego, i Bosio.— Nie przeczuwałem że ją raz ostatni widzę. Niedługo potem doszła mnie wiadomość, że Bosio zakończyła życie w Petersburgu dnia 12 Kwietnia 1859 r. Umarła na przeziębienie wskutek podróży do Moskwy, gdzie dawała przedstawienia na korzyść jednego przedsiębiorcy. Mówiono, że niezadowolona wynagrodzeniem na jakie się z nim poprzednio umówiła, śpiewała nietęgo i wskutek tego była źle w Moskwie przyjętą, co się także miało wiele przyczynić do jej śmierci.— Nie wglądając w przyczyny śmierci, żałowaliśmy wielce tak znakomitej śpiewaczki, którą nieprędko zamienią bez straty. Pokój jej popiołom!... Niech ta Muza,

co brzmiała w jéj głosie, zabrzmi jéj nad grobem i czarodziejską drogą poprowadzi w wieczności krainy! —
Takwięc odtąd mieliśmy jedną więcéj przyczynę zamknięcia się w domu. Każdy ucierał się z dawnego szału i brał się do pracy; czasem tylko wyszło wyszło się do przyjaciół i znajomych, a może więcéj z konieczności, jak dla zabawy, bo i sam pracować pragnąłeś i nie chciałeś drugiemu w pracy przerywać. —

W liczbie moich przyjaciół muszę tu pomieścić jeszcze dwóch, którzy byli memi towarzyszami od klassy szostéj, a tymi byli Adam Trębicki i Seweryn Pyrzniewicz. Byli oni obecnie na drugim kursie prawa, a przywiązawszy się do obranego zawodu uprawiali prawo z pracowitością i wytrwałością. Nazywano ich uczonymi — i w istocie ku ogółu nie wiele w tem było przesady, bo też rzadko było znaleźć pomiędzy naszą młodzieżą więcéj pracowitych, a ztąd też więcéj posiadających naukowego obeznania.
Adaś wszędy, zawsze lubił rozprawiać i miał dar do tego, bo był wymowny, szybko rozumujący, tak dalece, że czasem choć nie przekonał, to zagadał, bo przez porównania dochodził do celu. Trudno było znaleźć większego odeń

gaduły.

gadułą. On nikomu nie przepuścił, śmiało prawdę wyrąbał, o wszystko zaczaczył i jednocześnie to z tej to z owej strony znajdował zawsze mnóstwo dowodów na poparcie swego zdania. – Na wszystko lubił uważać, o wszystko zapytać, wszystkiem się zajmować, chciał niejako, jak jakie bóstwo opiekuńcze, deus domesticus naszej wyspy, wpływ na wszystkich wywierać; a choć wpływ postronny, nie był nigdy przez nas cierpiany, słuchaliśmy jego gawędy z przyjemnością. A w rozmowie robił czasem przycinki, szczególniej też Alexander był narażony na jego przycinki na co zżymał się nieraz, choć mu tego nie okazywał. A spierać się z nim było trudno; bo wprzód nim ty zebrałeś się na odpowiedź, on zaczaczył się już coś innego, tak, że nieraz przedmiot rozmowy, zaplątał się gdzieś daleko i zupełnie na co innego zeszło. Zbadałem go w tym względzie dokładnie i rozprawiając niegdyś z nim go się nie starał przegadać; z zimną krwią tylko porównywałem jego słowa i gdzie tylko nie wiązały się z sobą, rozrywałem je nagle, i zwracałem go do pierwotnej rozmowy. Wtedy, zdarzało się czasem, rozmowa zaczęła się coraz zacieśniać i albo trafiliśmy do końca, albo też Adaś nie mogąc mnie przekonać

odkładał resztę na później. Tym sposobem wyślizgnąłem się z pod jego wpływu, jeśli nie zwycięzcą, to też i nie zwyciężonym, a najczęściej tak było, że przepędziwszy kilka godzin na najzaciętszej sprzeczce staliśmy w końcu, jak dwa wojska po bitwie nierozstrzygniętej, na swoich dawnych stanowiskach.

W zdaniach o innych był trochę za porywczy i nieraz sądził z pozoru, a uprzedzając się pod wielu względami i otwarcie przycinając się tym, w których mu się coś nie spodobało, oburzał na siebie jednostki, co czasem nawet było przyczyną przykrych przemówień. A o ile był odważny w natarciu, o tyle zwarzony przy odwrocie, tracąc siły jak kula wyrzucona z działa, gdy na drodze do celu spotka jaką zawadę, o którą przed swój potrąci.-

Na wygodnisiów powstawał, a sam także w wygodach się kochał, nie w takim stopniu, co Alexander, zawsze jednak tyle, że mogło to zwrócić postronną uwagę.- Stałości miał dosyć, nie wszędzie jej jednak umiał użyć, a lubo hołdował Minerwie, przecież porzucał ją spiesznie gdy anielska Venus zaświeciła mu perlistemi ząbkami i tłomacząc się podaniem o swoim pierwszym imienniku, dobro-

wolnie spieszył w sieci kusicielskiej zdradzicy jakiej nowej Ewy. —
Nakoniec otwarta głowa, widząca wszędzie jasno, gdzie inni nieraz pocili się aby ciemność rozpędzić, umiał on jednem wejrzeniem rozpoznać stan rzeczy wszechstronnie; dla tego też roję dla przyszłości świetną i mam nadzieję, że kiedyś w jego osobie ujrzymy jednego z pierwszych prawników.
Seweryn był zawsze trochę posępny i małomówny, choć się lubił chwalić gadulstwem; na jego ustach widziałem dość często uśmiech, ale zawsze trochę przymuszony: prawdziwie wesołym być nieumiał. Co do pracowitości nie ustępował Józefowi a przewyższał go umiejętnością wybrania sobie stósownego przedmiotu. Zdolności bardzo wielkiej równie jak tamten nie posiadał, ale mozołem brak ich nagradzał. Trochę za poważny w obejściu, więcej może jednak miał dobrego serca, jak nie jeden z trzpiotów. Widać na nim było zamyślenie, pracę ducha, zajmowanie się ciągłe opracowanem przedmiotem.
Rozprawy toczyć lubił, jeżeli go do nich pociągnąłeś, ale był uparty i niczem nie przekonany. A że nie władał jak Adaś wymową i zręcznością, nie umiał więc tak śmiało dążyć do zwycięztwa jak on i jeżeli na swej drodze zna-

tował kamień, o który skaleczyć się można było, nie przeskakiwał go, ani omijał jak tamtem, ale wstrzymywał swe kroki.-
Ponieważ był porywczy, nierzadko się zdarzało, że uniesiony gwałtownością, nie miarkował się w słowach, co mu niektórzy bliżej go znający wybaczali, a co innym było powodem do gniewów i złych o nim wyobrażeń.- Zimny i trochę szyderczy. Rozum obrał za swoją przewodnią gwiazdę i litując się nad ludźmi rządzących się wymazaném z jego słownika uczuciem, nadawał im nazwę dziwaków.- Nic mu nie brakowało oprócz zręczności Józefa, a wtedy mógł by śmiało przedstawiać uosobienie prawdziwego prawnika, którego zwykłemi przymiotami bywają: zimnota, upór, uprzedzenie i nuda. Uprzedzenie jego było posunięte do najwyższego stopnia, gdyż był stały w raz powziętem zdaniu, którego czy wstydził się, czy niechciał odmienić pomimo najoczywistszych dowodów. Upór jego był znakomity nie tylko w rozprawach ale i w rzeczach zwyczajnych, lecz co do tego jak również i w obejściu, gdzie był trochę ociężały z przyrody, starał się przezwyciężać, lubo z małem skutkiem. Od zabaw nie stronił, ale prawie namówiony w nich uczestniczył, może więcej dla innych, jak dla siebie – a jeśli por-

wany go w szał, szalał; ale szał jego był szałem łódki unoszonej przez fale.—

Oto dwoj uczeni, rzadko bardzo i oba prawie wychodzący z domu - dla tego też trochę z dumnych uważani. Z kółka w którem żyli wychodziły zawsze różne plotki - bo w zdaniach ich o innych zaczęto upatrywać urzędowej cechy, a że często nie dla każdego były smaczne, gniewano się czasem na nich, ale wpływu ich, a szczególniej Adasia nie ustawał i miejsce, w którem żyli, było podobne słońca z którego wychodzą promienie: jeżeliś się umiał względem niego postawić w miernej odległości, mógłeś doznać i przyjemności i zabawy - ale jeżeliś za blisko lub za daleko krążył od niego, paliły cię jego promienie lub chłodziły i warzyły.—

Lubiłem ich odwiedzać. Naprzód dla tego, że zawsze u nich można było znaleść coś nowego to z prozy, to z poezyi, gdyż mieli stosunki z bogatymi w książki, a powtóre, że mimowolnie ciągnęła mnie do nich dawna naukowa znajomość.—

Zacieśniwszy się w domu, wyglądałem z niego rzadko, i to tylko najczęściej do Wszechnicy i na obiadki, które teraz dla mnie schudły bardzo. Czaj i bułki były obecnie głównem mojem pożywieniem; mimo to jednak dość przyjemnie spędziłem Luty,

Marzec i Kwiecień. Jasio zawsze przynosił jakieś wiadomostki, to znowu drobiazgi do domu; bywał po cukierniach, czytał tam dzienniki, zawsze więc miał coś do opowiedzenia i nie byliśmy odosobnieni od świata. —

——— ———

W tym czasie byłem na dwóch koncertach. Pierwszy z dnia 17. Kwietnia danym był na dochód Studentów Polaków. Pod przewodnictwem Antoniego Kątskiego przyjęli w nim udział p.p. Colossanti, Pickel, Seifelt, u Bukachów, oraz p.p. Dottini i Leonowa, Składał on się z muzyki i śpiewu. Kątski grał na fortepianie, Calassanti na trąbie, Seifelt na baselli, a Pickel na skrzypcach. — Dottini śpiewała ustęp z Purytanów i śpiewkę majową Mejerbeera a Bukaków i Leonowa kilka piosnek ruskich. Ale najwięcéj nas zajął Kątski milutkiemi krakowiakami, które nam Ojczyznę przypominały i wywoływały niejedno westchnienie z piersi a jego "Odgłos z nad Wisły" piosnka tęskna i uczuciowa tak się z naszą duszą splątała, że z uwielbieniem zapaliśmy mu podziękę. —

Ale koncercik ten niczem był w porównaniu z ostatnim koncertem Apolinarego Kątskiego, danym w dniu 27 Kwietnia, w którym przyszło

udział PP. Wurm, Dulcken i Gericke. – Pierwszy to raz słyszałem Ap. Kątskiego i zdumiałem się nad jego mistrzowstwem. Jego gra potoczysta i śmiała, smyczek płynął po strunach swobodnie nie znać w nim prawie było wielkiego zajęcia się grą; A dźwięk wydobyty tak przemawiał do duszy, tak głaskał po sercu, że żałowałeś każdego ubiegłego ustępu, choć inny również piękny następował.

Piękna była "Żona Marynarza" Betza, wykonana na trąbce przez P. Wurm; piękna była Serenada, którą wykonał Dulcken na fortepianie, Wurm na trąbce i Kątski na skrzypcach i inne ustępy mniej lub więcej zająć mogące, ale stokroć piękniejszemi były ustępy wykonane przez samego Kątskiego.

W "Violino solo Obligato" Litolfa, smyczek jego stwarzał coraz wyższe, coraz drobniejsze, coraz cichsze tony, aż doszedł do tej granicy, gdzie ucho zaledwie jest zdolne dźwięki zachwycić; a gdy potem nagle jakby świeżo ocucony powtórzył wesołą piosenkę, zdawało się że wszyscy słuchacze poskoczyli jednocześnie, takie panowało zachwycenie i uwielbienie dla mistrza. Również piękna była "Modlitwa Mojżesza" zapisana ostatnią wolą Kątskiemu przez Paganiniego, gdzie nowy mistrz na jednej strunie tak trudny ustęp wykonał i całe uczucie modlitwy żydowskiej odmalował. –

Gdym słyszał te dźwięki, zdawało mi się, że tam

obok na modlącym się żydzie trzęsą się rzęsie i fizwilim na czole a całe ciało kiwa się jednostajnie wraz ze wszystkiemi gałganami jego sukni. – Jego "marsz wojenny" był prosty i niewyszukany, ale mazurski, szczery i uczuciowy. Słysząc go przedstawiałem sobie kosynierów idących do boju, a mistrz zdawał się być głównym przewodniczącym swoim towarzyszom. – Nakoniec pieśń żałosna poświęcona "pamięci Mickiewicza" zakończyła wieniec natchnionych jego utworów. Kilka razy utwórca wylewając łzę nad grobem poety umilkł w swych żalach bo mu za ciężko było na piersi, i znów płakał dalej, bo go boleść stoczyła, a gdy ostatnia łza spadła mu na lica, na wszystkich malował się jeden smutek i jedno westchnienie wydobyło się z tysiąca piersi. Tyle tam było uczucia, tyle niewyszukanego smutku, iż przyznać musiałeś, że muzyk prawdziwie bolał nad stratą Wielkiego poety i przelał natchnienie jego muzy w swoją pieśń pożegnalną.

Gdy koncert się zakończył, zapał nie miał granic; polacy też szczególniej uwielbiali swego ziomka i prosili jeszcze o Mazura; wziął więc Apolinary ukochane skrzypki i zagrał Batorego, a jednocześnie z grą jego wszystkie usta łączyły się do towarzystwa.

XIII.

Koncert Kątskiego był ostatnią naszą tegoroczną rozrywką. Było to już ku końcowi Kwietnia; trzeba się było teraz zabrać do przygotowań na wypytania mające wkrótce nastąpić. Połowę więc Maja spędziłem wraz z Józefem na wspólnem czytaniu kursów, a od 13 Maja zamieszkałem z nim razem w tym samym domu, obok pokoiku, w którym się Jasio pozostał.

Spędziliśmy miesiąc na mozolnej, nieustannej pracy. Codziennie od rana do nocy trzeba się było wyuczać przedmiotów, które się na nic przydać nam nie mogły, ale one to właśnie były zawadą, którą przebyć należało, aby przejść na kurs wyższy. – Nie uważało się więc, ani na głód i pragnienie, ani na upał piekący dotkliwie; wszystko się stało obojętnem wobec tak ważnej chwili; ja zwłaszcza w obawie o utratę rządowego miejsca, wziąłem się szczerze do pracy. A powoli jedno wypytanie przechodziło po drugiem, a po każdem trochę lżej było na głowie, – a choć więcej znużenia, ale też w nadziei bliskiego końca, coraz więcej ochoty przybywało.

Co do Jasia, ten zajął się prawem Rzymskiem, które miał na pierwsze wypytanie i nabrał dość chęci do pracy; często nawet po nocach siadywał, ale choć miał wielkie zdolności, zawsze był ja-

kiś

kiś roztargniony, a zatem długo potrzebował się uczyć tego, coby mu przyszło z łatwością przy skupieniu uwagi. Tymczasem nadeszło wypytanie, a on niezdołał jeszcze przebiedz wszystkiego i odłożył przejście go na później. Tak było i z drugiem; zniechęcił się już bowiem i był coraz ociężalszy. Przykro mu teraz było, gdyż niemiał z kim porozmawiać; każdy gościa przeprosił i brał się do nauki. Taka zmiana go dobiła, gdyż niezdolny on był przejść nagle do odosobnienia, do zaparcia się rozrywek; rozrywka i przy pracy była dlań koniecznym pokarmem - a gdy tej zabrakło i praca omdlała. - Odłożywszy dwa wypytania odłożył nareszcie wszystkie, obiecując zdawać je po wolnych czasach i jeszcze 27 Maja wyjechał do domu. -
Józef przeciwnie - olbrzymio wziął się do pracy. Ten człowiek zapomniał o sobie, tak przejął się duchem, jeśli nie zapisek, których się uczył, to świętości obowiązku, jaki teraz go obciążał. A czy to przy posiłku, czy przy ubieraniu, nawet kładąc się na spoczynek ciągle on się uczył, lub powtarzał. Nie stracił na tem, ale też i zmordował się zapewne więcej niż inni.
Nareszcie minął 11 Czerwca, a z nim ostatnie wypytanie; przeszliśmy je wszystkie obydwa dobrze, prawie jednakowo i odetchnęliśmy przecie

trochę. Wszyscy moi przyjaciele poprzechodzili na wyższe kursa, wszystkie twarze porozjaśniały się znowu; ale na każdym widać było znużenie, wycieńczenie. Każdy bowiem w tym czasie ubiegłym i niedospał i niedojadł, aby tylko prędzéj a prędzéj iść do celu, a gdy go doścignął upadł z osłabienia. Przez cały czas owych przygotowań nasza wyspa stała się ponurą, milczącą, grobową; zapiski, których się wyuczaliśmy pamięciowo jak machiny, ciągle nam błądziły po umyśle i zdarzało się nieraz że zapytany o cokolwiek dawałeś niedorzeczną odpowiedź. Spędzaliśmy czas przykro, słodząc go czasem żarcikiem z pracy i jak żyjące zapiski o nich głównie umieliśmy tworzyć rozmowy. — Wielu było takich, co poodkładali po kilka wypytań na dzień dodatkowy; byli i tacy, co je wszystkie odłożyli na później. Jednocześnie z początkiem wypytań trzecia część Studentów zachorowała pozornie, aby mieć przyczynę odłożenia ich, a na naszym kursie, tylko my dwaj przeszliśmy je w swoim czasie, dla tego też pozostali pocili się jeszcze w najlepsze, kiedy my oddychaliśmy już na świeżem powietrzu. —

Co do Moskalów, teraz się dopiero okazali oni w całej świetności. Teraz się trzeba było wytłomaczyć z noszenia studenckiego ubioru;

(a wiedzieć należy że prawdziwy obraz ruskiego studenta jestto postać nosząca obok zwyczajnego mundurku zieloną stojącą czapkę, długie białe rękawiczki i kalosze z trójkątnemi sprężynami - a wielu bardzo chodzi w paradnym ubiorze) trzeba się było mówię postawić pomiędzy dwiema ostatecznościami t.j. zrzuceniem ulubionego mundurku "по форме" a przejściem działowego ognia wypytań. Ogromnie tępe głowy, pracowali zaś olbrzymio; byli tacy, co uczyli się zapisek przez rok cały i zaledwie się ich wyuczyli. Każdy z takich odpowiadał zwykle z tego, co mu wypadło, a zapytany o coś więcej dawał jak najniedorzeczniejsze odpowiedzi. Niektórzy panicze nie trudzili się wiele; dla tego też często można było widzieć takich, co na żadną odpowiedź zdobyć się niemogli, a przez to wielu zostało zatrzymanych na tym samym kursie. Aby mieć wyobrażenie o ukształceniu Moskali, dość powiedzieć, że zdarzali się tacy, co Letkowość Sądową do Gwiazdoznawstwa zaliczali, co niewiedzieli ile państwo Rosyjskie posiada mieszkańców, co sądzili że Archangielsk leży przy ujściu Wołgi, a ileż to było takich, co nie wiedzieli o czem mówią, co wykład z wykonawczością mięszali, co gdy się zacięli na jednem słowie, już wyuczonej karty zapomnieli!...

Tak odbyły się u nas wypytania. Teraz jedyną myślą większości była podróż do domu. Tegoż dnia w którym pierwszy kurs prawa zakończył swój rok naukowy odwiedził nas Alexander i doniósł, że jest towarzystwo do podróży. Jakkolwiek wraz z innymi rządopłatnymi podałem prośbę o wydanie mi płacy za kilka miesięcy z góry – przecież niepredko mogłem mieć nadzieję odebrania jéj; ale dało się to załatwić, gdyż zdarzył się poczciwy towarzysz, co mi na podróż pieniędzy pożyczył. Umocowałem więc tylko jednego z rządopłatnych do odebrania moich pieniędzy, i ten miał mi je odwieźć do Warszawy.

Mieliśmy jechać w sześciu t. j. ja, Józef, Oleś, Adaś, Seweryn i pewien Kadet, którym się dwaj ostatni opiekowali. W sam dzień naszego ostatniego wypytania, gdy ja z Józefem czekałem niecierpliwie zakończenia go – Adaś i Oleś zajęli się wyrobieniem dla nas pozwolenia do wyjazdu na Wolne Czasy, a wieczorem tegoż dnia wszyscy byliśmy już gotowi do drogi.–

Nadeszło jutro, 12, Czerwca. Nie miałem nawet czasu zjeść śniadania tak byłem niecierpliwy do drogi. O ósméj rano wsiadłszy na parojazd ruszyliśmy ku Pskowu.– Serce mi biło radośnie, gdym poczuł, że opuszczam

Petersburg i jadę w rodzinne strony. Wszyscy jednakowego doznawaliśmy wzruszenia i prowadząc wesołą pogawędkę o ubiegłym roku, paląc papierosy lub też drzymiąc od czasu, bośmy byli trochę niedospani i niedosileni przebiegliśmy szybko drogę i przyjechaliśmy do Pskowa. Nie miałem chęci zwiedzać miasta, wziąłem więc wraz z Oleśkiem i kadetem izwoszczyka, który nas odwiózł do Krestów, przystanku pocztowego, leżącego na uboczu. Józef udał się dla zaopatrzenia nas w żywność do miasta, a Adaś z Sewerynem starali się o podorożną. – Podorożna jest to urzędowe pozwolenie brania pocztowych koni, na okazanie którego dostarczają ich na każdym przystanku – a bez podorożnej w całem Cesarstwie Rosyjskiem koni ci nie dadzą. –

Przyjechawszy do Krestów stanęliśmy na poczcie i odpoczęli trochę, a tymczasem i nasi towarzysze nadjechali. Posiliwszy się wspólnie, zaczęliśmy radzić o dalszej podróży. – Mieliśmy jechać pocztą przekładaną; poczta przekładana to nasza tak zwana extra-poczta tylko, że o wiele gorsza. Jestto bowiem zwyczajny wóz szótnowy, w którym i rzeczy dobrze umieścić niemożna i samemu siedzieć trudno; przytem ma tę własność, że podrzuca w górę, a zatem niesłychanie

morduje. Rzeczy, których nigdy mużyk dobrze nie obłoży sianem, przez ciągłe podrzucanie i tarcie o drzewo niszczą się lub rozlatują. Ponieważ w Cesarstwie poczta jest puszczona w dzierżawę i każdy prawie przestanek do kogo innego należy, nie można więc z góry za całą podróż zapłacić, a tylko częściowo na każdym przestanku. Dla zniszczenia trudności w podziale nasześciu wydatków podróżnych, obraliśmy Adasia płatnikiem poczty i załatwicielem wszystkiego, co się mogło tyczyć podróży; wszystko zaś co się odnosiło do wspólnego pożywienia było poruczone Józefowi. Obydwom złożyliśmy się po równej kwocie i odtąd jechaliśmy swobodnie nie troszcząc się o nic.–

Z upragnieniem oczekiwaliśmy naszej ziemi, i pierwszy żyd jadący z towarami rozweselił nas jakąś swojskością; następnie bernach przemknął nam się przed oczyma. Witaliśmy ich jak Kolumb rośliny zwiastujące mu amerykę. Nareszcie z biciem serca powitaliśmy w Dynaburgu pierwszy napis polski. Wszystko odtąd weseliło, radowało wewnętrznie; na każdym kroku uczuwaliśmy ogromną różnicę między Polską i Moskwą. W Ucianach jedliśmy pierwszy raz obiad po polsku zgotowany; można sobie wystawić jak nam smakował po moskiewskich obiadach.– przekładanemi było

nam tu już trochę wygodniej; naprzód że często się zdarzało, że kilka przystanków do jednego właściciela należały, a w takim razie nieprzedstawiano już rzeczy, a powtóre że bryczki były tu już trochę wygodniejsze.—
Jechaliśmy dość wesoło: przez cały dzień rozmawiało się o tém lub owem: to Adaś pogadulił, to Seweryn się uśmiechnął, to Józef sapnął i zafukał, to znów Pan Alexander wybuchnął jakim gwałtownym śmiechem, lub poskarżył się na niewygody podróży, a czasem Kadet ocknął się z uśpienia, w jakim był ciągle pogrążony i wskutek czego zgubił trochę rzeczy, ja znów najczęściej śpiewałem jaki urywek z opery. A często zaśpiewaliśmy wszyscy jaką pieśń lub piosnkę a wtedy wśród gwaru i dymu z papierosów bryczka sunęła się szybko i dziwiliśmy się krótkości przystanku.—
W Królestwie już podróż daleko łatwiejsza, gdyż dają dobre, niestrzęsące bryczki i rzeczy lepiej obkładają sianem, a przeto zabezpieczają od niszczenia. Wszędzie spostrzedz można było dojrzewające zboża, uśmiechające się ogrody, wesołych chłopków, na których umorzonem, spracowanem licu widać jednak wewnętrzne zadowolenie, a wokół przyjaźń i uczucie braterstwem tchnące okazywało, że ten człowiek

ko w pocie czoła dla bliźnich pracuje, gotów jest i bronić ich w potrzebnej chwili, a kochanka kosa mogła by w jego ręku również być użyteczną w boju, jak w domowej pracy.—

17go Czerwca wjechaliśmy do Warszawy na dwóch bryczkach, okurzeni, spiekli od słońca a nawet i głodni trochę. Pierwsza trójka została w Warszawie; Józef i Oleś stanęli dni kilka w zajeździe, a potem wyjechali na wieś - ja zaś zajechałem do domu.—

Nic się tu w nim nie zmieniło. Zastałem tylko Ojca chorego oddawna, macocha trochę więcej wybladła, dzieci trochę podrosły; reszta pozostała jak dawniej niezmieniona, nietknięta: rzeczy stały w tem miejscu, gdziem je zostawił, książki i papiery znalazłem tam, gdziem je ostatnio włożył. Ojciec rad był bardzo, że mnie ujrzał, co więcej, zauważyłem w nim teraz trochę większe mną zajęcie, więcej kochające obejście się: może w czasie dziewięciomiesięcznej mojej niebytności, jego rodzicielskie serce zatęskniło czasem . . . Kilka słów z jego ostatniego listu pozostaną dla mnie drogą na zawsze pamiątką, gdyż tak czule przemawiały do mnie, że znać było iż prosto z serca wypłynęły.

Wkrótce po powstaniu, gdy gawędziliśmy

o tém i owém, dowiedziałem się o smutnym wypadku, że Babka moja zakończyła życie 20 Maja 1859 r. – Oddawna ona zbliżała się do grobu; koniec jej życia był bezustanną póóchorobą, miałem jednak nadzieję, że w takiej jednostajności pożyje jeszcze dłużej. Wiadomość o jéj śmierci odebrałem niespodzianie, syn jéj bowiem nic mi o tém nie doniósł, nawet o chorobie nie napisał; Ojciec mój dopiero z ust trzecich dowiedział się o jéj zgonie, a zarazem uwiadomił, że p. Felix niedoniósłszy o niczem, sam się zagospodarował w majątku a jeszcze za życia matki pokrzywdził stan spadkowy z moją krzywdą, gdyż oboik dziedziczenia po mojej matce zapisu, na nieruchomości jéj rodziców ciężącego, przystępować jeszcze miałem przez prawo zastępstwa do spadku wraz z Wujem. –

Jedyną więc myślą Ojca było pojechać wraz ze mną do Kalisza, dla przekonania się o stanie rzeczy, ale choroba zatrzymywała go na miejscu i długo jeszcze z domu ruszyć się nie mógł. –

XIV.

Tymczasem ja bujałem po Warszawie. Wielki to przeskok od bezustannej pracy, do bezzatrudnienia, do beztroskoty o jutro. Swobodny więc zwiedzałem to Miasto, którego dawniej nie lubiłem, a które dziś po Petersburgu wydało mi się

i przyjemném i wesołem. Na każdym kroku doznawałem wrażeń nieczuwanych poprzednio; spotykałem lud prosty z jak najpiękniejszém rozwinięciem umysłu, widziałem dorożkarzy czytających dzienniki i rozprawiających o wypadkach politycznych z zadziwiającym rozsądkiem. I dawniej przecie widziałem to także, ale nie zdawało mi się dziwném bom się do tych wrażeń przyzwyczaił; dziś dopiero gdym porównał nasz lud z głupowatym mużykiem, wiedzącym zaledwie że żyje na tym świecie, na którym wisi mu zawsze nad głową, ujrzałem ogromną różnicę między Polską i Moskwą. Samo nawet życie w Warszawie tak swobodne, tak niewymuszone jakieś tworzyło przeciwieństwo z życiem Petersburga!... Tu inny zupełnie świat przedstawił się moim oczom. Ta srebrna Wisła rozwijająca swobodnie swe fale; te brzegi nadrzeczne upargokowane wzniesieniem domów i ogrodów, te wieżyce kościołów wybujałe w powietrzu, z bijącemi na nich zegarami; te ogródki w których przy dźwięku muzyki miłe Warszawianki spędzają wieczorki; ten gwar starej części miasta, wiekowe dzieje noszącej na sobie, tak ogromną z Petersburgiem przedstawiały mi różnicę, tak pełno nauwały wrażeń, że Warszawę pokochałem mimowolnie, przywiązałem się do niej...

A w łonie Warszawy zmian kilka wybiegło w tym roku. Władzio się ożenił z dość zamożną wdówką, a przezto zapewnił sobie niejaką przyszłość, a przyjaciele moi będący w Kształtni Lekarskiej wzięli z niej uwolnienie. Dziwne bo się tu rzeczy wydawały.

W pierwszym roku w Kształtni Lekarskiej nie było wypytań, wszyscy więc Studenci przeszli z pierwszego Kursu na drugi. W obecnym roku wielu także zapisało się na Kurs pierwszy i wypytania odbywać się miały. Tym czasem p. Muchanów Dozorujący Okręgu Naukowego Warszawskiego wraz z Cyrurynem Naczelnikiem Kształtni sporządzili dla owych wypytań Ustawę niepodobną do wykonania. Według niej bowiem Student niezdawszy odpowiednio z dodatkowego przedmiotu, choćby z głównych dostatecznie odpowiedział nie dostawał przejścia na Kurs wyższy a jeżeli powtórzyło się to na rok drugi otrzymywał uwolnienie z Kształtni. Nie dość na tem utworzono tam zdawanie z całego Kursu lekarskiego, którego połowa miała być odbytą na Kursie drugim, niezawiśle od wypytań przechodowych na Kurs trzeci, a druga połowa na piątym. Tak więc ten, kto niedawno wstąpił do Kształtni i zaledwie zaczął zgłębiać Lekowość miał zdawać z połowy wypytań na lekarza i

jeżeli podług zasad powyższych nie zdał, nie dostawał przejścia; na drugi rok mogło się podobnież wydarzyć i mógł przebyć w Warsztatni lat kilka, a nawet wykształcić się w lekarskości a przecież napróżno, bo jakiś tam przedmiot dodatkowy niepozwalał mu być lekarzem. Ustawa ta nie zgadzając się z ustawą żadnej Wszechnicy, a przytem stanowiąc dla Studentów liczbę lat, jakie mają przebyć w Warsztatni, co dla każdego pragnącego się wykształcić na lekarza, było bardzo uciążliwem – wywołała słuszne oburzenie młodzieży i ci z rzadką w podobnych razach jednomyślnością podali prośbę o uwolnienie.–

Rząd przyjął to wystąpienie za zbrodnię, którą postanowił ukarać. Jakkolwiek ustawy tej Minister Oświecenia potwierdzić nie chciał i była tylko podpisaną przez Zastępcę – przecież skoro była dana, należało ją przyjąć bez szemrania. Takie było mniemanie Dozorującego Okręgu. Dlatego też rozkazano kilkunastu studentów wsadzić na odwach, gdzie długo siedzieli w prawodziwém więzieniu, a pozostałym dano uwolnienie z "nienagannem sprawowaniem" i postanowiono ich uważać jako wyjętych z pod prawa naukowego. Nie pozwolono im bowiem starać się o miejsca rządowe w rossyjskich Wszechnicach a nawet przechodzić do tych Wszechnic na wyższy

zazobach. Osadzeni zaś na Saskim placu byli długo badani o różne drobiazgi, ale wyczerpali się ze wszystkiego z niestawiwszy jeszcze zwierzchności Kształtni. Nic z nich nie mogąc wydobyć, a widząc że w Warszawie burzyła się krew na gwałt taki – wypuszczono ich, oprócz dwóch, których wywieziono pod strażą na miejsce urodzenia. –

Pierwszy to raz świat usłyszał, aby przymuszano się uczyć nie podług woli kształcących się, ale podług narzuconej siłą ustawy. przecież ten kto dobrowolnie wstąpił do naukowego zakładu, powinien mieć również możność dobrowolnego zeń wystąpienia, co nawet, jak mi się zdaje, nie sprzeciwia się wcale polityce. Otóż inaczej tu rzeczy pojmowano, gdyż od czasu zniesienia mównic Rozumowości w Wszechnicach rosyjskich zabroniono zarazem rozprawiać na zasadach zdrowego pojmowania rzeczy. Jednakże Ustawy pomienionej nie śmiano ogłosić w pismach, jak człowiek co zna swoje wady, a przecież w opowiadaniu je opuszcza. Natomiast ogłoszono inną ustawę, więcej zbliżającą się do ustaw Wszechnicy i ta miała być dostatecznym pokarmem na zadowolenie powszechności. Zdaje się jednak, że tylko Warszawa korzystała z tej nowej ustawy, ale za granicą dowiedziano się o prawdzie

z dziennika "National Zeitung", który o tem nie tę sprawę opisał.
Kilkudziesięciu z tych, co otrzymali uwolnienie, zostali nawróceni na "prawą drogę" przez zwierzchność i wrócili się do Wszechnicy, jak Żydzi do zwalisk Jerozolimy; ale owa chociaż cząstka Studentów najgorsze swym postępkiem zrobiła na wszystkich wrażenie, a sama nie podparła stawy swego zakładu. Byli to po większej części tacy, co wstąpili do Wszechnicy dla munduru, a nie dla korzyści, co nie pracowali nad nauką. Dla tego też choć zdali wypytania, które zdać musieli, kiedy im pozwolono; uważają się oni za ten grunt jałowy, który chociaż oznacza posiadłość, przecież niezdolny przynieść płodów. –
Stasio, Mieczysław i Bolesław otrzymali podobnież wraz z innymi uwolnienie. Stasio i Bolesław mieli zamiar wystarać się o pozwolenie wyjazdu do Wszechnic, pierwszy do Petersburga, drugi do Kijowa; ale Mieczysław znalazł się w przykrem położeniu. Jeszcze w zeszłym roku powziął on ~~z~~ zamiar starania się teraz o miejsce rządowe w Wszechnicy, gdyż zasobów na utrzymanie się z dala od domu nie posiadał – a dziś ujrzał przed sobą zapartą tę jedyną drogę do wykształcenia się. Postanowił więc jeszcze spróbować szczęścia inną drogą. Ma on

zamiar wystarać się o pozwolenie wyjazdu do Kijowa. Tam utrzymanie dość tanie, ma więc nadzieję przebywszy tam rok i zdawszy dobrze wypytania wystarać się przez to o miejsce rządowe na ostatnie trzy lata - gdyż Studenci z Wszechnic jeśli przejdą odpowiednie wypytania mają pierwsi prawo do utrzymania rządowego. Pragnę bardzo aby zamiar jego przyszedł do skutku, bo nieszczęście już zanadto ściga ich całą rodzinę.

Dnia 6 Lipca byłem pierwszy raz na Operze polskiej. Grano Hugonotów. Już to siódmy raz spieszyłem na tę operę, ale teraz miałem ujrzeć jak też ona w polskiej sukni wygląda. - Zagrzmiała przedgrywka, podniosła się zasłona i wielogłosy uderzyły moje ucho. Nie były one zbyt zgodne, trzymały się przecie. Usłyszałem nareszcie Kamińskiego, który tu odgrywał część Tamberlicka. Głos silny tenór, może czasem trochę przerażający, ale dość miłe brzmiący w uchu, szczególniej w słabszych dźwiękach. - Kamiński śpiewa z zapałem, tylko jego postawa za sztywna i wymuszona psuje wrażenie śpiewu. - Borkowski zastępujący tubasem Marinie-go wcale mi się podobał. Troschel z swoim barytonem także się nieźle wydał. Dowiakowska

w grze Królowej na miejscu petersburgskiej Dot-
tini, ma głosik do tamtej podobny, milszy na-
wet, więcej wyrobiony, ale trochę niesmaczny,
gdyż z trudnością cedzi słowa i śpiewa trochę
z przesadą. Nadzwyczaj mię z początku dziwi-
ła Quattrini. Przebrana po męzku przedstawia-
ła pazia. W petersburgskiej operze podobnie
pazia należy do żeńskiego altu, który zupeł-
nie odpowiada męzkiego strojowi; ale głos Quat-
trini, najczystszy sopran, tak dziwnie zabrzmiał
mi tu w uszach, żem się długo doń nie mógł
przyzwyczaić. Ucho przyzwyczajone do altu nie
mogło tak łatwo znieść zmiany; później jed-
nak słuchałem jéj z przyjemnością, gdyż śpie-
wa z wdziękiem śmiałym, miłym i wyrobionym
głosem.—
Nareszcie wystąpiła Rivoli. Jéj głos miły a
nawet dość silny podobał mi się. Jeżeli niż-
sza od Rosio i Lotti to jednak daleko wyższa od
Bernardi i Dottini i gdyby tylko posiadała
wdzięk gry nicby nie pozostawiała do życzenia.
Ale ruchy jéj nieśmiałe, spojrzenia błądzące,
ciągle zdaje się upadać pod smutkiem, kiedy
Lotti stara się go przezwyciężyć; dla tego omyli-
ła trochę moje nadzieje.— W trzeciej części, gdy
śpiewa razem z Kamińskim, głos ich tworzy
miłą dla ucha dźwięczność; ale zawsze widzę

w nich pamięć na obecne położenie, zaczęto spoglądając na widzów, jakby nie mogąc zapomnieć o tem że dla nich śpiewają. A najpiękniejsze ruchy z tej części jak np: odpanie się od okna, co tak mistrzowsko wykonywała Lotti, albo zastąpienie przy drzwiach drogi kochankowi, chcącemu iść braciom na pomoc, zostały tutaj albo opuszczone, albo w połowie, bez wdzięku wykonane. Wrażenie jakiego doznałem wtedy w Hugonotach, może być porównane z tem, jakie nam przynosi przeczytana powieść, gdzie niektóre ustępy prawdziwie nas zajmują, ale zawsze dalecy jesteśmy od rzeczywistości, obecności nie pojmujemy, a tylko wszystko przedstawia nam się jak przeszłość...

Oprócz Opery bywałem także na Dramatach. Dramata w Warszawie odgrywane bywają wybornie. Wszyscy mniej więcej działacze starają się widzom rzeczywistość przedstawić. – Kiemińska, Palińska nic prawie nie pozostawiają do życzenia; Chomanowski, Żółkowski, Chęciński, Karasiński wybornie odgrywają swoje części. Ale któż dorówna Królikowskiemu? Ten człowiek zupełnie zapomina o sobie. Jego gra tak rzeczywisto się odbywa, że zapominamy o nim, widzimy w nim zupełnie

inną osobę. Wszędzie wyborny, wszędzie rzeczywisty, ale w Mauprat przechodzi oczekiwanie widzów. Czy to bowiem pełza ostrożnie po ziemi wokół osoby, której chce niepostrzeżony świecę zgasić i pistolet z ziemi pochwycić, – czy nakoniec wije się w męczarniach głodu i kona czołgając się na piersi – zawsze jest mistrzem w swej grze, przestając być własną osobą. – Co do Gąsowicz, ta młoda i powabna przedstawicielka byłaby przepyszną, gdyby nie zawiele wytworności w głosie, gdyby nie za wiele ruchów i przesady, co mniej więcej bardzo wielu naszym przedstawiaczom zarzucić można. Zawsze jednak ogólne moje zdanie o Warszawskim dramacie jest pochlebne; w rzeczy samej wysoko on stoi, gdyż głównie położenia go podnoszą, a te oddane są zawsze najpyszniejszym przedstawiaczom. –

XV.

Kalisz dnia 13 Sierpnia 1859 r.

Upłynęło to już dwa miesiące od czasu mego przyjazdu z Petersburga, a ja zapomniałem o piórze; nic do dawnych wspomnień nie dodałem. Czas ten przepędziłem dość wesoło, wśród grona przyjaciół i znajomych. Ranek i popołudnie spędzałem pospolicie w domu pisząc coś lub czytając a wieczorem wychodziłem na przechadzkę, albo do Maciusia, gdzie w dużem kółku zbie-

zaliśmy się na pogawędkę. Byłem jeszcze dwa razy na operze, na Żydówce i Halce. Halka szczególniéj zrobiła na mnie miłe wrażenie. Jest to pierwsza opera polska utworzona przez Moniuszkę. Utwórca pomieścił w niéj wszystko, co polaka wzruszyć może: jest tam i rzewnisty konturowy polonez i tańce góralskie i śpiewy prostego ludu, muzyka wylewająca, dźwięczna i rzewna jak głos Dobrskiego co tu miał główną grę. Dobrski posiada piękny tenor pierwiowy odcienia barytonu, a obok tego nadzwyczajne wyrobienie i ruchy wyborne; głos jego tak porywa za serce, tak dodatny przemawia, że trudno go niewielbić. Takim tenorem słusznie się poszczycić możemy. Poprzednio słyszałem go już w Żydówce i miałem sposobność należycie go ocenić, ale teraz przedstawił mi się jeszcze świetniéj. Rivoli w grze Halki także się przedstawiła wybornie: śpiewała z czuciem i rzewnością a nawet z uduchem a przez to polepszyła u mnie zdanie o sobie wyciągnięte z pierwszego wrażenia. Halka mię bardzo zajęła i wzruszyła; powróciłem do domu rozmarzony, obiecując sobie pójść jeszcze na nią razy kilka.

Ale pozostało to tylko marzeniem, bo zasoby moje ścieśniły się bardzo. Umocowany do odebrania mojéj płacy wyjechał wcześniéj z Petersburga i

zostawił pełnomocnictwo innemu, a tamten odebrawszy pieniądze pożyczył je znowu swemu przyjacielowi na podróż; tym sposobem ja zostałem bez grosza, bo dłużnik aż dotąd nie może się domyśleć, że mi pieniądzy potrzeba. Wskutek tego siedziałem w Warszawie na uwięzi oczekując rychło Ojciec powróci do zdrowia, a tém samem, rychło wyjedziemy w Kaliszkie. Wprawdzie Ojciec mój już w połowie Lipca miał się nieźle, ale nie mógł się jeszcze odważyć na podróż, a przytem taki był powolny, taki niepostanowiony, żem już zaczął wątpić czy pojedzie. —

W takiéj niepewności upłynęło 10 dni Sierpnia; nareszcie wyjechaliśmy parojazdem, a potem omnibusem do Kalisza. — Kalisz wypiękniał w moich oczach; brzegi Prosny otoczono wałami, urządzono na niéj ładne przechadzki, dodano mu trochę blasku; ale zarazem przypomniał on mi, że to już czwarta osoba z naszéj rodziny wstąpiła do jego grobów. Nie było już Babki, z którą niespodziewałem się tak wcześnie rozłączyć; do Wuja zajeżdżać nie wypadało, stanęliśmy więc w zajeździe.

Ponieważ głównym celem naszéj podróży było uporządkowanie sprawy majątkowéj, zaraz więc po przyjeździe byliśmy u niego wspólnie.

spadkobiercy dla polubownego ułożenia się.
Ale sprawa zaczęła się wikłać. Wuj mój na Matce wymógł dwa pisma, mocą których stał się panem całego macierzystego majątku, zostawując dla mnie tylko część po Dziadku i zapis zabezpieczony na domu. Przeciw darowiźnie ⅓ części macierzystego majątku nie miałem nic do nadmienienia; nie mogłem mu jednakże przyznać drugiego pisma, mocą którego nabył resztę sposobem kupna. Ale pismo to było nieważne, gdyż kupił on majątek bez pieniędzy, co było niezgodne z prawem.— Przedstawialiśmy to niejednokrotnie, ale wierzyć temu nie chciał i z praw swych złej wiary nabytych nic nie chciał ustąpić. Tak powikłana sprawa wymagała namysłu. A że utrzymanie w zajeździe nie było tanie, postanowiliśmy więc jechać do Pamięcina, aby obok odwiedzin, naradzić się z p. Jabłońskim co dalej czynić wypada.—

<u>Pamięcin dnia 15 Sierpnia 1859 r.</u>

14 Sierpnia konie pocztowe poniosły nas nareszcie w strony, do których przez rok cały wzdychałem. W krótce stanęliśmy w Pamięcinie. Z daleka ujrzałem jakąś główkę w okienku, a w krótce potem p. Jabłońska wybie-

gła przed dom na nasze spotkanie. Weszliśmy do pokoju. Na samym wstępie przed nami szybko przemknęła się Marylka; zarumieniona nieco przebiegła szybko przez pokój odkłoniwszy się na mój ukłon i jak senne zjawisko znikła na chwilę. Za nią pobiegła i Panna Aniela uśmiechnąwszy się filuternie. A tym czasem nadszedł i P. Jabłoński. Powitanie nasze było czułe. Z powodu tak długiego niewidzenia zatrzymano nas na cały tydzień; rozgościliśmy się więc w najlepsze w nadziei miłego przepędzenia czasu —

———— ————

Tak więc jestem w Pomiężynie, tém małem gniazdku, gdziem sobie szczęście układał, obok Anioła któregom uwielbił. Dzień dzisiejszy jest uroczystym dla mnie, bo to imieniny Marylki. — Po przyjeździe z oddali, po zobaczeniu się na nowo, pragnąłem przycisnąć ją do serca, złożyć pocałunek na jej czole, popieścić się trochę; — ale cały ten ogień jaki znów rozpłomienił mi w sercu, nie mógł wypełnić moich życzeń. Ona jak dawniej, zwinna jak serenka, ubiegła mi z oczu i nie śmiała nigdy odpowiedzieć więcej jak pożądałem. Może rada, żem przyjechał, nie śmiała jednak tego okazać — ale jakby na pocieszenie przyglądała na mnie czasem

tak zachwycającą, że mi to wynagradzało wszystko.

W nieprzytomności pytałem Jasia, jak też im tu w mej nieobecności czas schodził – i z jego opowiadań wywnioskować mogłem, że u Marylki byłem w ciągłej pamięci i że każda wieść dochodząca o mnie lub o mnie nie była dla niej obojętną. Pocieszyło mnie to wielce. Dowiedziałem się również, że dopytywała się o moim przyjeździe i spodziewała się, że przybędę na Jej imieniny. Nie pomyliła się w domyśle; ja sam rad byłem, że się nam tak podróż odwlekła, bo dzień Jej imienin jest zawsze dla mnie uroczystym.–

W dniu 14 Sierpnia, który jest dniem urodzin Maryli ośmieliłem się uścisnąć Ją, i pocałować niby nieumyślnie przy powinszowaniu. Rada to przyjęła niewiem, broniąc się jednak słabo; nie okazała mi gniewu, a mi dodało otuchy na przyszłość. Jakże była wtedy piękną! W białej sukni, w starannie ułożonych splotach, z lekko zapłonionem licem, z uśmiechem błądzącym na usteczkach, przedstawiała mi Anioła... A ja zaczerpnąłem tej boskości, co Jej czoło zdobiła!... Dziś w dniu imienin radbym był to samo powtórzyć, ale obecność domowników wstrzymywała mnie. Powinszowałem Jej więc tylko w kilku słowach i wręczyłem na pamiąt-

tkę

kę Dzieje Ojczyste a odebrawszy podziękowanie oddaliłem się spiesznie. Byłem nadzwyczaj wzruszony i jakąś niepojętą radością i uczuciem którego nazwać nie umiem. Samo przyjęcie tej skromnej pamiątki, jaką Jej ofiarowałem wystarczało mi aż nadto i nie żądałem od Niej nic, prócz pamiętania trochę o mnie, pragnąłem tylko, aby w Jej duszy odbiła się ta myśl wypielęgnowana przezemnie: Oa mnie trochę!... W ogródku, w cieniu drzewka usiadłem na ławeczce i puściłem wodze wyobraźni. Widma przyszłości przesunęły się przed memi oczyma i utonąłem w marzeniach...

21. Sierpnia 1859 r.

Dnie płyną miło, lubo. Codziennie, wstawszy dość rano, wyruszam sam lub z Janem na przechadzkę do przyległego lasku. Tam odpocząwszy pod drzewem powracam do domu, gdzie przy wspólnym śniadaniu staram się uchwycić i wypić kilka spojrzeń mojej drogiej Marylki. Po śniadaniu chodzę do ogródka ponucić sobie trochę, albo też zostaję w pokoju na pogawędce z P. Jabłońską. Marylę wtedy widuję tylko mimochodem, gdyż takż jest zamiłowana w robótkach, że zaraz po śniadaniu idzie do swego pokoiku i tam z igiełką czas samotnie pędzi. Przy obiedzie widzimy się znowu, ale w

oko, twarz w twarz, napawam się Jej postacią poetyczną; — radbym aby obiad trwał godzin kilka... Niestety, trwa on tylko minut dwadzieścia!... Rozłączam się znowu; Ona odbiega śpiesznie do igiełki, a ja odchodzę dumać do ogrodu. Czasem idziemy wszyscy na przechadzkę, a wtedy jestem szczęśliwy, bo mogę chociaż iść obok Niej i zamienić od czasu do czasu słów kilka. A gdy powrócimy do domu idę do śpiżarni, gdzie się panny krzątają nad wieczerzą. Tam jestem trochę swobodniejszy i Marylka trochę śmielsza, szczególniej gdy wszyscy odbiegną... Czasem nawzajem coś szepniemy, czasem rączkę pocałować się zdarzy i z wspomnieniem tych chwil kilku udaję się rozmarzony na spoczynek. Oto obraz mego flamingowskiego życia, sielskiego życia które by może dla kogo innego nie miało powabu, ale dla mnie ono ważne, drogie ono dla mnie i nie zapomniałbym go na nasze życie studenckie, chociaż w gronie towarzyszów przepędzałem czas tak mile. —

22 Sierpnia 1859 r.

Byłem szczęśliwy!... Jeszcze dziś brzmiał mi w sercu dźwięki rozmowy, jaka mi wczoraj zagrała na chwilę. Wieczorem jak zwykle byliśmy w śpiżarni, powoli wszyscy powynosili

się na drugą stronę, zostawiwszy nas samych. Ale dla tego to może i Marylka chciała nadaremnie wybiegnąć. Zdobyłem się śpiesznie na odwagę i wstrzymałem Ją wpół drogi. Zarumieniła się nieco i spuściła oczy na chwilę, pytając dla czego ją zatrzymuję. Nie myślałem się jeszcze zrażać; odrzekłem więc, że pragnę też chociaż chwil kilka przepędzić przy Jej boku, popieścić się trochę... przypomniałem Jej moje oddalenie, moją samotność w Petersburgu i wyrzekłem, że po tak długiej tęsknocie nie mogę się wstrzymać, aby Jej nie uścisnąć. Słuchała mnie z nieśmiałością, z zakłopotaniem, ale bez gniewu. To mię ośmieliło jeszcze bardziej: posadziłem Ją przy sobie, przycisnąłem do piersi i pocałowałem. Broniła się słabo, co mię natchnęło nadzieją i zawróciłem więc trochę i napawałem się Jej Anielskim wzrokiem, Jej postacią powabną. A serce moje biło gwałtownie, — tym mocniej więc przyciskałem Ją do niego, pocałunkami okrywając... twarz moja dotknęła Jej włosów, byłem w odurzeniu!...

Upłynęło chwil kilka wśród takiego zachwytu — rad bym był nie widzieć końca takiej rozkoszy — rad bym Ją tak wiecznie mieć przy swojej piersi, ale z pod mego nieba uniechęta się przeciwność. Usłyszałem w sieni

kroki. Jeszcze jeden pocałunek ukradłem i odbiegłem od Niej spiesznie, a prawie w tejże chwili panna Aniela stanęła we drzwiach. Jej zwykły uśmiech był wtedy dla mnie przykrym – wyszedłem z pokoju. Ale wzruszenie niedawne nie opuściło mię wcale i w rozkosznych obrazach złociło moje senne marzenia.

24 Sierpnia 1859 r.

Upłynęło już dni 10 pobytu mego w Pamięcinie – mieliśmy się wybierać z powrotem, kiedy niespodziewanie podróż moja odwlekła się na czas dalszy. Ojciec mój oświadczył, że odjechać musi; zatrzymywano go jeszcze na dłużej, ale odmówić musiał. Państwo Zabłoccy oświadczyli wtedy, że jeżeli zgodzą się na jego odjazd, to mnie jednak nie puszczą tak prędko, tym bardziej, gdy mogłem rozporządzać czasem. Jeszcze bowiem przed wyjazdem w Kaliszu napisałem do Warszawy z prośbą o przedłużenie mi uwolnienia aż do 13. Października. W Warszawie byłem już blizko dwa miesiące, nie miałem się więc do niej po co spieszyć; rad przeto byłem, że zostanę w Pamięcinie. – Ojciec mój nic nie miał przeciwko temu i czekał tylko sposobności, aby sam mógł odjechać. Dziś właśnie zdarzyła się taka sposobność; zaraz więc po południu wsiadł na bryczkę i odjechał do Kalisza. Odprowadziliśmy

go wszyscy i pożegnali nareszcie.
Smutno mi trochę, żem z nim razem nie odjechał, gdyż obawiam się aby jeszcze nie zupełnie wyzdrowiały nie miał w drodze jakiego przypadku; ale z drugiej strony jeszcze więcej rad jestem żem się tu pozostał. Moje serce potrzebuje tego, bo nadto tęskniło przez rok cały... Marylo!... ja obok Ciebie jeszcze dni pędzić będę – o Marjo, ja jestem szczęśliwy. W tenczas, gdym ujrzał, że czas rozłączenia nadchodzi, ja się na nowo witam z Tobą, aby się cieszyć Tobą!... Kocham Ciebie Aniele, o Marjo moja, ideale mój wymarzony w duszy, wypieszczony w sercu!... Im bardziej się od Ciebie oddalam, tym bardziej obraz Twój wygłębia się w mojej duszy i miłość moja rośnie coraz bardziej z każdem nowem powitaniem i ujrzeniem Twej postaci Anielskiej. Jam w oddaleniu tak cierpiał w tęsknocie, żem na chwilę chciał zapomnieć o Tobie, a zamiast zapomnieć tylko więcej Cię pamiętać mogłem... I wspomnienie o Tobie było życiem mojem dopókim szczęśliwie nie odżył przy Twoim boku...
Ideale mój z jasnemi splotami, z jasnem okiem, z postacią nadobną – ja dziś nie pojmuję jak bez Ciebie żyć mogłem!... Żyć i umierać z Tobą, skonać w objęciach Twoich, to dziś jedyne moje życzenie – reszta to dodatek do mojego życia

to tylko małe listki na kwiatach mego szczęścia!..
O Marjo! jedno słowo brzmi na moich ustach:
Kocham Ciebie nad życie!...
A tam w dali lody uśmiechają się złowróżbnie, i śnieg blado świeci, i wichry gwiżdżą przekleństwa... To moje przeznaczenie niedalekie... Aniele, czy Ty pojmujesz, co się dzieje w mojej duszy, gdy wspomnę, że niedługo wionę wraz z wichrem na północ!... Wypić czarę rozkoszy i boleści szczęścia i smutku, a wypić ją do kropli, to przeznaczenie moje... Ale przedemną jeszcze dni kilka gwiazdą błyszczy — ja wprzód utonę w Niebie, ja wprzód uwielbię i upieszczę Ciebie, ja wprzód pocałunkami czoło Twe okryję o Kochanko moja!....

XVI.

P. dnia 7. Września 1859 r.

Kochać i cierpieć to jakieś dziwne przeznaczenie ludzi!... Wzburzone uczucia miotają moją duszą. Tam piekło założyło mieszkanie. Kocham Ją jak szaleniec i widzę, że z każdym dniem obecności Jej rozpłomienia mię coraz bardziej. Ja nie wytrzymam dłużej o Boże!... Jabym pragnął wypić Jej spojrzenia, jabym pragnął dziś skonać w Jej objęciach... A ilekroć zbliżyć się doń pragnę, ilekroć Ją uścisnąć, pocałować pragnę, obecność innych osób kajdanami me chęci krępuje!... Uchodzę jak obłąkany, jak szaleniec

jak potępieniec, nie widząc końca męce!... A Ona, wesoła jak ptaszek, przesuwa się ciągle przed niemi oczyma jak niedościgłe widmo!... Kiedyż ten żar schłodnie, co mi pali piersi?.. Ja tu nie wybędę dłużej, ja chyba odjechać muszę, bo nie mogę w żaden sposób pozostać w takiém rozdrażnieniu... Cierpię, a nikt mnie pojąć nie może i nie umie!... Ona jest wesołą, Ona się dla mnie obdarzuje życzliwą przyjacielstwą – ale ja nie chcę przyjaźni... przeklinam przyjaźń! – i cóż mi przyjaźń przynieść może?... Ha! mam kilku przyjaciół, mam, ale niechcę nie potrzebuję ich więcéj – ja od Niej pragnę więcej, bo wszystko – lub nic wcale... Miłości lub nienawiści, rozkoszy lub rozpaczy – na wieki!... Ale być w takiej męce obok Niej – to piekło!... Jam sądził z początku, że dla mnie dość będzie jednego Jéj spojrzenia, jednéj obecności, – jakim ja był nierozsądny! – jam nie przewidywał, że sam Jéj widok przepali mię do szczętu... Nie, to za mało za taką miłość!... pragnąłbym Jéj nienawidzieć i pragnąłbym w Niej wiecznie oko moje zatopić i sam niewiem czego pragnę, czego żądam...

Nie, – o nie, – ja wiem czego pragnę, ale to pragnienie to szał chyba... Serca, serca!... ale serce, to kwiat nad przepaścią – zerwać go trudno, bo droga przykra, wprzód trzeba się zakrwawić

wić boleśnie!... Boże! Boże mój wspomóż, bo ciężko mi na piersi, bo uczucie moje wygórowało i tłoczy mi duszę.—

Dnia 12 Września 1859 r.

Dzięki ci, dzięki Ci o Panie, za pociechę jakąś mi zesłał... Boże, Tyś mnie nie opuścił, Tyś nie zapomniałeś o mnie, wysłuchałeś mojej prośby! O Marjo, dziękuję Ci za to nowe szczęście, któregom uczuwał przy Tobie... Twoje serce, znów biło obok mego z jedną myślą może... Tyś mi nie dozwoliła więdnąć bez nadziei ochłody!.. Szczęśliwy, szczęśliwy jestem. Ach te oczy boskie, lazurowe!... One poglądały na mnie, ja piłem ich słodycz!... ten uśmiech niebiański dla mnie złocił Jej usteczka - tuliłem Ją w swoich objęciach - moja głowa na Jej piersi spoczywała... Szczęśliwy jestem!... Ach, gdyby nie ta wieczna przeciwność, co tak ciągle przesuwa mi się przed oczyma, co tak krzyżuje prawie wszystkie moje kroki!... Czemu mnie ona ściga, czyżem jej co złego uczynił?... Poczciwy Jasio, on jeden prawdziwie się do mnie przywiązał - On dziś moja tarcza. Ach, jakże Jej teraz było pięknie... Ona spoczywała jak Anioł, ja usta moje przycisnąłem do Jej czoła, moje tchnienie płonące owionęło Jej włosy...

czułem, czułem bicie Jej serca i oddech tak słaby, że go zaledwie rozpoznać można było... zdaje mi się, żem słyszał westchnienie, ale nie, może się mylę... czyżby Ona nie spała?... nie, to być nie może! - Pozwoliłażby się tak okrywać pocałunkami, tak pieścić z sobą?... A może... byłby to dowód niecobojętności... Ach! gdybym ja mógł czytać w Jéj sercu, gdybym choć jedną Jéj myśl był zdolny uchwycić, możebym tam i dla siebie znalazł choć kropelkę uczucia... Sam niewiem co myśleć... Alež Ona jest tak dla mnie słodką, tak uprzejmą!... ach, jakże Ona jest dobrą, nie odmówiła mi... Dziękuję Ci Aniele! - Ach, gdybym ja tu wiecznie pozostał! Ale to być nie może, nie może w żaden sposób!.. Ach, jakaż myśl szczęśliwa mi zabłysła!... ach, gdyby ją tylko urzeczywistnić można. Jechać wraz z Nią do Kalisza i prosić, aby się pozwoliła odfotografować - zabrałbym ten wyobrazek z sobą - miałbym Ją wiecznie przed oczyma!... Ale czyż Ona na to pozwoli - obawiam się... Nie, musi się udać ten zamiar, musi się udać - Ona o tem wiedzieć nie będzie. Umówię się z Jéj matką, umówimy fotografa, Ona pojedzie z matką, a wtedy... uda się!... Tak, będę Cię miał wiecznie przed oczyma, będę Cię mógł wiecznie przyciskać do serca!....

Najdroższa moja! jam w tak słodkich zatopiony marzeniach, a tu tylko jeszcze tydzień szczęścia pozostaje do odjazdu — znowu Cię rzucić muszę, opuścić na czas długi — długi, bo w oddaleniu od Ciebie, jakże te dni płyną powolnie. Ach gdybym jeszcze przed tem smutnem oddaleniem mógł raz ostatni popieścić się z Tobą, jak dawniej!...

Dnia 17 Września 1859 r.

I znowu ubiegło dni sześć, a przebiegło lotem ptaka, choć w niecierpliwości. Mówiłem już z Jej Matką o moim zamiarze, zgodziła się i mieliśmy wyjechać do Kalisza niby na przejażdżkę. Ale przez cały tydzień przeszkody stały nam na zawadzie. Dziś znowu mieliśmy się wybrać nad ranem, lecz znowu deszcz przeszkodził. Sądziłem że przeznaczenie postanowiło sprzeciwić się stanowczo mojej myśli. — Ale lepiej, że się odłożyło do jutra, Jutro opuszczam pamiątkę — odprowadzą mnie, będzie mi ich mniej przykro opuszczać — Oby tylko Bóg dał pogodę...

Żegnałem się z Nią wczoraj. Byliśmy sami w Jej maleńkim pokoiku. Chwil kilka trzymałem Ją w uściskach objęciach niemy, bezwładny — Była smutna... mój pocałunek spoczął na Jej licu.... Ona patrzyła na mnie wzrokiem tak łzawym, żem uczuł boleść przejmującą mi serce i teraz dopiero pojąłem, jak cierpieć

będę musiał w oddaleniu... Łza mi się kręciła w oku, ale usiłowałem być spokojnym; - przyciskałem Ją mocno do piersi, jakby się obawiałem natychmiast Ją utracić... Było to bolesne pożegnanie, a jednak byłem szczęśliwy, żem choć raz ostatni mógł z Nią swobodnie chwil kilka przepędzić.-

Siedzieliśmy tak chwil kilka patrząc na pochmurne niebo; w tém niebie chmurném jam upatrywał swéj przyszłości i nigdziem jaśniejszego obłoczka znaleźć nie mógł. Zaszyłem się wśród natłoku burzliwych myśli. Wkrótce nadeszła Matka i ujrzała mnie siedzącego prawie przy niej; domyśliła się że muszę być niewesołym i zaczęła mnie pocieszać. Ale któż mnie wtedy mógł pocieszyć?... Zdobywałem się na uśmiech, ale stanu duszy uśmiechem pokryć trudno; było mi ciężko na sercu i udałem się do drugiego pokoiku, aby chwil kilka pozostać samotnym. Tam kilka łez długo wstrzymywanych spadło mi na lica, każde wspomnienie szczęścia boleśnie mnie teraz raniło i same tylko chmury widziałem przed sobą. I tam weszła Matka pospieszyła za mną, aby mi jakąś ulgę przynieść - ale zamiast pociechy zapłakaliśmy tylko oboje...

Tak smutnie przeszedł mi dzień ten; dziś pędzę ostatnie chwile w ulubionym pamiętnie i sta-

ram

sam się być wesołym, aby nie zamykać towarzystwa. Ale co się dzieje w mojej duszy, to tylko Bóg wie jeden, a może i Ona mnie pojmuje... Jutro konie nas poniosą — ostatnie żegnam przeto na te osmutnione ściany!...

Kalisz dnia 19 Września 1859 r.

(Północ)

Zniknęła!... zniknęła jako senne zjawisko przeminęła mi się przed oczyma, pozostawiwszy tylko boleść memu sercu!... Dziś zakończyło się to krótkie szczęście, którego przy Jej boku używał, aby znowu przejść ciernistą drogę tęsknoty za moim Aniołem! —

Dziś rano zamówiłem bryczkę, która nas miała unieść do Kalisza. Pożegnawszy p. Jabłońskiego opuściliśmy Pamięcin. Na szczęście pogoda po tak długim deszczu zajaśniała przecie, słońce wychyliło się z po za błękitnej obsłony, zamiar mój mógł więc przyjść do skutku. — Przyjechaliśmy w południe. Zaraz po przyjeździe poszedłem z panią Jabłońską zamówić fotografa, aby już przed przyjściem Maryli wszystko było przygotowanem, a potem udałem się do Wuja. Jednocześnie P. Jabłońska poszła do zajazdu i wzięła z sobą Marylkę, mówiąc, że ma z nią załatwić pewien sprawunek. Dopiero przyszedłszy na miejsce dowiedziała się o fotografie, ale

już trudno się było cofać, gdy wszystko było zamówione. Musiała się więc zgodzić na odbicie swego wyobrażenia; radbym wiedzieć, co się działo w Jej sercu, gdy się dowiedziała, że ja go mam zabrać z sobą – może była rada temu, co się stało...

Tymczasem ja u Wuja siedziałem jak na mękach śledząc chwili ich powrotu – ciągle byłem w obawie o nieudanie się mego zamiaru; dopiero Jasio przybiegłszy mię zawołać na obejrzenie wyobrażenia rozproszył moją niepewność. Pobiegłem spiesznie do zajazdu i zastałem go przed sobą. Pani Jabłońska wyszła wraz z córkami w odwiedziny do znajomych – Jasia wyprawiłem z domu; mogłem więc swobodnie nacieszyć się wyobrażeniem tych rysów, które nieradługo miały zniknąć z moich oczu...

Potem błyskawicą przebiegło kilka godzin; pozałatwialiśmy wszystkie sprawunki – wieczór nadchodził, trzeba się więc było wybierać z powrotem. Miałem Ją opuścić!... smutna konieczność; – pragnąłem choć na chwil kilka oddalić jeszcze to rozstanie – podwiozłem ich więc jeszcze dobre pół mili. Droga ta była milcząca – siedzieliśmy smutni; tylko od czasu do czasu przypominano mi, abym już zsiadł z bryczki, bo coraz bardziej ciemniało, a ja miałem jeszcze wrócić do Vralisza. Ale ja coraz przedłużałem to odprowadzenie, dopóki ostatnia nie

wybiła chwila. Byliśmy już koło wsi Kokanina; bryczka zatrzymała się. Z jakimż bólem przychodziło to rozstanie!... Siedziałem jak martwy — nie mogłem się zdobyć na opuszczenie ich. Zaczęto mi tłomaczyć i pocieszać. — Trzeba się było wreszcie pogodzić z smutną koniecznością. — W niemem milczeniu pożegnałem się z Matką, pożegnałem pannę Anielę i uściskałem Józia, który się rozpłakał serdecznie. Nakoniec przyszła kolej i na Marylkę. Chwil kilka nie mogłem przemówić; w milczeniu tylko całowałem Jej ręce i uściskałem serdecznie. Nareszcie usta nasze spotkały się wzajem, jeszcze raz Ją uścisnąłem i rzekłszy: bądź zdrowa! zeskoczyłem z bryczki. Kazałem woźnicy jechać stępo, sam zaś stanąłem na bitej drodze, aby jeszcze patrzeć na odjeżdżających. Ćmiło mi się w oczach, słyszałem jeszcze: bądź zdrów! z oddali, aż nakoniec bryczka zapadła w cieniach wieczornego mroku, a ja pozostałem samotnym. Boleść ścisła mi serce; przez chwil kilka stałem jak pomnik niemogąc się zdobyć i na myśl jedną — dopiero łza zgorzkła spadła na policzki, przypomniała mi moje obecne położenie. Ona już była daleko; w ciemności nie rozróżnić nie mogłem — przestawszy więc jeszcze za Nią westchnienie ruszyłem z powrotem.

Jaką była moja droga, Bóg to tylko wie jeden

bo Ty znasz tajniki serc ludzkich; ale ja tego nie pomnę, bo moje serce tak było wzruszone napływem bolesnych myśli, że tylko rozpacz zrodzić mogło. –
Przybyłem nareszcie do Kalisza o godzinie 8 wieczorem. Tak byłem rozstrojony, żem pragnął powrócić do zajazdu, aby tam podumać samotnie; ale konieczność pożegnania przed jutrzejszym odjazdem Wujów i innych znajomych kazała mi błądzić po Kaliszu. Ach w jakiejż męce przepędziłem te dwie godziny!... Tam kazano mi się uśmiechać, kazano mi toczyć wesołą rozmowę – oni nie wiedzieli o smutnym stanie mego serca, nie wiedzieli oni ile mię każdy uśmiech bolał. – Powróciłem przecie do domu – znalazłem przecie chwil kilka samotnych....
O! bo ja potrzebuję samotności; samotność jest dziś dla mnie balsamem, bo tu choć łzą skrapiam moje myśli, nie potrzebuję się już z niemi ukrywać, bo nikt mi ich w oku wstrzymywać, nikt mi ich wytrącać nie będzie...
O Maryjo droga! a więc już zniknęłaś dla mnie!.. zniknęłaś tak szybko, żem zaledwie mógł spostrzedz; żem Cię stracił z oczu. A Bóg wie jedno czy Cię ujrzę jeszcze?... A może tam w dali i Twoje oko łzą smutku zroszone – może i Twoje westchnienie pobiegło na skrzydłach wiatru połączyć się z moim...

—— C! ——

Niewiem tego o Boże!.. ale wiem, że nie widzę już przed sobą tych Anielskich oczu, w których tak wzrok mój zatapiał lubiłem, nie widzę Jej obok siebie. A przecież niedawno Ona tu jeszcze chodziła, po tym pokoiku, siedziała na tém krześle, patrzyła na ten ogródek... A teraz te ściany samotne brzmią tylko wspomnieniem; w ogródku wiaterek westchnienie wydaje!... O Boże, Boże zsyłasz mi czasem róże piękne i wonniejsze, ale z mnóstwem kolców krwawiących - i całe życie moje to tylko wieniec z szczęścia i boleści... Kochać i cierpieć, to napis ognisty na widnokręgu mego życia, na ciemnym widnokręgu, na którym choć gwiazda błyśnie kiedy, wnet śpiesznie zasuwa się pod poziomy... Ale cóż wynię nieszczęśliwy?... To było przeznaczenie moje... Marylo! ja Cię widzę jeszcze, Twój wizerunek przyciskam do piersi i łzami go skrapiam, O Maryo, ja się powtórnie z Tobą żegnam; niech ta łza, co na te martwe, a jednak drogie mi rysy upada, odbije się w Twoim sercu - a będę znowu szczęśliwy, nadzieją słodząc swe losy... Żegnam cię moje miasto rodzinne i tobie jeszcze myśl ostatnią poświęcam; za godzin kilka twoje mury będą dla mnie tylko wspomnieniem. -

XVII.

Warszawa dnia 24 Września 1859 r. Noc

Otóż jestem znowu w Warszawie, a przyjechałem

na to tylko, aby czarę wypić aż do dna i ruszać na północ, na obcej ziemi złożyć pozostałe pamiątki. Niedawno jeszcze wyjeżdżałem z tąd wesoły i pełen nadziei - droga się uśmiechała przedemną; dziś tylko przykre myśli zalegają mi serce, chmury spoczęły na mym czole.
Przykro mi i tęskno, boleśnie w duszy; Warszawa wydaje mi się mumją - nic mię tu dzisiaj nie bawi i radbym jak najspieszniej ją porzucić. Na północy będę więcej samotny, ale za to więcej swobody i nikt mi smutku uśmiechem pokrywać nie każe. A tu?... pełno wesołych towarzyszów okrąża mię ciągle - a oni radziby tylko wesołości widzieć wszędzie - i wciągają mi do swego świata i muszę się bawić nieszczerze... Bolesław i Mieczysław wyjechali do Kijowskiej Wszechnicy a Stasio znowu się do Warszawskiej Kształtni zapisał; prawie wszyscy moi towarzysze z Petersburga i Moskwy wyjechali już do Wszechnic - a ja tu jeszcze pozostawać muszę, przykra konieczność!... Pieniędzy moich dotąd nie odesłano i to wstrzymuje mój wyjazd i niewiem jeszcze, czy mi się gdzie uda zaciągnąć pożyczkę. - Ha! czekać trzeba!... Może jaki szczęśliwy wypadek rozproszy ten nowy kłopot i otworzy drogę moim zamiarom. - A teraz, wieczorem choć podumam o Tobie o Kochanko droga!... Już to tydzień upływa

jakem Cię porzucił — 136 mil oddziela mię od Ciebie
Ty tam teraz spoczywasz snem Aniołów, a ja po-
wieki zmrużyć niemogę... Może Ty w tej chwi-
li wstrząsnęłaś, bo tak mi jakoś mocno uderzyło
serce... Czy też ja kiedy błądzę po Twoich sen-
nych marzeniach?... Ach, Marylko droga!
jakże-to przykro — kochać całą duszą, całem ser-
cem, miłością Anielską, pełną poświęcenia — i
marzyć o wzajemności, a nie być jej pewnym — !
Ale nie jam przecież szczęśliwy — bo Cię widzę je-
szcze; — jesteś tu, obok mnie, przy mojej piersi;
patrzę w Twoje oczy, co tak łzawo na mnie
spoglądają, i usta swoje przyciskam do ust Two-
ich. Ach, jakiż piękny ten uśmiech, co tak lek-
ko przez nie przelatuje... O czem Ty dumałaś
wtedy, gdy ten uśmiech wybiegł na Twe ustecz-
ka?... A teraz o czem marzysz?... Śpij spokoj-
nie — nie będę ci snu błogiego przerywał. Mnie
sen odbiegł z powiek, mogę tylko myśleć o Tobie
i wspominać niedawno ubiegłe chwile. Tak, te
przechadzki do lasku, ten ogródek miły, w którym
tak marzyć lubiłem, ten pokoik mały, w którym
Cię nieraz odrywałem od robótek, aby się popieścić
z Tobą, aby Cię przycisnąć do piersi — Wszystko to
znikło — to tylko wspomnienie!... Żegnam Cię
jeszcze najmilsza, żegnam raz ostatni, — rzuć mi
ostatnie spojrzenie na tę długą podróż; ono mi je-

rodzinie, uprzyjemni... Żegnam Cię, bądź zdrowa, bądź szczęśliwa; poślij za mną czasem westchnienie na północ.—

Petersburg dnia 23. Października 1859 r.

Iznów upłynął miesiąc, jak nie wziąłem pióra do ręki, gdyż byłem w tak niepewnem położeniu, że nie wiedziałem co pisać; dziś dopiero gdy stanowcza godzina przebrzmiała na zegarze moich wypadków, otwieram tę księgę moich dziejów, aby je jeszcze kilkoma słowami pomnożyć.—

W oczekiwaniu na przesyłkę pieniędzy przebyłem w Warszawie aż do 10 Października. Niestety, nie nadeszły one!... Byłem postawiony w przykrej konieczności zaciągnięcia pożyczki; ale dziś mimo nawet posiadania pieniędzy potrzebnych na drogę, nie mogłem się udać w podróż, bo do końca Października miejsca na poczcie już były pozamawiane. Towarzyszów do jazdy pocztą przekładaną znaleźć nie mogłem, musiałem więc oczekiwać jakiej szczęśliwej sposobności zabrania się z kim kolwiek jadącym do Petersburga; w przeciwnym razie musiałbym jeszcze w Warszawie przeczekać do końca miesiąca.—

Oczekiwana przezemnie sposobność zdarzyła się: pewien Morkal jadący własnym powozem ogłosił w pismach że pragnie towarzysza podróży na wspólny wydatek pocztowy. poszedłem spiesznie

umówić się z nim i oznaczywszy dzień do wyjaz-
du rzuciłem przecie z głowy ten niespodziany
kłopot.—
Ukończywszy podróżne sprawunki, pożegnawszy
dom rodzicielski, przyjaciół i znajomych, opuści-
łem Warszawę w nocy z 11 na 12 Października go-
niąc Józefa i Jasia, których w dzień odjazdu
spotkałem w Warszawie i którzy jadąc powozem
pocztowym wyprzedzili mnie o pół doby.— Przeje-
chałem tą samą drogą, którą już dwa razy prze-
mknęła mi się przed oczyma i błądziłem wspom-
nieniem po wypadkach jakie się wydarzyły od
czasu pierwszego mego wyjazdu do Wszechnicy.—
Niecierpliwie goniłem koniec drogi, pragnąc jak
najprędzej powitać to koło młodzieży, które
przed czterema miesiącami opuściłem. Towa-
rzysz mój był to człowiek wesoły i uprzejmy;
miałem więc z nim podróż dość znośną, która
by nawet mogła być przyjemną, gdyby nie smu-
tne okolice, jakie nam przejeżdżać wypadało.—
Rozłączyłem się z nim w Pskowie, pozostał on
tam mając do załatwienia niektóre sprawunki-
ja zaś wsiadłem na parojazd i ruszyłem w dal-
szą drogę.—
Droga z Pskowa do Petersburga jest kaprysem
przyrody, która widocznie chciała ten kawał po-
dróży uczynić najnieznośniejszym. Martwość i

bezbarwność do koła, krajobraz odrażający i ponury, od którego mimowolnie oko się ze wstrętem odwraca, sprawiły, żem drogę tę odbył nużąco, wśród okropnej nudy. – Nareszcie zdala zazieleniały kopuły Petersburgskiej cerkwi, czarne pomniki i posągi wystrzeliły z bladych linii domów; a wkrótce potem przez rozrzedniałe mgły pary ujrzałem szeregi parowców Petersburgskiego przystanku. – Przeciągłe gwizdnienie zawiadomiło podróżnych, że koniec drogi uśmiecha się przed nimi; parowiec zawarczał, zazgrzytał, sapnął jeszcze razy kilka i stanął nakoniec. Wysiadłem na grunt S. Piotra. Była wtedy 4 z południa 16go października. Odebrawszy rzeczy, wziąłem izwoszczyka i kazałem mu jechać na Wasilewską wyspę. Tam u gospodyni mego przeszłorocznego mieszkania zostawiłem rzeczy i pobiegłem do znajomych. W pierwszem zaraz miejscu ujrzałem Józia, Józia, i kilku innych znajomych towarzyszów; zaczęliśmy pogawędkę, opowiadania wzajemne i wśród radości z nowego zobaczenia, przeszedł ten pierwszy wieczór. Nanocowałem u towarzyszów a nazajutrz z rana wyszukałem sobie mieszkanie, do którego się zaraz przeniosłem. —

Nad brzegami Bałtyku, w samotnej izdebce siedzę zadumany... poglądam w przeszłość i obecność

cność, patrzę na zmiany jakie w tej porze wybiegły!... Tydzień to już upłynął od czasu mego przyjazdu, wstąpiłem znowu w koło towarzyszów, które się w tym roku znacznie powiększyło, gdyż nauki Prawa Polskiego przeniesiono z Wszechnicy Moskiewskiej do Petersburgskiej; ale dotąd niewidzę w tém nowem kole, takiego życia jak dawniéj. Nowo przyjezdni jakąś myślą wyosobnienia przejęci, niestarają się uwspólniać; czuję jakąś cichość w tém miejscu pełném niegdyś gwaru i szumu. Gdzieniegdzie tylko zbierają kółka, ale jakby potrzebowały się z tém ukrywać, w cichości się schodzą; — nie pojmuję dotąd pod jaką gwiazdą zaczyna się ten rok nowy. Wielu studentów zamieszkało samotnie; nawet Adaś i Seweryn, czegom się nigdy nie spodziewał — rozłączyli się. Natomiast Jasio, Józef i Aleksander zamieszkali we trójkę i wynieśli się z granic rzeczypospolitej Wasilewskiej do osady tegoż państwa po za Newą, bliżéj gmachu Opery Włoskiéj. Nie wygodnie to dla mnie, bo lubię do nich często zaglądać, a dziś bardzo są oddaleni od mojej siedziby. — Wielu Studentów opuściło Wasilewską wyspę z przyczyny drożyzny i braku mieszkań przenoszą się w inne strony, tworząc jakby nowe osady, na podobieństwo starożytnych Greków porzucili starą Helladę wybiegające

jące

jąc do małej Azyi i Italji, niezapominając je-
dnak o wspólnem ognisku. Główny bowiem
dział życia naszego spoczywa ciągle w tém miej-
scu, gdzie Wszechnica, gdzie Księgozbiór się znaj-
duje, gdzie pierwsi przybysze pierwszy krok posta-
wili, gdzie podania z pierwszych czasów osiadły.-

Pod wróżbą jednostajności zacząłem tegoroczne po-
życie w Petersburgu. Ranne godziny przepędzam
zwykle w Wszechnicy, potem wracam do domu,
gdzie pracuję do wieczora czytając dzieła, lub
ucząc się języków. Wieczorem przenoszę się do
dumania świątyni, gdzie na świętych róż bukie-
tach, składam całodzienne myśli cyprysy i wo-
dotryskiem nadziei podlewam ostatnie majowe
niezapominajki; a czasami idę na Operę, która w
tym roku niema już dla mnie takiego powabu
jak w zeszłym. Być może, że zmianę moich wrażeń
wywołała zmiana śpiewaczek.
Miejsce zmarłej Bosio zastąpiła p. Charton-Deme-
ur, której jeszcze nie słyszałem, a która, jak mówią
jest daleko od niej niższą, jak również ustępuje
drugiej śpiewaczce La Grua, która miejsce Lotti za-
stąpiła.- La Grua słynie mistrzostwem śpiewu;-
jej głos mezzo-soprano wyrobił się znakomicie;-
śpiewa śmiało, silnie a mimo to nie przeraża; od-
znacza się wdziękiem i wytwornością ruchów, mogę

nawet powiedziłć, że przewyższa obydwie prze-
szłoroczne śpiewaczki. A przecież, mimo tylu za-
let, nie czuję, do niej takiego pociągu jak do Lotti,
nie widzę w niej tego uczucia, tej majestatyczności,
tej, że się tak wyrażę, szlachetności śpiewu,
którą tamta zachwycać umiała. La Grua zdumie-
wa mnie, nie wzruszając, czaruje nie zachwycając, zaj-
muje nie pociągając i dopóty mi się podoba, do-
póki słyszę jej śpiew. Dzisiaj już powróciwszy
z Opery nie przyniosłem z sobą tych wrażeń, jakie-
mi niegdyś przejęty bywałem. –
Co do Nantier-Didier, która alto-sopranem zastę-
puje De Merick, ta wcale mi się podobała, – prze-
wyższa nawet tamtą, pod względem śmiałości i
wyrobienia głosu, ale nie wzrusza mię tyle, co
De-Merick, której głos rzewny, płaczący, że tak
powiem, tak mi przemawiał do duszy... Nako-
niec Strambila na miejsce Dottini, także wyż-
sza od tamtej pod względem wyrobienia siły,
okazuje się od niej niższą pod względem wdzięku
i sumienności śpiewu. –
Tak więc tegoroczny skład Opery Włoskiej nie od-
powiedział moim oczekiwaniom, a lubo Tam-
berlick, Calzolari, Mongini, i De Bassini toż sa-
mo, co niegdyś wywierają na mnie wrażenie, pro-
cież to nie jest w stanie zastąpić tego czarodziejskiego

oddźwięku, jakiego się od pierwszych śpiewaczek spodziewałem, a który zapewne uleciał już bezpowrotnie, od czasu, gdy czarodziejski opuściły niewdzięczną Piotra dziedzinę.-

---

Wspomnienia lutni Orfeusza przebrzmiały na chwilę; uniósł je prąd przeszłości wraz z pierwszym napływem moich myśli. Rzuciłem oko na inne wspomnień obłoki snujące się przedemną, i oko zatrzymało się na ich tle rozwianém. Patrzę na nie i szukam w nich mojej gwiazdy, a oko moje na późno się męczy - dostrzedz jej nie może; stłumione odgłosu przeszłości a cichość zalega uszy moje: i usiłowania moje nadaremne. Tylko nić uczuć z serca wyprzędzona wysnuła się w oddaloną przestrzeń i odgadła światełko, którego już oko spostrzedz nie mogło, a dusza uleciała do morza przeszłości i wydobyła westchnień zatracone dźwięki...

Mam je znowu w myśli, mam te ubiegłe szczęścia listki; rozwijam je na tle wyobraźni, aby z nich uprząść pociechę, a listki zapragnęły ujrzeć kwiat z którego opadły. Poszukałem i znalazłem i uchwyciłem do ręki kwiat w cieplarni serca hodowany i przycisnąłem go do piersi mojej - i gdy spojrzałem nań trzeźwem okiem, te mi słowa wybiegły na usta:

„Ilekroć po tych rysach mym wzrokiem popłynę

" I wypiję spojrzenie, co w Twém smętném oku,
" Osiadło jak pociecha w nadziei obłoku —
" I patrząc na Cię wtedy wspomnienia rozwinę —
" A serce me wybiegnie z zaciasnych swych sieci,
" I pochwyci z Twych ustek ten uśmiech swobodny,
" Co tak błądzi przelotnie jak woń pośród kwieci; —
" Gdy dusza ma poczuje ten wyraz łagodny,
" Co osiadł tak Anielsko w Twojej lubej twarzy:
" Zawsze mi się pociecha z łzą tęsknoty płacze,
" I z westchnieniem przeszłości kwiat nadziei łączę;
" pijąc szczęście, o jakiem nikt z ziemian nie marzy"...

Tak Aniele mój — dumam o Tobie samotny; dwustomilowy ocean przestrzeni oddziela mię dzisiaj od Ciebie — i tylko Twój wyobrażek, który przed mną ciągle spoczywa, jest moją pociechą jedyną... A patrzę nań skrycie, chroniąc go jak Westalka od tchnienia zepsutego świata i białą szatą niesplamionego serca okrywam. I dusza ma boleje, kiedy wspomnę, że na około ogniska mojej uczuć bałwani fala znikomości, zdobnej złocistemi świecidłami światowej rozkoszy — rozkoszy czczych jak pragnienie nienasycone a zgubnych jak słodka trucizna. I słowa podzięki płyną z mego serca w ukochane strony; — bo tam, w ognisku mojej myśli, gdzie Twój tron się wznosi, istnieje początek sił moich... Tyś przepaską Anielskości niezniośliwą moją duszę; Tobą silny

wypłynąłem nad falę wszystkie porywającą w swe objęcia zjadliwe — i kiedyś w dniu stanowczego zwycięstwa, stanowczej godziny mego życia, powrócę Ci już w tej samej białości w złotej urnie pamiątek z pieśni moich marzeń utkanej!...

XVIII.

Petersburg dnia 24 Grudnia 1859 r.

Znowu biorę pióro do ręki — chwila to smutna dla mnie: wszak to dziś Wigilja Świąt Bożego Narodzenia... Wszyscy mili memu sercu dzielą się opłatkiem i biesiadują przy wspólnej wieczerzy — a ja? Jam tu obcy temu słońcowi, co żyje martwo i jednostajnie jak niższe utwory przyrody, a chłodno jak zima, co białością porozwieszała na okół... Co się tam dzieje w dalekich stronach? czy imię moje nie wypadło jeszcze z lutni społecznego życia? czy ci, którym myśli moje poświęcam, pogonili za mną choć jednem westchnieniem? — Nie! nic nie słyszę z tamtąd — cicho i głucho jak na porzuconem od świata wygnaniu... Przykro mi — to milczenie mi zabija... Moje myśli drżą w bezładzie jak pozrywane struny, i pieśni nawet smutku wybrzęknąć nie mogą — a pieśń taka zapełniłaby pustki, w których błądzi pieśń moja... Ale ja piszę pamiętnik, dzieje ubiegłego żywota: wróćmy się więc w przeszłość i odbierzmy jej tropy pochwycone niespodzianie...

Przez miesiąc cały mieszkałem samotnie: były to chwile smutnych zadumań nad sobą i wędrówki po ubiegłych wspomnieniach... W moich myślach grały ciągle chwile spędzane obok kochanki i oblekały moją izdebkę jakąś ponurością więzienną. Chodziłem często na Operę, pragnąłem się rozerwać trochę — uczęszczaniem do Wszechnicy i domową pracą zapełniałem chwile i pędziłem życie nader jednostajnie. Tak przebiegł miesiąc, pragnąłem zmienić mieszkanie i niemogąc go znaleźć w tej chwili, wprowadziłem się czasowo do jednego z kolegów niejakiego Adama Sprzeczniewicza. Było to mieszkanie bardzo niewygodne: posępne, drewniane, wilgotne i pozbawione pieców, wskutek czego w pokoju, był taki sam mróz jak na dworze. Na domiar nieszczęścia Sprzeczniewicz był istotą, jaką rzadko napotkać się zdarzy: milczący, małomówny, znękany i jakby upadły na duchu, zdawał się on zupełnie nieczuć i nie myśleć; jego życie było prawie martwem — poruszał się mimowolnie i ruchy same zdawały go się męczyć niemiłosiernie — to była mumja chodząca... Nie powiem, żeby był zimny i samolub, bo i to są przymioty życia, tylko zapartego na wewnątrz; przeciwnie, gotów on był na wszystko, ale nigdy nie myślał o tem, co czynił, i błyszczał jak niedogasła lampa, niewiarzą

jutra, niepomny przeszłości, obojętnie patrzący na obecność... Wolałbym był stokroć samotność, niż takiego towarzysza, bo w samotności ogrzewałem się ciepłem własnego ogniska; tu zaś z rzewnieniny [illegible] wem martwości, zatrzymałem się w swem życiu, jak fala, gdy ją zimno owionie... W sąsiedztwie mieszkały dwie siostry, z których starsza była wdową i czekając na nowego męża wbiegła tymczasem do kółka dorywczych miłostek; była to kobieta jeszcze młoda i tak zadziwiającej czerstwości, że gdyby nie pełność dojrzałej kobiety, która w niej nawet uniosło, można by jej ująć z jakie 10 lat wieku. Wkrótce odgadłem stosunki, jakie ją z Szczecniewiczem łączyły i wytłomaczyłem sobie teraz jego martwość i bezmyślność. On przywiązał się do niej bez miary i całe swoje życie młodzieńcze poświęcił jej lekkomyślnie, zostawiając sobie... jutrznę. Ta kobieta zawładała nim do tyla, że się wyrzekł wszystkiego, aby tylko jej nie opuścić i gotów był nawet pospieszyć z nią na gody weselne. Ile mi razy wspomniał sobie ten związek śmiertelny, a spojrzał jednocześnie na ten porąg, z którym dni razem przepędzać musiałem, to krew mi się lodem ścinęła i pragnąłem jak najprędzej opuścić to gniazdo grobowe, ale już drugi tydzień mego tam pobytu ubiegał, a mieszkania jeszcze znaleźć nie mogłem. —

Tymczasem druga siostra, tak zwana Lola, kobieta

lat 23, choć już niezbyt pierwszej świeżości, bo tak-
że trochę wolne prowadząca życie. zaczęła przybie-
gać do naszego pokoiku i coraz śmielszemi zalota-
mi wabić mię do siebie. Ale jam był dla niej
lodem: rozmowy jakie z nią wiodłem, były pełne
grzeczności, ale grzeczności tylko i zalotna Lola na-
zywała mię grobem milczącym. Nigdy przecież
z jej strony nie było dotąd otwartego wyzwania.-
Pewnego dnia - było to wieczorem - czytałem Mora-
czewskiego i robiłem z niej wypiski. Sprzeczniewicz
był u swojej damy i nieprędko mógł powrócić; by-
łem więc samotny i zapaliwszy fajkę zamyśliłem
się na chwilę. Cichość była wielka i w swobodnym
polocie myśli wybiegłem gdzieś poza światy.-
Przeczytane ustępy obleciały się wokoło na przestrzeni
moich marzeń; grobowe widziadła Zamojskich i
Chodkiewiczów snuły mi się wspaniale na czele bo-
jowych hufców inflanckich i goniłem z nimi Szwe-
dów het, het, daleko, aż do lodowatych brzegów...
Była wtedy jakaś uroczystość w moich myślach: prze-
szłość jak żywy obraz wybiła mi się w źrenicy i...
słodko marzyłem wtedy! - Ale nagle otwarły się
drzwi naszej izdebki i wszedło zjawisko... Ocknął-
łem się z moich marzeń i ujrzałem Lolę.
Była ubrana w bieli. Rozpuszczona suknia bujała
na niej wolno, namiętnie; z pod małego gorsu
przewiązanego lekko różowemi wstążeczkami wra-

zywały się zalotnie dość zaokrąglone piersi. Ciemne włosy ułożone w duże pukle przewinięte modrą przepaską opadały jej na ramionie a zgrabne nóżki spowite w drobne czarne pantofelki stąpały lekko,- przesuwając... Była wtedy rzeczywiście podobną do zjawiska, a przy słabym odblasku świecy ocienionej umbrelką, zdawała się być piękniejszą niż zwykle. Otwarła więc drzwi i nieśmiało wodząc spojrzeniem rzekła:

— Dobry wieczór, a gdzież pański towarzysz?

— Na to odpowiedzieć nie umiem, ale sądzę, że pani nie miała potrzeby o to zapytywać...

— Jakto? zagadnęła.

— Gdyż mam powody mniemać, odrzekłem — że pani o tem możesz wiedzieć dokładniej ode mnie.

— Prawdziwie, odparła z uśmiechem — nie jestem zdolna pana zrozumieć; mówisz pan samemi zagadkami...

— Które jednakże dla pani są łatwe do rozwiązania...

— Niechże już i tak będzie. Zakończmy tę sprzeczkę niewartą rozmowy. Przyniosłam panu gazetę... pan lubi czytać gazety?

— Tak rzekłem — i jestem pani wdzięczny za uczynioną mi grzeczność.

— Nazwij pan lepiej łaską; prawdziwie, jest za co dziękować! —

— Za cóż więc, według pani, dziękować należy?

— Wdzięczność, rzekła filuternie — jestto uczucie, uczucia rodzą się w sercu, wdzięczność zatem jednego tylko serca jest godną. —

— Tak pani sądzi? – W takim razie państwo wdzięczności miało by nader szczupłe granice....

— Więc pan w serce nie wierzysz, zawołała żywo udając oburzenie – jak można być tak młodym niedowiarkiem! –

— Tak pani, rzekłem chłodno – jestem młodym niedowiarkiem i rad jestem z tego, bo gdybym był zanadto zaufanym, wyrzekłbym się resztę swych uczuć, jakie mi przy moim chłodzie pozostały...

— Ach, to okropne! Więc pan chcesz być starcem w młodości, więc pan przemocą każesz milczeć swemu sercu! Czyż na to mamy wolę, aby dla samego siebie być okrutnym! –

— Nie, odparłem – ja nie jestem starcem w młodości! bo starzec, to człowiek przeżyty, to ten który chciał być dzieckiem w młodości – a ja nie chcę być takiem dzieckiem, bo lękam się srogiego przebudzenia! Ja nie jestem dla siebie okrutnym i nie każę milczeć memu sercu, gdyż ono jeszcze się nie przebudziło – a może, dodałem – i nigdy się nie przebudzi, bo jakkolwiek wierzę w uczucia i niezłamane serca, ale wiem także, że serca takie spotyka się rzadko, o! bardzo rzadko i to chyba szczególnym przypadkiem...

— A, pan wierzysz w wyjątki, podchwyciła Lola – to dobrze! To mi daje powód wnioskować, żeś pan jeszcze nie stracony dla świata...

— Tak, odpowiedziałem — jako człowiek społeczeństwa, nie mogę być dla niego straconym, niechaj być tylko marną jego cząstką...

— Pan jesteś filozofem, rzekła Lola — ten chłód dzisiejszy jest obawą zawodu, ale gdyby ta niepewność znikła, gdybyś pan znalazł serce, coby twojemu oddźwiękło, i złożyła ci siebie w ofierze, czyżbyś je wtedy odrzucił?

Lola odsłoniła swoje myśli — było to już jawne wyznanie z jej strony. Aby je uczynić bezowocnem, musiałem odrzec stanowczo:

— Gdybym znalazł takie serce coby mojemu oddźwiękło, tobym go pewnie nie odrzucił, ale jestem przekonany, że takiego serca nie znajdę.

— Nigdy i nigdzie....

— Tego nie wiem. W każdym razie Petersburg nie jest zdolny obdarzyć mię takiem sercem.

— Nieprzeczę... Petersburg jest nader zepsuty, ależ są wszędzie wyjątki...

— Wszędzie może, oprócz Petersburga... ja w uczucia tutejszych kobiet nie wierzę, bo od czternastego roku życia wszystkie one należą do rzędu zatrutych motylków....

— Ach, jakiż pan nieubłagany! A cóż pan zawyrokuje o tych, co są tylko gośćmi w Petersburgu?...

— One, rzekłem sucho — już zwiane jego tchnieniem zatrutem. —

Zaczepiła się Lola. Ona bowiem była Szwedką i w ogrodzie Piotra uważała się za gościa. Ja korzystając z chwili milczenia spojrzałem na zegarek. Dochodziła jedenasta. Zaledwie miałem czas pomyśleć, żeśmy już godzinę rozmawiali, kiedy Lola, dostrzegłszy moje poruszenie, wyrzekła smutnie:

— Pan spogląda na zegarek — musi być bardzo nudne moje towarzystwo. Może panu w pracy przeszkadzam?

— Nie wcale. Towarzystwo kobiety nigdy mnie nudzić nie zwykło, a praca może poczekać! Może pani przeczytać gazetę?

— Czytałam już: niema tam nic nowego — a zresztą gazeta to pokarm dla starych nudziarzy.

— A to pięknie! zawołałem — przynosić komu gazetę i mówić, że to pokarm dla starych nudziarzy!! —

— Przepraszam, ale bo też pan taki poważny...

— Jak stary nudziarz... nieprawdaż? zagadnąłem z uśmiechem.

— Tak pan uwięzł w papierach, mówiła dalej ominąwszy moje zapytanie — że panu na resztę zajęć czasu nie zostaje...

— A jakichże mi pani przeznacza zajęcia?

— Ja nikomu ich przeznaczać nie mogę, ale skarżyć się muszę, że pan taki zimny, taki obojętny...

— Jak kamień, nieprawdaż? dokończyłem filozoficznie a jeżeli jestem kamieniem, to zostanę niepoprawnym, bo wiadomo pani, że kamienie są niezmienne...

— Alež Pan nie możesz być kamieniem! zawołała w zapałem — pan tylko jesteś... jesteś, doprawdy nie wiem jak nazwać — pan jesteś dziwakiem! —
Rozumiałem się pierwszy raz. To słowo dziwak, nie pierwszy już raz zabrzmiało w moich uszach. Wszyscy którzy mnie dostatecznie pojąć nie mogli, dawali mi przydomek dziwaka, co według mnie i zastosowania do mnie oznacza człowieka niezgodnego z jakiem powszechniejszem przekonaniem i niedbałego o zadosyć uczynienie warunkom powierzchowności.
— Tak, pan jesteś dziwakiem! powtórzyła raz jeszcze, ale to dziwactwo długo nie potrwa, bo młodzieniec w kwiecie wieku, trudno, żeby mógł być tak nieczuły, tak zimny....
— Dotwórz pani, tak lekkomyślny, tak nierozważny...
— Pan chcesz zapewne, ażebym się rozpłakała! —
— Nie rzucę, aby się pani na płacz miało zebrać. A jeśli istotnie jest pani tak skorą do płaczu, to wątpię, jeszcze, aby teraz łzy chciały posłuchać rozkazów....
— Oh! to niegodziwie tak szydzić... gdybyś pan był w mojem miejscu...
— To bym się śmiał, a nie płakał, bo płacz nadzwyczajnie miękczy serce, a serce powinno być twarde jak skała, aby skutecznie przed uczuć odbijać mogło...
— Nie, to niesposób, — rzekła jakby do siebie Lola — być takim głazem...

(!)

Spojrzała na mnie wlepiając bystre wejrzenie, i ja na nią spojrzał i wzrok nasz skrzyżował się jak dwa promienie błyskawicy. Przez krótką chwilę panowało głuche milczenie — potem nadbiegła...
Nareszcie Lola zawołała z wybuchem śmiechu:
— A, niedziw, że w pańskim mieszkaniu tak zimno, chłodem pańskim czuć przesiąkły wszystkie ściany... Ale mnie ogień pali, we mnie krew żywo przebiega, mnie duszno, mnie gorąco...
I musiała mówić prawdę, bo pobiegła śpiesznie do karafki i dwie szklanki wody wychyliła od razu, potem odwiązała wstążeczki spinające jej suknię, i niewahając się wiele usiadła mi na kolanach. —
— Ja od pana muszę lodu zaczerpnąć, zawołała spazmatycznie, a pan musisz część mojej krwi ognistej pochłonąć w swe serce! —
Zmięszałem się jednochwilowie. Pierwszy to raz kobieta rzuciła mi tak potężne wyzwanie, czułem że ogień zacznie po mnie krążyć jakimś szalonym jadem i niezdolny byłem wyrzec ani słowa... Ona musiała spostrzedz moje pomięszanie, bo objęła mię za szyję i przytuliła się do mojej piersi. Czułem jej pocałunki palące twarz moją, jak iskry Szatana, czułem łono jej piersi wznoszące się szalenie jak rozwściekłona fala, czułem jej uściski owalające mię jak

splotły grzechotnika – a jednak byłem słaby i nie miałem dość siły, aby ją odepchnąć od siebie, aby jej wyrzec stanowczo: Szatanie opuść mnie i nie rzucaj mi w piersi swego jadu! – A ona uśmiechnęła się piekielnie i zawołała z tryumfem:

– A co! panie Dziwaku! czyż ogień lodu nie zdolny przetopić? –

Jak furja zachuczał mi ten głos nad uchem, ale jam był w odurzeniu i niezdolny go byłem odeprzeć...

Lola tuliła się do mnie coraz bardziej śpiewając ten urywek z Marty:

Tyś przybyła
I zakwitła
Nowy brzask,
Nieba blask,
Dla duszy mej!

Zbierałem swe myśli pragnąc rozeznać, co się ze mną dzieje, ale ona nie dała mi myśleć i krzycząc: Ognia chcę od Ciebie! spychała mię na dno szału. I owém szałem gnani runęliśmy z naszych siedzeń gdzieś na dno przepaści. Czułem się lecąc gdzieś w otchłań bez granic – już miałem za chwilę stracić wszystkie kwiaty duszy.. gdy nagle jakieś boskie wspomnienie jak przelot Anioła, wbiegło w moje myśli i podniosło je z upadku. –

Konwulsyjnym ruchem wyrwałem się z objęć ostupiałej zalotnicy i wybiegłem jak szalony z izdebki... Jam otrzeźwiał!

A w kilka chwil potem Sprzecznicowicz powrócił ze swojej biesiady i z miejsca mego szału doszedł mię jeszcze głos Loli: dowidzenia do jutrzejszej północy! Na drugi dzień po tej scenie jam już był daleko od śmiałej zalotnicy; mieszkanie moje przeniosło się po za obręb Wasilewskiej wyspy.

Okoliczności tak się ułożyły, żem musiał zamieszkać z dawnemi memi współtowarzyszami. przemyślałem, jakby się uwolnić od zapędów Loli i trudno mi było coś stanowczo obmyślić, gdyż poszukiwane mieszkanie nie było jeszcze opróżnionem, a kilka izdebek wolnych od najęcia, nie zdawały mi się dogodnemi. W owej chwili niepewnej przybiega do mnie Jasio, donosząc, że gospodyni jej posiada mieszkanie dogodne dla czterech, i przekładając, czybym nie chciał z nimi trzema zamieszkać. Namysł nie mógł być długim. w tejże chwili sprowadziłem się do nich.

Pod smutną wróżbą zaczęło się nasze wspólne zamieszkanie. Wkrótce Józef zachorował obłożnie, i przez dwa tygodnie przeleżał na łożu boleści, zaledwie wyzdrowiał, Jan powtórzył to samo i dzisiaj jeszcze trochę słabuje, choć słabość ta

jest już więcej uromawianiem w siebie, niż rzeczywistością. Jasio jest szczególniejszym w tym względzie: posiada on tak bujną wyobraźnię, że w każdej chwili gotów zachorować i leczyć się bez potrzeby. Rad szczególnie umie zawsze coś nowego na tém polu wymyśleć, to raz zdaje mu się, że się przejadł, to drugi raz, że się przeziębił, to go kolki męczą, to gardło boli, to cierpi na nerwy, na oczy, na uszy, na nos, na żołądek – zgoła jest bardzo obfitym w wynajdywaniu słabości. Wynalazłszy słabość musi jej zapobiegać, dla tego też główne jego zatrudnienie polega na przygotowaniu leków, często nawet dość śmiesznych: to zanurza za oknem traw, to sporządza jakieś ziółka i płucze nimi gardło po dziesięć razy na dzień, to przykłada sobie jakieś plastry i wącha jakieś olejki; raz nawet, ku powszechnemu rozweseleniu, kupił dziegciu i namoczywszy w nim watę powkładał sobie w nos kulki nie nader pachnące. Przy nim zawsze znaleźć można różne maści i flaszeczki z lekarstwami; gotów się on nieraz wstrzymywać od pokarmów przez czas pewien, ale zawsze brak ten zwykł nagradzać łakociami, które, jak utrzymuje, przy swojej lekkości, nie mogą być szkodliwe dla zdrowia. Sfukał go za to Józef już niejednokrotnie, ale on tak jest cierpliwy, że przyjmuje wyrzuty z dobrém sercem, chociaż wyzdrowieć nigdy nie może. –

Przez trzy tygodnie było więc u nas smutno i posępnie; ja jeden tylko przetrwałem czas ten na zupełnem zdrowiu, ale pomimo to nie mogłem się swobodnie pracą zajmować, gdyż każda choroba domowa czyni pewną przerwę w zajęciach. – Dziś siedzimy już wszyscy przy wspólnym stoliku i mamy zacząć wspólne pożycie; ciekawy jestem, czy te cztery usposobienia zleją się w jedną dźwięcznią i uprzyjemnią nam czas, który razem przebyć mamy... Pióro moje gotowe do zapisania zdarzeń ubiegłych – przedmiotu do dziejów brak jeszcze.

XIX.

15 i następne dni Lutego 1860. r.

Przez ubiegłe dwa miesiące nazbierało się znowu dosyć wydarzeń godnych włożenia do piśmiennej skarbnicy. Zacznijmy od najważniejszych.
W połowie Grudnia zacząłem wydawać czasopismko poświęcone dla rozrywki kolegów. Ponieważ takie jawne wystąpienie piśmiennicze nie może być bez wpływu na przebieg wypadków mego życia, muszę tu więc wyjaśnić powody, jakie mię do tego skłoniły. Ale aby to uczynić wypada mi opisać nasze grono koleżeńskie, nasze życie młodzieńcze w więcej obszernym poglądzie, aniżelim to poprzednio uczynił. –
Grono studenckie, to jakby mozajka z różnobarwnych kamieni złożona: tyle tu rozmaitości, tyle

barw

barw, tyle stron życia, że nazwać by je można grą kolorów młodości. Bo i rzeczywiście – w młodzieży studenckiej gra życie melodyjnemi akkordy, ale akkordy te wtedy są tylko zupełnie dźwięczne dla ucha, gdy ich słuchamy w połączonym jednodźwięku; każdy dźwięk oderwany przedstawi nam się trochę dziwacznym, trochę odrębnym i nieskładnym. Ci ludzie, co są dopiero przed progiem dojrzałości, co są dopiero wstępem do świata, nie mogą być wzgodzie z starą cząstką społeczeństwa; wiosenność wyobrażeń wybitnia się prawie w każdym ich kroku, prawie w każdém słowie, a ze słowa żar bucha, jak iskry ognia Pallady, w pełnym ducha zapałem po ich żyłach krąży. Każda myśl rodzi się tu szybko natchniona pierwszym pobłyskiem uczucia; dlatego też myśli są żywe, ogniste, namiętne, rzekłbyś że tryskają iskrami, jeśli się w wrogim pędzie skrzyżują. Bo każda ufa sobie, każda wie, że nie powstała z rachunku, więc i wszystkim nie wierzy i wtedy chyba się nagnie, gdy ją silniejszy ogień przetrawi. Każda dysputa studencka toczy się gorąco, namiętnie; w odmęcie słów i myśli. Krzyżujących się wzajemnie trudno nieraz uchwycić wątku, tak każdy niecierpliwie z swojem zdaniem czeka i myśl gorącą wypryska.

Przyłóż ucho do ich gawędy, a poznasz różnostronne charaktery. Patrz na tego młodzieńca, co

żywemi kroki stąpa po izdebce. Twarz mu płonie, oczy iskrzą, czupryna się jeży; każde jego słowo zdaje się iść do szturmu, a myśli jego pragną stanu uprzedzić... To jest człowiek postępowy. Ale jego postępowość, to orkan burzący wszystko, co napotka na drodze; on nienawidzi wszystkiego co stare, bo stare w jego przekonaniu jest zawsze złem, jest chorobą toczącą obecność. - Niczem dlań rozum przeszłości - On w takie przesądy nie wierzy; przyszłość to jego bóstwo opiekuńcze, któremu pali kadzidło! Dajcie mi na chwilę władztwo świata, powiada - a ja wam świat cały na rajski ogród zamienię! - ale gdyby żądanie jego spełnić można, mielibyśmy zamiast rajskiego ogrodu tylko kupę gruzów. Ale on wierzy w myśl swoją bo we wszystko pozostałe stracił wiarę i czeka na jej spełnienie jak żydzi na mesjasza. -

A w tej samej izbedce jest więcej młodzieży. Z człowiekiem postępowym rozmawia jakiś głos spokojny, to głos przyjaciela przeszłości. Smutny on - pali powoli fajkę i mimowolnie spogląda na ulatujące kłęby dymku, w tym dymku szuka on chwil ubiegłych tak dawno, szuka dawnéj cnoty i dawnych pamiątek sponiewieranych ręką nowości... Zadumał się o pradziadach i łza mu zwilżyła powieki, bo zbutwiałe, nieudolne i

spruchniałe potomstwo błysło mu przed oczy. A jednak to skarlałe potomstwo bryzga błotem na białą szatę swych ojców i rzuca im niezasłużone przekleństwo. Niemaż mu być smutno, jemu prawemu synowi zagrobowych czasów, kiedy na nie zamiast kwiatu ciernie i chwasty rzucają? — O! i jemu nieraz ogień zawre w żyłach i oko iskrami tryśnie i wstanie z swego miejsca i radby się rzucić na świętokradzkiego poniewiercę przeszłości, aby go przybić do tego samego krzyża, który on światu gotuje. I jedna chyba przyjaźń koleżeństwa zdolna być dla nich rozjemcą.

A na odgłos żwawej sprzeczki nowa postać do rozmowy się miesza. —

— Złóżcie wasz oręż do pochwy, bo chwila walki minęła. Ubiegły czasy sposobne do przekształcenia świata; wtedy jeszcze było dosyć zasobów do budowy według zamierzonego planu. Ale wtedy nie umiano z nich korzystać. Ludzie złożyli ręce i zamiast młotem i kielnią zaczęli kielichem pracować... Cóż nastąpiło? — Oto przepili wszystko, co tworzyć przynieść mogło: styrali swoje siły, strawili rozum, rozwiali uczucia i położyli piętno hańby na dziejach swojego żywota! — Tak bracia, co było już dawno minęło! zostały nam tylko niedogryzione kości z dawnej ojców biesiady... Dziś już budować

trudno, bo niema z czego, czem, i dla kogo. Ci co mogli pracować zabili się dobrowolnie, a my niedołężni i słabi; nasi następcy będą słabsi jeszcze, dla kogóż więc starać się, choćby i możnaby-ło starać się? — Nie — to jest daremne marzenie: nam pozostaje tylko rozebrać niedokończone pomniki przeszłości, ułożyć stos z przewietrzałych pamiątek i ogrzać przy nim drętwiejące członki nasze! O! bo zimno na świecie... chłód fal lodowatych rozlał się po całej ziemi. Niema już tych sławnych a urojonych cnót rzymskich, tych szlachetnych, a niepodobnych do wiary poświęceń greckich, tych herkulesowych a barbarzyńskich ramion, tego hartu nieugiętego, choć w dziwactwie odwiecznem! Niema już nic! — a, bo i nie było nic; zbrodnia i kułactwo panowało i panuje i świat dzisiejszy to tylko jakaś niedokończona biesiada! Ty, co wierzysz w przyszłość, wprzód lepiej czerep roztrzaskaj na miazgi, abyś się gorzko nie rozczarował za chwilę; — ty co kochasz przeszłość, zaśmiej się nad sobą poeto; bo łudzisz się daremnie! Na świecie nie było i nie będzie nic dobrego, bo ludzie zmarnotrawili zasoby, z których by coś zbudować mogli! —

— Requiescat in pace! Zgubiony jesteś Kolego, jeżeliś tak zwątpił we wszystko... zawołał nowy uczestnik dysputy. — Patrzcie! On pod maską

niezdolności proponuje nam próżniactwo! Wyborna teorya! – Ale twoje myśli są wyrwane z pod ziemi, bo na ziemi się urodzić nie mogły... A wiesz ty, dlaczego kodeks na świecie istnieje? – Prawa są lekarstwem na bezprawia – a tam, gdzie żyją prawa, żyć muszą i prawi ludzie, co drogi dla społeczeństwa wytknęli, kiedy istnieją prawa i kiedy je sprawiedliwość wykonywa, to znaczy, że dobre panuje na świecie, to znaczy, że złe jest tylko małym wyrzutem, który zgoić można, potrzeba tylko zdolnego lekarza! A chcąc być zdolnym lekarzem trzeba z sił swoich korzystać. Nie na to nam Pan Bóg udzielił ducha, aby go powątpiewaniem obalać, ale na to aby sił przyrody użyć korzystnie i biedz do ideału który sam światu wykreślił. Ideał spoczywa w Bogu i dobiedz doń trudno, ale droga doń w naszej mocy i im bardziej na ideał zapatrywać się będziemy, tym bardziej doskonałość opromieniać nas będzie. A zasobów jest dość i sił dosyć, cała przeszłość stoi nam przed oczyma, jako jedna wielka nauka, tylko woli i pracy i młodzieńczego zapału! W nas leży zadanie świata! Jeżeli opuścimy ręce przeklnie nas potomność – czyż mamy się zatrzymywać w pół drogi! – Byłoby to wielkiem nieszczęściem, bo to złe, co dzisiaj jest kroplą, zaledwie, jutro już sobie wyrobi łożysko, a pojutrze schłonie nas! Pracujmy! młodość nam poda skrzydła!

by wzlecieć ponad zawady na drodze naszych usiłowań – tylko woli i pracy i młodzieńczego zapału!

Oto mały obrazek dysput. Na bojowem polu znaleźć można Poetę i Filozofa, postępowego i Zachowawcę, Konstytucionistę i Republikanina, Optymistę i Pesymistę, Ateistę i Katolika – zgoła różne odcienia różnych przekonań religijnych, moralnych, i społecznych, politycznych i administracyjnych. – Wszyscy pragną dobrego, ale każdy je inaczej pojmuje: ten życzy światu poprawy, a ten znów widzi w nim wszystko dobre – ten pragnie natychmiastowych usiłowań, a tamten radzi czekać na sposobną chwilę, a każdy radby swe projekta urzeczywistnić jak najrychlej i swojej teoryi zapewnić pierwszeństwo. A że każdy wierzy mocno w swoje przekonania, stąd też każdy broni ich gorąco wrazie sporu i dysputy dość żywo, przyjmując barwę.

A jak w przekonaniach tak i w powierzchowności ogromna rozmaitość. Każdy ma swoje dziwactwa będąc przedmiotem zabawy dla drugich. Wyliczać ich byłoby niepodobieństwem, wspomnieć tylko wypada, że są jakby nieodzowną struną jednéj wielkiej dźwięczni.

Cały obraz studenckiego życia najlepiej się wy-

bitnia na wieczorkach. Wieczorem zbierają się często kółka na pogawędkę i zabawę. Samowary wrą, papierosy się kurzą, serca drżą wzajemną wesołością podsycone i słychać śpiewy, śmiechy, żarty, gawędy, opowiadania, przeszłość i przyszłość – wszystko na scenie. Zapomina się wtedy o wszystkiem, co boli, bo osobistość usypia, a natomiast gra rolę jakby jedno ciało z różnorodnych atomów złożone. – Poważny zamyśleniec obok dowcipnisia i burdy nabiera zaraz większej żywości: skrytość go odstępuje i wszystkim rozwiązują się usta we wzajemnem wylaniu i serdeczności. Szczerość i otwartość panuje wtedy nad gronem serc przyjacielskich, które wesołość sprzęga ogniwami wzajemnego "Kochajmy się!"
Takiém, a mniej więcéj jednakowém życiem, żyje ogół studenckiéj młodzieży. Niepotrzeba się tu skrywać ani z myślą, ani z słowem, bo tu wszyscy żyją dla wspólnego życia, którego żadna czarna namiętność nie mąci. "Równość i Braterstwo" oto dwa godła wypisane na ich sercach. Pod tém słońcem ożywczém wykwita ich młodość w kwiaty słodyczy i nadziei i wieńcem z niezabudek umaja chwile ostatecznego rozstania. I myśl niejedna wypielęgnowana przez to grono, wzrasta cicho, a odosobniona i rozdziela się na krocie myśli, a jednak wszystkie te cząstki jednego natchnienia, je-

dnakowym zapałem gorejąc jednakowém tchnąc życiem pod pokrywą obojętności i zużycia, aż przyjdzie czas, gdy myśl dojrzała, zmieni się w czyn pod dawno oczekiwanem kształtem. Pod tym względem nikt z młodzieży nie zadaje sobie pytania, dla czego myśli tak a nie inaczej, a przecież wszyscy myślą jednakowo... Czemuż się to dzieje? — Oto bo każdy z mlekiem matki wyssał Arcy-Miłość, która go prowadziła mimo więzów krępujących mu stopy i zawiodła w grono serc tą samą oddychających nadzieją, te same pieszczących uczucia. Jedno wielkie a ogólne Braterstwo złączyło go z niemi, stawiło w jednym bojowym szeregu. Takiem, a mniej więcej jednakowém, życiem żyje ogół studenckiej młodzieży, a życie choć wyda potem plony ważniejsze, nie będzie już miało nigdy tej poetycznej sukni, w której dzisiaj buja swobodnie. Żywot akademicki posiada pewien urok, którego nic zastąpić nie może; niejeden skołatany burzami późniejszego żywota westchnął nad temi jasnemi chwilami młodości, nad któremi i z nas niejeden smutnie się kiedyś zaduma i przykro uśmiechnie, pogoni za minioną przeszłością, choć nie dopędzi na skrzydłach wspomnienia. —

Przedstawiłem pobieżnie znamiona towarzyskości

studenckiej, a przedstawiłem wówczas dość pociągającem; nie daje to jednak prawa do wniosku, że widnokrąg studencki jest bez chmury. Owszem jak wszędzie tak i tu znajdują się wyjątki zasługujące na wyłączenie z ogółu, są u nas tacy, za których by się każdy powstydził, ale nie o tych mówić będę; wspomnę, o wadach więcej powszechnych, o ujemnych stronach naszej małej społeczności.—

Z pomiędzy takich wad więcej powszechnych zasługuje na uwagę nieoszczędność. Rzadko znaleźć studenta bez długów; myśl ta do tego stopnia jest prawdziwa, że długi możnaby nazwać sukmaną studencką. Jeżeli z tym smutnym stanem zestawimy tę okoliczność, że wielu z młodzieży obywa się bez obiadów, toby nam trudno było wynaleźć przyczynę zadłużania się; rzecz to jednak wyjaśnia się dostatecznie niemiarkowaniem wydatków. Jest np: zwyczaj w petersburskich piekarniach, które są zarazem na pół-cukierniami, że po opłaceniu zadatku wydają książeczkę, na którą, potem brać można bezpłatnie przez miesiąc, a nawet i dłużéj, co się przy końcu każdego miesiąca summuje. Jest to bardzo wygodnem w Petersburgu, gdzie młodzież głównie się żywi herbatą i bułkami, a gdzie tak trudno o drobne. Ale młodzież nasza nadużywa tej wygody z własną szkodą. Ziéć

bowiem na rachunek kilka ciastek codziennie, nie uważa się to wcale za wydatek, ale za to przy końcu miesiąca okazuje się dług za wysoki w stosunku na miesięczne dochody. Wielu z młodzieży obywa się bez obiadów, ale za to więcej wydaje na rozliczne przekąski napoje i wety; dodawszy do tego wydatki na dorożki dla zaoszczędzenia nóg, na kobiety, dla "oddania, jak to mówią, długu naturze" i inne nadzwyczajne a wcale nieraz niepotrzebne potrzeby, mogące być po prostu nazwane wyrzucaniem pieniędzy, będziemy mieli dość jasną przyczynę długów. A z długów smutne następstwa. Dopóki można pożyczać się od majętniejszych kolegów, ale gdy tam kasa schudnie lub wiara się wyczerpnie, trzeba mniej konieczne rzeczy wyprzedawać lub pożyczać na wysoki procent od lichwiarza. Lichwiarz nie pożyczy bez zastawu, a pożyczka podwojona przez procent jest bardzo trudną do oddania; trzeba więc nieraz stracić zastawione rzeczy. Nie jeden ze złotej studenckiej młodzieży kurczy się zimową porą bez płaszcza, który mu był w lecie niepotrzebny; mróz daje ostrą za nieoględność naukę. Zegarki, pierścienie, algierki najczęściej przebywają w Lombardii, młodzież o nich

mało myśli, często się nawet zdarza, że lombardo-
we bileta powtórnie zastawia.
Byłoby to jeszcze nie tyle godnem wyrzutów, gdy-
by na takiej nieoszczędności nie cierpieli inni - ale
rzecz się ma przeciwnie. Wskutek przykrego stanu
dłużnika koleżeńskiego wierzyciel zapożyczać się musi
i przychodzi nieraz do równie smutnego położenia,
chociaż w porównaniu długu nie ma; wskutek tego
niezaspokojeni bufetnicy, kupcy, gospodarze i in-
ni wierzyciele obgadują studentów i wiarę w nich
tracą, tak że potem wszystkim trudno coś dostać
na rachunek, a najgorsze jest to, że wskutek smu-
tnego stanu dochodów studenckich cierpią także u-
bożsi Koledzy, których ogół wspiera, których przeto
życie zależy od stałego opłacania składek. A jak-
że tu składkę opłacić, kiedy na własne potrzeby
brakuje? - Oto skutki nieoszczędności, a skutki wy-
magające rychłej poprawy.
Drugą wadą równie powszechną jest złe używa-
nie czasu. Co do próżniactwa, jakkolwiek znaj-
dują się jego wyznawcy - trudno jednak powie-
dzieć, aby było powszechnem, ale za to nieumie-
nie pracować jest dość pospolitem. Każdy pra-
cuje więcej, lub mniej: ten obrabia swój przed-
miot, ten uczy się języków, ten znów czyta i roz-
biera dzieła, ale to wszystko mało przynosi ko-
rzyści. Przyczyną tego jest różnostronność pracy,

a różnostronność takowa najwięcej pomiędzy prawnikami spostrzegać się daje. Zamiast studjować prawo zajmują się prawnicy nasi zupełnie innym przedmiotem, piśmiennictwo, dzieje i filozofja najwięcej mają pracowników.- Chociaż to nie jest w gruncie złym, bo pomaga do różnostronnego ukształcenia, ale zabiera czas potrzebny do zajęcia się głównem przedmiotem, przedmiotem już raz obranym za przewodnika w całem życiu.-

Obwiniając przecież, trzeba tu mieć uwagę i na okoliczności mogące winę zmniejszyć. Najgłówniejszą przyczyną zajmowania się nie swoim przedmiotem jest nieznajomość obcych języków. Kształcącemu się na prawnika są koniecznie potrzebne języki: łaciński, francuski, i niemiecki; tymczasem przechodzi przygotowawcze szkoły mając zaledwie słabe z tych języków początki, a ponieważ dzieł prawnych w naszym języku wcale prawie nieposiadamy, przeto konieczną jest rzeczą uczyć się obcych języków już będąc w Wszechnicy, a to jest rzeczą nader mozolną i łatwo zniechęcającą. Z tego przychodzę do wniosku, że jedyną przyczyną małej korzyści z kilku lat przebytych w Wszechnicy, jest złe urządzenie Szkół przygotowawczych.

Trzecią a ważną wadą jest wzajemne złe uważanie

różnych Wszechnic, kraj nasz wszystkie swe nadzieje na młodzieży zasadza, a główny rdzeń młodzieży przebywa w Wszechnicach. Tymczasem każda Wszechnica ma uprzedzenie, że jest najlepszą pod względem obywatelskiego wykształcenia i że po za jej obrębem w całej Wszech-Rosyi niema innego zakładu, coby podobnem wykształceniem słynął. Jest-to bardzo szkodliwe, co okazało się jawnie przy połączeniu moskiewskiego wydziału polskiego prawa z petersburgskim. Kilkudziesięciu studentów przyjechało z Moskwy do Petersburga i zawitało do naszego grona. Ale cóż? Oto wzajemne niedowierzanie sprawiło, że przez cały rok obecny moskiewscy studenci stoją na uboczu, mało z petersburgskimi przestają, a nawet do wspólnego księgozbioru nie należą, co im nawet odejmuje po części obywatelskie prawa naszego kółka. Gdyby przynajmniej płacili składki na uboższych kolegów, byłby powód mniemać, że należą do naszego grona — ale nie czynią tego, przez co ci biedni, coby mogli żyć lepiej muszą cierpieć większy niedostatek. Taki rozdział dobrych owoców wydać nie może; owszem prowadzi tylko do obustronnego złego uważania, z czego się potem po przyjeździe do kraju, może wyrodzić zgubne zdanie o całej Wszechnicy.

Ale największego rodzaju złem jest brak samodzielności jednostek, a co za tem idzie brak sądu

powszechnego i wywiera wpływ na cały ogół.— Gdyby można przypuścić, że takowe jednostki są ludźmi wyższymi nad ogół, ludźmi po drodze doskonałości spieszącymi, to nie byłoby to jeszcze złem, byłoby tylko, co najwięcej upokorzeniem dla osobistości prowadzonych na pasku, ale zgubnych skutków niepociągnęłoby za sobą. Ale rzecz się ma przeciwnie. Przewodnicy ogółu są to zwykle istoty mierne, charakteru niezupełnie wyrobionego, którzy dla dogodzenia dumie, a raczej głupocie osobistej wzięli na się obowiązek cenzurowania ogółu, dostrzegania plam, tam zwykle, gdzie ich najmniej być może, jedynie słowem czernienia innych dla przedstawienia swojej brudnej szaty w nie tak złem świetle, w jakiem się w istocie przedstawia. Główna ich powaga spoczywa w nieświadomości nowoprzybyłych studentów, czyli tak zwanych Futurów.—

Futur pierwszy raz wpadłszy w świat zupełnie sobie obcy, niemoże z początku rozpatrzeć się w nim dokładnie, potrzebuje przeto kogoś, coby go oświecił, obznajmił, wciągnął w to koło, które mu otwiera swe objęcia. Jeżeli przewodnikiem jego będzie osoba szlachetna, ceniąca innych o tyle, o ile sama pragnie być niezależną, wtedy Futur zyska w nim przyjacielską znajomość, która go swobodnie włączy do ogółu, gdzie stanie się zupełnie

równym i niezależnym; ale jeżeli trafi na przewodnika pustego jak bańka mydlana, na istotę pragnącą skorzystać z jego niewiado-mości, aby mu siebie przedstawić za bożka, a innych jako stado potrzebujące pasterza, wtedy z pierwszego słowa zasieje w towarzystwie nieufność, nieszczerość i zimne szyderstwo. Jeżeli takich wychowańców z jedzie kilkadziesiąt, jeżeli wszyscy trafią na podobnych przewodników, jakiż wtedy może być wypadek sądu powszechnego? Oto, będzie on tylko jedną wielką plotką i obmową, jednem wielkiem szarpaniem osobistości, będzie zatem głupotą wydającą zgubne owoce. Czy to bowiem na miejscu, czy po przyjeździe do kraju raz powzięte zdanie utrzymywać się będzie i narazi na złe wyobrażenie u wszystkich mniej zbliżonych do osobistości ostawionego. Kraj, co największe nadzieje swoje na kształcącej się młodzieży buduje, jakież o niej powezmie wyobrażenie? – Oto widząc w niej wzajemną nieufność, wzajemne złe uważanie, sądzi ją za zupełnie straconą dla kraju i godną raczej pogardy, niż miłości, którą dla niej przygotował. –

Oto następstwo płochych choć dumno myślnych intryg kilku zarozumiałych istot! Nie mówiąc już o przykrości osobistej, nie mówiąc o tem smutnem dla prawego serca spostrzeżeniu, że tam

właśnie, gdzie zupełna miłość braterska i przyjacielska zgoda panować powinny, jest tylko niedowierzanie, obłuda i nieszczerość - nie mówiąc już o tém wszystkiém, owych dziśbym także zarozumialców za godnych obywatelskiego przekleństwa!

X.X.+)

Owi nieproszeni przewodnicy ogółu stanowią rzec można, wspaniały Panteon studenckiej młodzieży. Zasiada w nim arystokracja naukowa, wieniec pseudo-uczonych, stanowiących grono porządniejszych t.j. ludzi z zasadami, jak się sami nazywają. Owi ludzie uczeni, jako istoty wyższe nad ogół, są namaszczeni posłannictwem, przeznaczeni do wywarcia wpływu na ludzkość, do ucywilizowania świata idącego z zamkniętemi oczyma w manowce, które oni tylko dobrze rozpoznać potrafią i jak włoski cicerone objawiają gotowość do przewodnictwa. Dość jest kilka książek więcéj od innych przeczytać, a umieć zręcznie szermować językiem, aby zostać namaszczeńcem takiego rodzaju; dość szczypty podobnego namaszczenia, aby być zdolnym do apostolstwa. Ale na czem zależy ich apostolstwo? Oto na naciąganiu ogółu do swojego widzimisię, któremu nazwę zasad nadają.—

+) Cały prawie niniejszy rozdział jest wyjątkiem z N:4 pisemka wydanego przezemnie w roku bieżącym.—

Iść np: do teatru, jestto obrzadać swoje ludzkie postannictwo; takie odbieganie w manowce nie prowadzące do pomnożenia Rozumu jest przestępstwem przeciw naturze człowieka. Mieszkać porządnie i jeść cały obiad jest złodziejstwem grosza publicznego, bo za te pieniądze możnaby kupić kilka książek, wystudjowanie których mogłoby posłużyć do wywarcia wpływu na ogół. — Mieć kilka mundurów, czapeczkę pokojową, pantofle, szlafrok ładniejszy od szarego, siedzieć w wygodnym fotelu, zawiesić kilka obrazków na ścianie, iść czasem na bewsztyk lub zrazy do Hajdego lub gdzieindziej – zgoła, nie bardzo przestrzegać zasad Purystów, oznacza być "Konserwatystą„ +) zgubnym dla swojej i innych przyszłości. A Konserwatyzm taki prowadzi, według ich zdania, do egoizmu i zaparcia się samego siebie. Bo Konserwatyzm musi się z czasem zanadto zakochać w pieniądzach a gdy mu ich zbraknie, lub będzie za mało, posięgnie do tych, którzy płacą dobrze, ale płacą za podłość. Otóż następstwa Konserwatyzmu genialnie od urodzenia przewidziane. — Przeglądajmy dalej ich zasady. —

Mieszkanie np: poza obrębem Wasilewskiej lub Petersburgskiej wyspy, jestto występek, za który przestaje się szanować; jestto bowiem najoczywistszy dowód wyłączania się z Koleżeńskiego grona, z czego może się z czasem wyrodzić nie jedno podejrzenie. —

+) Wyraz "Konserwatysta„ ma u nas odrębne znaczenie. Oznacza on takiego człowieka, który kocha się w wygodach i konserwuje swój żołądek. —

Mieszkanie w kilku jest to banda szkodliwa dla umysłowego wybryku; prowadzi ona do unicestwienia wszelkich zasobów czasu i wiedzy. Dla tego też ludzie porządniejsi mieszkają samotnie. Bywa to jednak więcej powierzchowne, niż rzeczywiste; zwykle oni bowiem szukają takiej izbeczki i w takim zaciszu, któreby było rzeczywistem mieszkaniem w pięciu, sześciu, dziesięciu, a choćby nawet i więcej, byleby forma samotności zachowana była. Ale możnasz im to mieć za złe? Bynajmniej - przecież są to namaszczeni do wywarcia wpływu na ogół, nie dziw więc, że szukają prozelitów!! -

Jest wiele innych występków na które oko ludzi porządniejszych patrzy ze zgrozą i wstrętem, występki te jednak tylko ogół czynią karygodnym; jeśli bowiem pseudo-uczony przekroczy te prawidła, które zaszczepić pragnie, nie popełnia przez to żadnego występku, bo on jest wyższy nad prawo i cokolwiek czyni, czyni z dostatecznych choć niewiadomych nikomu powodów, czyni z zasady, jak mówią.

Uczony podobnego kroju, pojmuje swe wysokie stanowisko; dla tego też z ironicznem ust wykrzywieniem zniża się czasem do ogółu: rozmawia niezrozumiale, spogląda filozoficznie, wita się protekcjonalnie i nie chodzi w nadziedziny do kolegów ale raczy im oddawać zaszczytne wizyty mające zwykle cel budowczy lub apostolski. -

Są pomiędzy nimi tacy, którzy się starają uzmysłowić patriotyzm. Piszą oni, że tak powiem "Księgę zasad patriotycznej etykiety" niezachowywanie których nazywa się "ubliżeniem sprawie narodowej." W ich przekonaniu, co tylko nie polskie, musi być koniecznie złe. Tak np: Moskwa musi na wieki pozostać zwierzęciem bezmyślnem dla tego, że jest dzisiaj despotyczną; Ponieważ Moskwa jest despotyczną więc najmniejsze z nią zetknięcie wyrabia despotyczne pojęcia. Kto zatem bywa w moskiewskich domach niemoże być patriotą; kto rozmawia z Moskalem jest człowiekiem podejrzanem; kto chodzi do Moskiewskiego teatru jest wielbicielem moskiewskich ohydności, bo i pocóżby tam chodził? – Przecież nie dla przyjemności, bo i cóż Moskal zdolny napisać przyjemnego, lub przedstawić? Sama nazwa "Moskal" oznacza że on jest upośledzony od przyrody; przypisywać mu więcej jak niższe być by to ubliżeniem sprawie narodowej. Gdyby to było możebnem apostołowie uzmysłowionego patrjotyzmu zaliczyli by do przestępstw: jadanie moskiewskich potraw moskiewskich rybitw i mieszkanie w moskiewskim domu. Dziwi mnie, że dotąd palą papierosy z moskiewskiego tytoniu i czytają moskiewskie dzienniki, co przecie nie jest koniecznością!...

Może zbyt skorzy oceniacze ludzkiego charakteru posądzą mnie o zdradę uczuć polskich i zaliczą do rzędu podejrzanych osób... Byłoby mi wtedy bardzo boleśnie, ale bym posłał słowo przebaczenia, bo Polak choć często z drugim zgodzić się nie może, ale zawsze posiada serce Polaka skłonne do urazy i skłonne do uczuć szlachetnych. Wiem co to jest zasłużyć na miano wyrodka społeczeństwa — dlatego też wbrew rodowym uczuciom nie postępuję wcale, a jeśli wyśmiewam dziwactwa, to dowodzę tylko znajomości różnicy pomiędzy prawdą a przesądem, sprawiedliwością a uprzedzeniem. Każdy dobry Polak rozumie swój stosunek do zaborców i najeźdźców; wie on, że jest wychowanym dzieckiem tej matki, której krew i łzy błyszczą dotąd promieniami zgrozy na zbójeckim nożu odwiecznych wrogów... Wspomnienia Humania, Pragi, Oszmiany, Wrześni, Szpilbergu i tylu innych pamiątek, co nam boleścią rozdzierają serce podnoszą zemstę w naszych piersiach i zamiast złamać naszego ducha, jak mniemało srogie wychowanie barbarzyńców — spotęgowały go jeszcze na swą własną zgubę. — Wybuchnie on wkrótce wulkanem na swej własnej ziemi i wstrząśnie posadami tronu swoich

wrogów, oblekając w Czyn, to, co jest dotąd Myślą
i Słowem! Tak! duch polski jest dziś dopiero
Myślą i Słowem - to jest jego jedyne dzisiejsze
bogactwo, to dzisiejsza miłość Ojczyzny. Nie odzie-
rajmy tej myśli natchnionej, tego uczucia szla-
chetnego, które pieścimy w duszy, a które nie do
nas należy; niech święta iskra, co nam w piersiach
tleje gotuje nas na obrońców Ojczyzny, ale nie karz-
my Uczucia Rozumem Machjawela, nie dołączaj-
my śmieszności do uroczystych dźwięków pieśni na-
rodowej i bądźmy sprawiedliwi o tyle o ile szlachet-
nymi być pragniemy. - Czyż dla tego że Moskwa
jest naszym wrogiem politycznym, przestała być
cząstką ludzkości, obdarzonej duchem zdolnym
do umysłowego rozwoju? - Prawda, że dziś stoi
ona daleko, po za wielu innemi narodami, ale
nie daje to bynajmniej prawa do wniosku, że się
rozwinąć nie potrafi. Wszakże wszystkie prawie na-
rody europejskie, były kiedyś pogrążone w grubem
barbarzyństwie i ucywilizowały się prędzej dla tego,
że osiadły na ziarnach oświaty rzymskiej i że im
sprzyjały okoliczności szczęśliwe. Moskwa ani je-
dnego, ani drugiego nie miała, a pierwotną cie-
mnotę utrwalił despotyzm, nie z jej woli powsta-
ły. Wszak w obrębie naszych Bolesławów Ruś
podstawa dzisiejszej Moskwy, nie wyróżniała się
niczem od innych państw słowiańskich, w obrębie

rozdrobnienia naszego kraju; Ruś była także
rozdrobnioną, a zatem na drodze wolności i z
tego podziału możeby z czasem wykwitły poję-
cia, jakie zapełniają nasze dzieje, gdyby nie
jarzmo Mongołów, które, szczęściem dla Pol-
ski, nie zdołało nas wtedy pochwycić w swoje
piekielne objęcia. A coby się wtedy stało? —
Strach rzucać odpowiedź!... Prawda, że zrzu-
cenie tego jarzma nie byłoby niepodobném
i ciało nasze byłoby znów wolne, jak dawniej,
ale duch! duch zatarłby pewno swoje szlachetne
znamiona, przesiąkłe pojęciami i barbarzyństwem
Wschodu i byłby dziś może na tém stanowisku,
z jakiego Moskwie przyświeca! A wnioski są bar-
dzo prawdopodobne... bo kiedy trzej despoci,
jak dwaj ostatni Piastowie i cały ród Wazów
omało nie zwichnęli powołania narodowego, cze-
góżby nie dokazało przypuszczalnie długie władz-
two barbarzyńców, wylewające się coraz natar-
czywiej tak zmysłowo jak moralnie? A jeślibyś-
my przesiąkli skrzywionemi pojęciami i bar-
barzyństwem i dzisiaj nawet urodzili się takimi,
czyżbyśmy — oceniając skalą uczuć polskich — nie ro-
kowali sobie nadziei na przyszłość?... Proszę
mi na to odpowiedzieć... A jeżeli odpowiedź
będzie dla Polski korzystną, czyż odmówimy bez-
stronności dla innych?? — Bądźmy sprawiedliwymi

bo ze stanowiska sprawiedliwości oceni kiedyś ludzkość szlachetność naszą! przecież i Francja, do któréj tak wiele na współczucie, tak długo, a cierpliwie despotyzm znosiła, a jeśli prędzéj przyszła do pojęć wolności, to dla tego, że prędzéj dojźrzała.— Moskwa dojrzewa dopiero, ale jest już na téj drodze, która do odrodzenia prowadzi i kiedyś grom, grom straszniejszy od francuzkiego wulkanu, który zburzy starą Moskwę i przekształci na państwo Słowiańskie!—

A co dotyczę przeciwmoskiewskich uprzedzeń, któremi się tak odznaczają Uczeni, cóż mi powiedzieć przyjdzie? — Oto rzucę słów kilka ze stanowiska zdrowego rozsądku. Uzmysłowiony patrjotyzm, jaki się u nas rozkrzewiać pragnie, jest prosto powiedziawszy, gadaniną, bez myśli i celu. Nienawiść polityczna nie powinna się przeobrażać w nienawiść społeczną, bo przez to samo traci swój harakter uroczysty i ubliża szlachetności naszéj. Jest to sprawiedliwa zasada, że "Kto się upędza za drobnostkami, traci z uwagi cel główny". Gdybyśmy patrjotyzm nasz na uprzedzeniach do moskiewskiego społeczeństwa, do moskiewskich wyrobów i t. p. zasadzać mieli — zwichnęli byśmy on wtedy swoje powołanie dziejowe i zajęlibyśmy miejsce obok Czechów, nienawidzących pozoru, powierzchowności, a potrzebę obojętnie na wrogi i chytre

dożności, coby zgangrenowały nam ducha! Nie ta-
kie to powołanie Miłości Ojczyzny! Miłość Oj-
czyzny to gwiazda wspaniała, która uciśnione-
mu plemieniu przyświeca i rozlewa nań swoje
dobroczynne promienie, ale wtedy tylko, kiedy się
wysoko wzniesie nad poziom! Strąćmy ją na pa-
dół, rozumiejmy na poziome pojęcia, a królowa świa-
tła poblednie, ściemnieje i wyda nam się tylko
błyskiem znikomym. Bo chcąc korzystać z świętego
natchnienia, trzeba je umieć szanować!
Rozpisałem się tu może trochę za rozwlekle, ale pi-
sałem pod wpływem wrażeń, jakie na mnie spra-
wiają niektóre pojęcia ludzi z tak zwanemi "za-
sadami". A przecież to jeszcze nie wszystko!...
Coby to tu jeszcze dało się wyliczyć dziwactw róż-
nego rodzaju, któremi się odznaczają pseudo-
Uczeni, owi przyśli apostołowie tak zwanej "Praw-
dy i Zasady" w tém poziomem społeczeństwie,
z którego się dziś śmieją dopiero!... Kiedy dziś
różności zdania w potocznej rozmowie może naro-
zić na ich niełaskę i nieszacunek, a niepostępowa-
nie wedle ich widzimisię na obmowy i plotki, co
to będzie później, gdy się nabrologiwa dopiero!..
A co się to żółci na świat wyleje, jeżeli ich przy-
szły wpływ na społeczność przemieni się na przy-
kry zawód, albo przykrzejsze jeszcze odrzucenie!-
Ultra-Rozum za którym gonią jest ogniskiem

błędnym i niepewnym, jest pojęciem samolubnem, bo gotowem wszystko dla siebie poświęcić! Robią oni dzisiaj próbki przyszłego nowego żywota. Udoskonalenie mechanizmu rozumowej praktyki, to ich prozaiczny ideał, od którego odstąpić niemogą. Uczucie, to sfinx, którego odgadywać niechcą, bo może byłby przeciwny ich pojęciom; starość w młodości, to zenit do którego pędzą, a Natchnienie to mrzonka, której ich umysł za praktyczny pojąć niemoże! Jedna tylko przyświecała filozoficzna zasada: „Precz z głupiem uczuciem, niech żyje rozumny Rozum!" – zimna jak grób, nieczuła jak starzec, zastygła jako krew trupa – jest światłem w którem namiętnie wzrok topią, od którego nie odwrócą oczu, choćby nawet oślepnąć przyszło i sprzedać wszystko gorące z swych piersi! –

Takie zasady mogłyby istnieć nieszkodliwie, gdyby nie wychodziły po za obręb tego wspaniałego gmachu, który się nazywa – Istotą Uczonego; ale tak nie jest; Ludzie "porządniejsi" pragną wywierać wpływ na nie "porządniejszych" pragną rozkrzewiać swoje myśli i to jeszcze z gwałtownością, która się daje usprawiedliwić tylko tą zasadą, na jakiej np: "Anglicy mogą mieć prawo ogniem i mieczem wytępiać barbarzyńców zaeuropejskich, aby potem na zgliszczach, w pustyni, zasiewać ziarna cywilizacyi" – zdanie

X

które tu kiedyś jeden z Uczonych objawił. A jeżeli w chwilach dysputy zaprzeczy kto ich przekonaniom, rzadko stawiają dowody na poparcie słów swoich, ograniczając się wykrzyknikami, na kształt tych słów Pawła III: albož ziemia może się w okół słońca wbrew woli Pisma Świętego? – któremi Szanowny papież chciał obalić system Kopernika. —

Takimi uczonymi przewódzcami ogółu byli obecnie dwaj moi dawni towarzysze szkólni: Seweryn Pyjzniewicz i Adam Trębicki, których charaktery malowałem niedawno, a których niespodziewałem się przedstawić z tak bardzo złej strony. Dla obydwóch miałem przyjaźń i pragnąłem w nich znaleźć przyjaciół; przykro mi było z tego powodu, ale jeszcze bardziej bolałem nad tem, żem się na nich zawiódł. – Jakem wspomniał wyżej byli to młodzieńcy pracowici, posiadali wiele wiadomości i mogliby u każdego zasłużyć sobie na szacunek, gdyby nie płocha chęć kierowania ogółem, otrzymana w spadku po innym przewódzcy, który w roku zeszłym trząsł sądem powszechnym, i opuścił nasze grono ukończywszy kursa. – Różnica pomiędzy Adamem i Sewerynem, na tej drodze, którą sobie wytknęli, zależała głównie na tem, że pierwszy był trochę większy polityk, umiał się zachować więcej dwuznacznie, gdy ostatni gwałtowny,

porywczy, niehamujący się: wybuchał wcale niewzględ-
nie, jakby jaki dyktator, przez co doznał wiele nie-
przyjemności i zrobił sobie nieprzyjaciół. - Ale i on
też umiał być słodkim w obejściu. Przy spotka-
niu ze mną, z Olesiem, Jasiem, i innymi pod-
chodził zawsze śpiesznie dla podania ręki, wy-
rzucając cukrowe: "jak się masz Słowiczku" jak
się masz Radoszczku? czy się też to tak godzi za-
pominać o przyjaciołach! słyszałem mój Grocie,
że bardzo pracujesz? - i inne również słodkie po-
witania. Ale jeśli, za oczy przyszło o nas mówić,
wyrażał się bezwzględnie, że Jasio to osioł, że Pa-
pa to głupiec bawiący się drobiazgami, że ja to
dziwak zgubiony moralnie, że ten nie wart aby
go nogą potrącić, a tamten doczeka się kiedyś po-
liczka od niego i t. d. O Józefie wyrażał się, że
jest podobny do muła objuczonego pracą, a niewie-
dzącego co niesie, co było fałszem i potwarzą, bo
tak przykładnych pracowników jak on było pomię-
dzy nami niewielu; nikt zgoła nie miał u niego
dobrego zdania; każdemu umiał przypiąć łatkę,
co dla nowoprzybyłych, nieznających jeszcze swoich
kolegów było pewnikiem zastępującym sąd własny.
A z Futurami umiał Seweryn trafić do ładu. Za-
raz z początku roku zamieszkał on w takiem miej-
scu, gdzie się kilkudziesięciu schodziło stołować. -
Po obiadku, rozumie się, spieszono do niego na

papierosa lub fajeczkę, przy których bardzo łatwo idzie pogawędka, a w pogawędce występują zwykle znajome osoby na scenę; miał więc Seweryn pole do przeprowadzenia swego wpływu. Adaś jak powiedziałem, był trochę oględniejszym; lubił on ploteczki i rozgłos tyle, ile tamten, ale jego było trudniej złowić na wzynadzie; grzecznością zaś i uprzejmością umiał jeszcze więcej niż Seweryn pociągać do siebie. To tylko spostrzegać się dawało, że Adaś wszędzie jest, wszystkiem się zajmuje, wszystko go obchodzi, że nowinki zbiera i z szybkością błyskawicy rozpowszechnia je, że w wesołej barwie opowiada anegdotki, co dla krótkowidzów było zabawnem przepędzeniem czasu, a dla tych co szyderstwo pod jego uśmiechem widzieli, było zręcznym krokiem do wyniszczania osobistości swoich towarzyszów. — Ludzi podobnego kroju, jak ci dwoj było więcej, ale ich malować nie będę, raz dla tego, że byłoby to nad zakres moich pamiętników, w których przedstawiam osoby bliżej mnie dotyczące, a powtóre, że nie byli oni tak silnymi w ogóle jak Adaś i Seweryn, bo i haraktery ich posiadali tylko w części to, czem jaśnieli Naczelnicy. —

XXI.

Wśród takiego chorobliwego stanu naszego towarzystwa powziąłem śmiałem, choć niebezpieczną myśl wydawnictwa pisemka, którego cel jawnym

było przyniesienie rozrywki kolegom, a ukrytym i trudnym do urzeczywistnienia było podnieść rząd powszechny do samodzielności, a tém samem obalić przewodztwo jednostek. Spodziewałem się bowiem znaleźć sobie jakąś drogę do wystawienia w prawdziwem świetle fałszywego stanu naszego ogółu i miałem nadzieję pobudzić go do zastanowienia się nad sobą. Gdyby mi się udało zdobyć u ogółu choć chwilę takiego zastanowienia, wszyscy byliby ostrożniejsi w pogawędkach z dawnymi przewodzcami, odstręczyliby się od nich powoli i tym sposobem wpływ ich upadłby sam przez się i ustaliłby się rząd powszechny na samodzielności jednostek oparty. Ale nim przyjdę do tego, muszę poprzednio nadmienić, jak pojmowałem wtedy cel studenckiego Dziennika, i jakie wtedy w naszém gronie wychodziły pisma. — Gdyby Towarzystwo nasze było dobrze złożonem, gdyby jeden Anioł zgody łączył wszystkie braterskie serca jedną wspólną miłością i ufnością, gdyby jeden rozsądek połączony z uznaniem potrzeby korzyści, zapanował nad całem naszém gronem, wtedy, też wtedy tylko, możnaby było wydawać pismo mogące przynieść korzyść ogółowi. —

W takiem bowiem wydawnictwie przyszliby udział wszyscy zdolniejsi i gładszém władający piórem, coby usunęło zawiść pobratnią — a treść dziennika mogłaby sobie obrać za przedmiot: krytykę dzieł polskich tak nizko u nas stojącą, a tak potrzebną czytelnikom; poglądy dziejowe i filozoficzne, rozbiór współczesnéj polityki świata, opracowywanie sprawy polskiéj a nakoniec część pięknopiśmienną. Im więcéj piór współzawodniczyłoby w jednym przedmiocie, tym bardziéj zyskałby on na czystości i naukowym rozsądku, pociągając do siebie czytelników i przynosząc im korzyść. Dzienniki bowiem wtedy tylko korzyść przynoszą, gdy posiadają powagę i zaufanie w naukowości współpracowników. Jeżeli tego nie posiada, będzie zawsze tylko chwilową rozrywką, bez względu na treść na pracę i chęci utworców.

Ale grono nasze jest właśnie w tém położeniu, w którem dziennik powagi mieć nie może. — Wszyscy bowiem zdolniejsi i ukształceńsi żyją w otwartej lub ukrytej nieprzyjaźni, obmawiają się wzajem i czyhają na okoliczności,

aby się tylko z drugiego naszydzić i uśmiać w kąciku. Zgoda pomiędzy nimi byłaby bardzo trudną, a bez zgody w ważnościach trudno cośkolwiek zbudować. Trzeba prócz tego zwrócić uwagę i na to, że młodzież niechętnie słucha cudzego zdania; słowa osób poważnych, którym wiek i stósunek przyrodzony daje nieraz prawo do udzielania rad i przestróg, niewywierają na nią wpływu; tém mniej zatem mogą mieć dla niej wagi nauki ludzi również młodych, również niedoświadczonych jak ona. Jeżeli się niemi nie obrazi to je przynajmniej wyśmieje. Z tego powodu muszę powziąć przekonanie, że dziennik poważny w naszém gronie żadną miarą istnieć niemógł, nie może; że zatem jeżeli zjawi się jakie pisemko, to musi ono zaprzestać się łudzić nadzieją przyniesienia jakiej korzyści i nie mając żadnego wytkniętego celu, może być chwilową rozrywką, ziarnem na jałowym gruncie, którego płód chyba przypadkiem i nieznacznie zabłądzić może do umysłu czytelnika.—

Nie takie przecież miały przekonanie wychodzące obecnie u nas dzienniki. Wydawane przez kółko „uprzedzonych," obrały sobie one kierunek apostolski, chcąc koniecznie ogół do swojego widzimisię nakłonić. W chwili po-

pojawienia się mojego dzienniczka wychodziły w Księgozbiorze dwa pisemka, które aczkolwiek różniły się trochę treścią, zbliżały się jednak celem, czyli, jak go zwały - posłannictwem. -
Jedno z nich pod nazwą: „Kurjerek" miało powołanie krytyczne, a raczej sarkastyczne, które zależało na cenzurowaniu ogółu i nakłanianiu go do poprawy wedle własnej fantazyi. Jakiż nierozsądek! „Kurjerek" sądził, że na głos jego, ci, w których upatrywał wady, zamienią się na pokutującą Niniwę! Ale „Kurjerek" zapomniał, że przemawia do młodzieży, nie dziw więc, że usiłowania jego były głosem wołającego na puszczy. Srogie rozczarowanie, jeżeli rzeczywiście Wydawca miał ten cel, jaki w ustępach swoich przejawiał. Sądzę ja jednak że P. Jan Prawdzicki +) pojmował tak samo jak ja stanowisko dziennika w naszem towarzystwie, sądzę, że cel jego, zasadzał się również na przyniesieniu tylko rozrywki kolegom i jeżeli przypuszczenia moje nie są mylne, to myśl wydawcy spełniła się. "Kurjerek" dowcipnym humorystycznym stylem zjednał ku sobie żywy pociąg, pociąg do tego stopnia, że wtedy nawet, kiedy granic osobistości dotknął jeszcze był dalekim od upadku. -

Daleko niższem było drugie pismo: "Skowronek„ złożone z niby-poezyi, niby-korrespondencyi treści niby-patryotycznej. Przyrostek "niby„ który tu dodaję, nie jest bez znaczenia; bo też pismo to przy szumnym celu zachęcania do patryotyzmu ustępało sobie tak dziwiejnie, tak licho, tak niewypracowanie, że czas dwutygodniowy, który mu na przygotowaniach do wyjścia w świat upływał, może być nazwany próżniactwem. — W każdym prawie Numerze na wstępie "Skowronek„ donosił swoim czytelnikom, że buja ponad rodzinnemi błoniami i przyśpiewuje pracującym rolnikom, ciesząc się z ich skrzętności i radując przyszłem plonem. Było to dosyć sielskie, ale zaciekawić, a tymbardziej zachwycić nie mogło. Dalej następowała krytyka koleżeńskiego grona, naśladownictwo „Kurjerka„ ale tylko naśladownictwo, bo pozbawiona humorystyki, nie miała tej pociągającej barwy, co w „Kurjerku„. Bywały czasem w "Skowronku„ ustępy więcej zasługujące na uwagę, była raz rozbierana sprawa polska — szkoda tylko, że „Skowronek„ nie lubił wiele pracować, zwyczajnie jak ptak przelatywał z gałązki na gałązkę, pośpiewując patryotyczne piosenki lekko, powierzchownie, bez taktu i głębszego zastanowienia, krótko, przelotnie, jakby go nawet sen morzył.

Te dwa więc pisemka błądziły już przed oczyma

czytelników, kiedy nagle, niespodzianie pojawi-
ło się trzecie pod nazwą "Natchnienie" którego ob-
jąłem wydawnictwo. Mając początkowo cel bardzo
ograniczony, bo przyniesienie rozrywki Kolegom z
uzbieranych dotąd piśmienniczych szpargałów, po-
dzieliłem na dwie części mój dziennik i część piękno-
piśmienną mieszczącą w sobie różnego rodzaju pró-
by poetyczne i część poważniejszą, która miała w
sobie zawierać rozbiór różnych pytań żywotnych,
politycznych, społecznych i moralnych, a które dla
braku czasu i z przyczyny niespodzianych okoliczności,
ograniczyła się na poglądach dziejowych, miałem
zamiar dobiedz od najdawniejszych do obecnych
czasów; nie przewidziałem jednak z początku, że
zakres takowego rozbioru dziejów będzie się sto-
pniowo powiększał i niedozwoli zająć się innym
przedmiotem. - Bądź co bądź, raz zaczęty przedmiot
opracowywałem bezustannie i mam nadzieję wytrwać
do końca. —

Co do poezyi, trudno mi je gatunkować: nie położy-
łem sobie na wstępie zadania, aby w dzienniku
moim umieszczać same patrjotyczne pieśni, my-
śli bowiem apostolstwa nie miałem z wyłożo-
nych na wstępie powodów. Poezje patrjotyczne,
romantyczne, szarady, dumy, piosnki, słowem róż-
nego rodzaju utwory pomieszczałem razem, w
tej myśli, że przy niewinnej rozrywce prędzej coś

wbiegnie do serca czytelnika i spocznie w narodo-
wej skarbnicy. –
Wyszedł pierwszy Numer. Skreśliłem go drżącą ręką; wystąpowałem bowiem po raz pierwszy jawnie z memi uczuciami, z myślami memi, z wszystkiem co dotąd cicho pielęgnowałem, obawiając się zwarzenia pierwszych kwiatów duszy, jakim zimnym uśmiechem i szyderstwem. To samo i wtedy przebiegło mi po myśli, chciałem zniszczyć już przygotowane pismo, ale wstyd mię było przyjaciół, którym już poprzednio o moim zamiarze wspominałem, wstyd mię było narazić się u nich na pomowę o niewytrwałość i słabość. Postanowiłem się zatem przejść wahający Rubikon. – Z początku mniemałem, że się ukryć zdołam pod obcem nazwiskiem, ale myśl ta odbiegła mię żywo, raz dla tego, że pisałem własnoręcznie, a pismo moje było dość znanem, a powtóre, że już poprzednio w przyjacielskiem gronie przeglądano niektóre z moich prób poetycznych. Przyszedłem więc ostatecznie do wniosku, że się z wydawnictwem ukryć nie zdołam; chciałem sobie przynajmniej oszczędzić pierwszego wzruszenia. Wyprawiłem więc Józefa z dziennikiem. –
Poszliśmy na Wasilewską wyspę, tam bowiem nasz Księgozbiór studencki obrał siedlisko, a w księgozbiorze, jak już wyżej wspominałem, wychodziły wszystkie pisemka i ogłoszenia dotyczące ogółu. Towarzyszy

Księgozbiorem przyjmował i miał nad niemi opiekę, będąc zarazem odpowiedzialny za ich całość. Ja zostałem na dworze i błądziłem rozstrojony po ulicach, a tymczasem Józio wszedł do Księgozbioru. Był to dzień, w którym zmieniano dzieła, a zatem dzień otwarty dla gości. Ponieważ było jeszcze dość wcześnie, Księgozbiór więc nie był dość gwarny – gospodarz tylko z kilku przyjaciółmi siedział przy stoliku i czytał gazetę.

– Jak się masz Bojomirze?

– Jak się masz Grociu – cóż mi tam odnosisz?

— Chodź na stronę. Na pisarskim widnokręgu pojawiło się nowe pismo, przypomniałem, abym ci je przyniósł. Masz dziennik i ogłoszenie.

— Chwała Bogu! chwała Bogu, rzekł zawiadowca Księgozbioru – piśmiennictwo nam kwitnie, przybywa rąk do pracy. Dziękuję Ci, dziękuję.

Obstąpili go wszyscy "Natchnienie! Natchnienie!" co za poetyczną nazwę wybrał! – Bojomirze! kto to wydaje? są tam poezje? – sypnęły się zapytania. Przybiegł jeden, rozwinął i uśmiechnął się. –

– A, a "Napoleon w Moskwie" znam ten utwór – to Multański wydawca, i pismo jego... Sądzić, że go niepoznamy, bo wziął jakieś dziwne nazwisko.... "Wielopolski" z kąd mu do głowy

przyszło nazwać się Wielkopolskim? - musiał się chyba rodzić w Wielkopolsce. -
— A tak, rodził się w Kaliszu, rzekł Grot.
— Czytajmy! czytajmy - kto będzie czytał - ty Jasiu, nie, Wodyński czyta nieźle - spiesz się leniuchu, wszak to nowość. Grocie, wszak to ty przyniosłeś..
Jedni rzucili się do czytania, inni obstąpili Józefa wypytując go, w jakiej treści, w jakim czasie, w jakim zakresie pismo to będzie nadal wychodzić, a tymczasem księgozbiór zaczął się napełniać, bo godzina otwarcia minęła. - Autem wszedł Szymaniewicz. - Owinięty w szal, z buńczuczną miną stanął w kole towarzyszów i rzekł:
— Co to tam macie? coś widzę nowego? dajcie mi...
— Dziennik! dziennik! Natchnienie! czytaj! zawołano zewsząd.
Seweryn zasiadł przy stole, owinął się lepiej w szal, odchrząknął i wziął zeszyt do ręki. Obstąpiono go do koła, bo wielu nowych gości weszło w tej chwili - On zaś spojrzał, uśmiechnął się i wykrzywił szyderczo:
— A, Multański! - i on też, Pegaz! Pegaz - szobaczny, co on też stworzył...
— Poezje czytaj! - powtórzono z różnych stron.
— Dobrze, czytajmy poezje - a naprzód przejrzyjmy co jest... Wstęp - jakieś wiersze... potem część

poważna: „Pogląd na dzieje świata i dzisiejszą politykę Europy" Dobrze, pan Multański po-e-ta i Dzie-jo-pis... Dalej — „Napoleon w Moskwie" coś fantastycznego — Do Lotti, Do Kobiety... wrażenie — patrzcie, naprzód — wrażenie... Oho! co u diabła, miałżeby się zakochać! — Kilka sonetów, szarada... Oto wszystko... A teraz czytajmy na dobre. —

Podano mu papierosa — zapalił go, znowu odetchnął i przeczytał wstęp.

— Wiersz gładki, żywy, ale pusty — za bardzo płaczliwy... potem przewrócił parę kartek i przeczytał wierszyk „Do Lotti".

— To coś romantycznego, i powtórzył z przyciskiem:

A gdy zabrzmi wesoło, czarnem okiem błyśnie,
Gdy jej uśmiech uroczy na ustach zawiśnie,
W tenczas niemy, bezwładny, błądzę w swej stronie,
Gdzie Orfej z złotą harfą zasiada na tronie...

— Jakie to czułe! wycedził szydersko — panowie! nieprawdaż? On się chyba musiał w Lotti zakochać! Memento mori! biedni ci poeci!! — No! nie będę więcej czytał poezyi... Nawet Szarada jest — odgadujcie ją sobie — ja przeczytam część poważniejszą.

I zaczął czytać pogląd na starożytne dzieje... przeczytał go do końca, potem złożył dziennik i wyrzekł krytycznie:

— Styl dość łatwy i pismo czytelne... sto dwie

zalety — to szkoda że wewnątrz pustki... żadnego celu, dążności... zwyczajnie jak Pegaz — buja po obłokach. — Na to hasło wystąpiło kilku Uczonych i podnieśli krzyki oburzenia:
— A co on sobie myśli! będzie nas tu parnasem karmił! pustaki! dziwaki! nie ma żadnego celu, żadnej dążności! — Nie takiej nam dziennikowi potrzeba! A unię go korzyść, wpłynąć na ogół, to gdzieś w szufladzie... Natchnienie! Natchnienie! romansopis! Te natchnione istoty zapominają o ziemi...
Tak więc wtórując Naczelnikowi zaczęto powstawać na wydawcę „Natchnienia„ było jednak więcej stronników nowości.
— Nie krzyczcie! dobre — wyrobi się i takie pismo się przyda — ten wierszyk mi się podoba, a mnie tamten..
A co mówisz o poglądzie? — Za bardzo upoetyzował Grecję, a Rzym trochę za czarno przedstawił...
— A nie mów tego, bo też Rzym w owym czasie dość czarno musiał wyglądać... A o mitologii nie wspomniał! — A prawda, nic nie napisał — to trochę za pobieżne... Czekajcie, może będzie w drugim numerze...
Tak, powoli krytyka cenzorska ucichła. Pyszniewicz po zwiedzeniu księgozbioru wyniósł się i od uwag o dzienniku zaczęto przechodzić w różne gawędy. —
Józef widząc, że posiedzenie krytyczne skończyło się, opuścił księgozbiór i podążył się zemną. —

— No, spełniłem poselstwo. Twój dziennik czytali, krytykowali, czytają i krytykują. Był Pyszniewicz, był ten, ów... i zaczął mi opowiadać całą scenę.
— No, chwała Bogu! odrzekłem — przebyło się pierwszy krok. Teraz pozostaje mi tylko dobrze wyostrzyć pióro, bo lada chwila czekać krytyki piśmiennej, a w takim razie wypada się odciąć.
— Ciekawym co Cenzor napisze.
Cenzorem nazywano Pyszniewicza, co bardzo przystawało do jego charakteru.
Od cenzora przeszła gawęda różnorodne koleje, a tymczasem wróciliśmy do domu. —

X.XII.

Mieszkaliśmy wtedy, jakem już wspomniał, we czterech, po za granicami Wasilewskiej wyspy, w stronie więcej do środka miasta zbliżonej. Mieszkanie nasze było dość wykwintne, jak na siedzibę studencką, składało się bowiem z dwóch obszernych pokoi, w których umieściliśmy się po dwóch: ja z Jasiem w jednym, Józef z Olesiem w drugim; każdy miał swój oddzielny kącik do pracy dziennej, w której, jak zawsze, Józef głównie się odznaczał. Jego stolik był zawsze zapełniony różnemi pracami; siedział bo też przy nim prawie ciągle, odrywając się chyba dla zapalenia fajki lub zjedzenia obiadu.
Życie nasze było dosyć wesołe. Józef wstawał

najwcześniej i budził wszystkich bezpośrednio lub pośrednio; nie miał on bowiem żadnego wyrozumienia na śpiących... – A coto, mówił – leżą jak barany! czyż to wam nie wstyd wylegać się tak długo!! – I włożywszy swoje Kurowski (tak się nazywały jego historyczne buty, dość dziwacznie uchodzone) stąpał w nich po pokoju chałaśliwie, jak żołnierz na mustrze przewracając stołki, popychając stoły, trzaskając drzwiami, zgoła nieumyślnie (bo czynił to niewiedząc o tem) budząc nas. Ja i Kapistran nietylesmy słyszeli jego hałasy, ale Słowiński śpiący w tym samym, co on pokoju, miał zawsze samo utrapienie i złościł się niepomału; lubił bowiem długo sypiać a nie mógł postąpić wedle życzenia, często więc jeszcze na pół zaspany mówił do Grota, naśladując jego sposób fukania:

– Mógłbyś się też mój Grocie uciszyć! Że też u milion diabłów, zawsze mi musisz na złość robić!!

Na co mu z kolei Józef odfukiwał.

Nieraz, kiedy był w dobrym humorze, ściągał Józef wszystkich z pościeli wyrzucając poduszki i kołdry i fukając na nasze ospalstwo, co było powodem do różnych scen arcy-zabawnych. –

Tak powoli sprowadzał nas do wspólnego stołu,

na którym stał już wrzący samowar. Po wypiciu
herbaty każdy zabierał się do swoich zatrudnień lub
szedł do Wszechnicy.
Obiad jadaliśmy o trzeciej, a że to była pora zimo-
wa, zmierzch już wtedy coraz się bardziej rozpoście-
rał i czas poobiedni był dla nas zwykle wypoczyn-
kiem. Wtedy rozpoczynały się śpiewy. Opera po-
wtarzała się w różnych odcieniach, wtórując ka-
trynkom roznoszącym ją po ulicy; albo li też pły-
nęła pogawędka, do której przedmiotu nigdy nie
zbrakło. Szczególniej Aleksander, człowiek zawsze
bogaty w różne przygody, które umiał poetyzować
i ubarwiać, miał zawsze coś do opowiedzenia,
używając do pomocy swoim słowom, różnego ro-
dzaju ruchy i grymasy. — Jeżeli coś opowiadał, to
już z prawdziwem przejęciem się; jeżeli się
śmiał, to z takim wybuchem, jakby chciał wstrzą-
snąć ścianami; jeżeli coś naśladował, to z ta-
kiemi grymasami, że wszyscy pękaliśmy od
śmiechu, a Józef tak się zanosił, że aż butami
pukał o podłogę. Był on bowiem zwykle poważ-
ny, ale gdy się rozweselił, to już z prawdziwem
przejęciem się. W owym czasie Słowiński za-
znajomił się z jakąś pokojówką, w tymże samém
domu zamieszkałą, która go dość drogo koszto-
wała, a z którą pomimo to miał dużo kłopotu.
Co on się nas, a szczególniej Grota nabłagał, a

żebyśmy wyszli z domu i zostawili go samego - to były sceny arcy pocieszne:
- Bo widzicie, ona się tu przyjść wstydzi, bo ona przecież nie jest z tak niskiego stanu! Moi drodzy! moi kochani, zróbcie to dla mnie.....
wyjdźcie na godzinę!...
A my na to:
Zachciewa ci się, papo, sam nie wiesz czego....
Bij się w piersi, pokutuj, jużeś dosyć nabroił!
Do czego Józef dodawał z przekąsem:
- Ja miałbym uciekać z domu... dla takiej kpicy! dla takiej nędznicy!!
- Ale ja cię proszę... zrób to dla mnie, mój Gronie! dla przyjaźni koleżeńskiej... błagał papa, dodając w końcu: - Bobym miał do was urazę...
Cóż było wtedy czynić? - wychodziliśmy z domu, a powracając zastawaliśmy zwykle papę piszącego rachunki i obliczającego się z pieniędzmi.
Odwiedziny zatem były jakieś kłotochwile, bo papa jakkolwiek starał się być skrytym, nigdy nie wytrwał przy pierwotnem założeniu i przypuszczał nas do swoich tajemnic, wymieniając się z naszemi myślami i szukając porady. Oczywiście dawaliśmy mu rady, ale jakie to były rady! Bywało, papa wpada do nas zadyszany i zakłopotany, zaczyna biegać po pokoju i rzucać przekleństwa.
- Cóż tam nowego? - mówimy - jakże się miewa

Aksinia?

— A niech ją diabli porwą, to szatan nie dziewczyna! znowu nowe żądania, nowy spór z jej strony, moje sim rubli wpadły jakby w piekło nie mogę jej zadowolić - kupiłem jej krowy, dałem to i owo, a ona bezustannie grymasi...

— Jak widzę, ty się dla niej zniszczysz zupełnie - rzuć ją, bo to mało kobiet na świecie...

— Ale co wy wiecie! rzadko trafić podobną dziewczynę, widzieliście ją przecie, to mogliście ocenić. Bo co to za postać, jaka nóżka, jaki skład ciała! mówił papa z zaognionem okiem - jeżeli kiedy łudziłem się za nadto, to tu przecie nie mam nic do życzenia...

— A mój papo, my wiemy, że ty z każdej kobiety gotów jesteś stworzyć Anioła, ale to Anioł bardzo poziomy, skrzydła mu dawno opadły, jeżeli je miał kiedy... Wstyd tobie, żeś się tak w pokojówce zaślepił! —

— A jacy wy arystokraci! republikanizm na ustach, a w czynie to zupełnie co innego. Albo to pokojówka nie kobieta! U mnie wszystkie mają jedną wartość - pozór na bok, treść przedewszystkiem!

— Tak papo, treść przedewszystkiem, życzemy szczęśliwego powodzenia i szczęśliwych wydatków! —

Tak nieraz szła gawęda. Złowiwszy szarlat za

Aksinią, dopóki się zupełnie nie rozczarował. Dowiedział się, że Aksinia weszła w poboczne stosunki z czynownikiem policyjnym, któremu usługiwała, co go ogromnie oburzyło. Niedawno jeszcze pożyczył jej kilka rubli — ona go łudziła jak dawniej. — Nie mógł strawić tylu ciosów. Opowiedział nam swoje nieszczęścia i radzi się, co mu czynić wypada.

— Ha! mówimy — co było to dawno minęło! Radziliśmy ci dawno, abyś ją porzucił... Nie chciałeś słuchać, nawarzyłeś sobie piwa — pijże je teraz. Twoje ruble uleciały na swoich papierowych przydatkach; z kuferka Aksini nie powrócą do ciebie... pozostaje ci tylko zadośćuczynienie, mała zemsta...

— Jaka zemsta? co wy mówicie! —

— powołać ją do kwartalnego, a potem umieścić w jakim moralnym zakładzie, rzekł Jan.

— Z dobrym oczywiście attestem — dodał Józek.

— Tam, rzekłem — jeżeli ci się spodoba, możesz się z nią znowu zaznajomić; będziesz miał tę korzyść, że znajomość twoja będzie więcej moralną i bezpieczną...

— Ja miałbym się z nią znać! krzyknął Papa — z tą nędznicą! już jej moje oko nie ujrzy! — Ale dobrze mówicie, dla samej przyzwoitości trzeba się trochę zemścić, — trzeba jej pokazać, że ze mną nie można żartować... pójdę do kwartału.

Poszedł natychmiast do szafy, wziął płaszcz i czapkę

i pobiegł do kwartalnego. Śledziliśmy go z okien ciekawi dalszej sceny. – Po małej chwili przyszedł, zatarł ręce i rzekł do nas:
– Za chwilę przyjdzie siła zbrojna, nasza dama pójdzie przed kratki. –
Zaczęliśmy się bawić tym nagłym kroskiem papy, a tymczasem przyszedł policyjny sługa i zakołatał do drzwi:
– Zdieś-li żywiot Aksinia Totetjakowa, a? zapytał gospodyni.
– Zdieś. Wot i jejo imiejesz... a szto eto takoje?
Aksinia przechodziła właśnie przez sień. Słowiński, jako powód, pospieszył do żołnierza i kazał mu ją zabrać. Opierała się zrazu – nareszcie poszli we troje na miejsce. Rozpoczął się akt drugi.
Co tam było dalej, niewiem; nadzieje Słowińskiego nieziściły się przecie... Aksinja umiała skłonić kwartalnego na swoją stronę – zaczął więc przedstawiać i odsyłać od Annasza do Kaifasza. Słowiński się trochę zmartwił. –
– Co ja teraz zrobię? rzekł do nas, kiedy powrócili do domu – byłem w kwartale, już tam wczwałem, chciałem zrobić coś wielkiego, a tymczasem naraziłem się tylko... Kwartalny sprzyja Aksini, powiada, że taka sprawa nienależy do niego, ale do jakichś komitetów – a ona się jeszcze obrusza i zarazem drwinkuje ze mnie, roznosząc plotki po domu..... Szkoda żem poszedł

do tego kwartału, trzeba było raczej wszystko wypić...
— Cofać się niewypada, odrzekliśmy mu wszyscy — Gdybyś teraz zaniechał dalszych kroków, śmieliby się z ciebie wszyscy, żeś z dziewczyną, i to jeszcze tak niską, tak nędzną, niemógł trafić do ładu. A ona sama! a wiesz ty, od niej samej miałbyś więcej przykrości niż od innych! — Ona, nie wstydzi, że była w kwartale, ale pysznić się będzie, żeś Ty nic wskórać niemógł. Nasza rada jest ta, że należy iść do Komitetu i popierać dalej swój zamiar pierwotny.
— Tak, wy sobie z tego robicie zabawkę... ale dla mnie, to nie zabawka, bo niesława, kompromitacja. Jabym poszedł do Komitetu, ale chcąc coś wskórać, trzeba mieć znajomości, albo też dużo stracić, a jeszcze pytanie, jakie będą następstwa... Doprawdy, ja niewiem co czynić, czego się chwycić, jak postąpić...
Takiś pokazał się i w chmurném usposobieniu zaczął chodzić po pokoju, wyrzucając od czasu do czasu przekleństwa na Aksinię i czyniąc nam wyrzuty, żeśmy mu poradzili iść do kwartału. Krzywnął się okropnie. Papa w kłopotach był ciekawym do widzenia, bo był wtedy w najzupełniejszej sprzeczności ze swojem zwykłem usposobieniem. Każdy przyzwyczaił się widzieć go zawsze wesołym; chmura na jego czole odbijała więc bardzo dziwnie, bardzo niezwykle i jakby teatralnie. Dla tego też mimo

współczucia dla jego przykrego położenia, nie mogliśmy się z nim martwić; owszem bawiła nas ta scena i pragnęliśmy nawet jej przedłużenia. Jego wyrzuty były bezzasadne, bo mógł przyjąć naszą radę wedle własnego sposobu widzenia.
— Wstrzymaj się trochę z rozpaczą, rzekliśmy do niego; zaczekaj na dalsze fakta; ludzie się do faktów stosują.
Była to rada jedyna, bo niemożna było inaczej postąpić. —

Tegoż dnia po obiedzie Słowiński otrzymał list. Rozwinął go niecierpliwie i przeczytał głośno. Był to list od jednego z naszych znajomych, który się u naszej gospodyni stołował i codziennie po obiedzie przychodził do nas na pogawędkę. Pismo to było następującej treści:

dnia 14 Grudnia 1859 roku.

Panie Alexandrze!

Dziwią mnie mocno twoje postępki. Wyskoczyłeś jak Filip z konopi, narażając siebie na śmieszność, a innych na niesławę. Godziłoż się to biedną dziewczynę wodzić po kwartałach i kompromitować bez żadnego powodu? To smutne! prawdziwie, to smutne jest pomyśleć, coś to uczynił! — I cóż ci zawiniła biedna dziewczyna, żeby jej tak dokuczać? Czy ty myślisz, że ona tego nie czuje, nie cierpi na tem?

To jest niegodnem porządnego człowieka! Ona temu niewinna, że nie mogła ci być wzajemną... „Serce nie chłopiec" polskie przysłowie, zmusić go trudno, aby biło według woli. Aksinia nie była twoją poddaną, aby ci miała być nieograniczenie uległą... Co ci winna, ja za nią zapłacę; a pastwić się nad nią nie pozwolę, bo byłbym człowiekiem bez honoru, gdybym się za nią nie ujął... Chcesz iść do Komitetu — możesz to zrobić, ale oświadczam ci, że nic nie zrobisz, bo ja sto rubli stracę, ale jej tknąć nie dam!—

Przykro mi, że ci czynię podobne wyrzuty, ale jam temu niewinien, żeś się tak pięknie okazał...

Julian.

Po przeczytaniu tego listu parsknęliśmy śmiechem.—

— Facet, głupiec, safanduła! wyleciały jednocześnie z ust naszych...

— A to mi Rycerz! zawołał papa — chce kruszyć kopję za nędzną gryzetkę! — I jeszcze mi pisze takie morały! A to się spisał! A jakie wyrażenia! zupełnie jak bym był jego podwładnym! — „a serce nie chłopiec„ powiada — ha-ha-ha! czy ja kiedy słyszałem o takiem przysłowiu!

— I cóż ty na to papo?

— A cóż? warto tem zapalić fajkę... Oczywiście Julian oszalał... Ale on będzie tego żałował,

XI

on się pomiarkuje... to pierwsza namiętność. Ale ponieważ jest głupiec, kwituję go ze znajomości – nie miał prawa przemawiać w podobny sposób. –

Ubawiliśmy się tym listem i papa nawet, choć zakłopotany rozweselił się nieco. –

Tymczasem Policejski dowiedziawszy się o wypadku z Aksinją, przywołał ją do siebie i zaczął czynić wymówki:

– Pocoś ty wchodziła w stosunki z tym Studentem, widzisz jakie skutki – on cię zaprowadził do kwartału, naraził na wstyd i kto wie, co dalej będzie, potrzebne to wszystko?

– Tak, jam winna wszystkiemu, ale on mi nic nie zrobi, był przecież w kwartale i z niczem odszedł; ja mu zresztą nie kazałam się mną zajmować – jeśli on swoją wolę, to i ja także mam drugą.

– Tak, ty masz swoją wolę, ale on ma wolę silniejszą od twojej, bo ty jesteś tylko pokojówką, a on ma stosunki z ludźmi. Ty z Studentami nie żartuj, bo Student ma wstęp wszędzie, i jeśli on zechce, to cię wezwą do komitetu, a co dalej będzie?

– przecież pan na to nie pozwoli, odrzekła z płaczem Aksinja – cóż ja tak złego zrobiłam, żeby mię mieli brać do komitetu?

— Tyś bardzo źle zrobiła; trzeba się było wcale z nim nie wdawać, nie brać ani pożyczać od niego — przecie u mnie masz wszystko, co ci potrzeba! Takowstwo nie wychodzi na dobre. Choćbym ja ciebie bronił, to i tak niewiem co wypadnie... Musisz go koniecznie przeprosić i pożyczkę mu oddać. Ja ci cztery ruble udzielę.

— Zmiłuj się pan, jakże ja go będę przepraszać, ja się boję z nim widzieć, on mi gotów co zrobić, on mię teraz nienawidzi. Jeżeli mi pan choć cokolwiek dobrze życzy, niech się sam z nim rozmówi i załagodzi; ja panu będę wdzięczna na zawsze...

Zaczęła go błagać do tyla, że się zgodził na rozmowę z Słowińskim. Tegoż samego dnia nad wieczorem Policejski złożył nam wizytę. Prosiliśmy go siedzieć, poczęstowaliśmy papierosem i zawiązała się rozmowa, która zaraz przeszła do oczekiwanego wątku.

— Domyśla się pan zapewne, rzekł do Słowińskiego Policejski — żem przyszedł w interesie Akwinii. Jest ona jak panu wiadomo, w moich usługach, pan ją wzywałeś do kwartału...

— Co pan chce przez to powiedzieć...

— Pozwól mi pan dokończyć... O ile mi wiadomo, pan miałeś z Akwinją stosunki, które skończyły się niemyślepiej. Jestto dziewczyna płocha, ja ją znam dobrze, choć niespodziewałem się, żebyśmy mieli kiedy z jednego przedmiotu korzystać. Ale pomimo

to, jako kobieta zasługuje na względniejsze obejście się, i zważ pan....

— Uważam panie, odparł Słowiński — że jako kobieta powinna być więcej przyzwoitą, a ponieważ jej tego brak, trzeba ją nauczyć rozumu.

— Panie, chciałbym niebyć dla Niego natrętnym, ale muszę oświadczyć, że zemsta nad kobietą, nie jest zupełnie w swojem miejscu... pan przez to nic nie zyska, a straci na opinii i jakkolwiek pan masz do niej jaką i może słuszną urazę, ale zawsze lepiej to wszystko pokryć, aniżeli bardziej wyświetlać. Tymczasem słyszałem, że pan zamierza udać się do komitetu....

Tak panie, mam zamiar i spodziewam się go urzeczywistnić.

— A ja panu powiem, że to jest droga dosyć przewlekła, i sprawa ta może pana kosztować do 100. rubli, a wartoż tyle naprózno wyrzucać? — Zresztą pan nie możesz być pewnym skutku, bo pan nie masz żadnych dowodów na poparcie swoich słów; dowody ze świadków są trudne, a zresztą świadkowie w tajemnych, stósunkach są niepodobni do przypuszczenia i sąd ich nie przyjmie, przysięgać, spodziewam się, żeby pan nie zechciał, zresztą gdyby przyszło na upartego i ja się też starać mogę o zniweczenie pańskich zabiegów. —

— Spodziewam się, rzekł z uśmiechem Słowiński — że będziemy grzecznemi nieprzyjaciołmi. Może nam przyjdzie widzieć się ze samym Szawałowym .... +)
— Być to może, rzekł Policejski przygryzając usta — ale i ja mam u Szawałowa stósunki. Ale wierz mi pan, ja, co jestem w policyi, znam dobrze takie sprawy... To się panu wcale nie opłaci... Najlepiej pan zrobi, jeżeli dalszych kroków zaniecha, tym bardziej że szkoda dziewczyny... Ja ją dosyć lubię i gotówbym dla niej coś stracić. Po co ją robić nieszczęśliwą; ona pana chciała przejednać, ale się obawiała z Nim widzieć... pożyczkę ja panu zwracam...
— Uważaj pan, przerwał Słowiński — iż przyjęcie od niego tych pieniędzy jest dla mnie obrażającem; nie pożyczałem panu, nie mogę też od Niego odbierać; A zresztą ja niepożyczałem w myśli odbioru...
— Rozumiem... ale miałeś pan cel, którego dziś nie masz....
— To bynajmniej pierwotnego założenia nie narusza, odparł Słowiński — pieniędzy tych przyjąć nie mogę; schowaj je pan a conto załopy, której się dała odemnie. Co do dalszych kroków, jakich zamierzałem użyć — zrzekam się ich. Niech pan będzie przekonany, że to czynię na jego wstawienie się, gdyż pomimo pańskich przełożeń mógłbym dokazać swego. Wiadomo panu, że Student ma wszędzie otwarty wstęp i stósunki. Niechże jednak Aksini

+) Minister policyi

oddalać od pana, kiedy Pan z niej tak zadowolony, jak to utrzymuje; może jej pan tylko oświadczyć, aby się na przyszłość strzegła płochych żartów, gdyż mój następca może być surowszym odemnie. —
— Nieomieszkam jej powtórzyć ostatnich słów panicza, a tymczasem dziękuję w jej imieniu. Żegnam panów, i przepraszam za niepotrzebną wizytę.
— Jesteśmy wdzięczni za odwiedziny.
Tak skończyła się scena, którejby słusznie można nadać nazwę: Papa i Aksinja — a skończyła się dość polityczne. Słowiński wybrnął z kłopotu i tak był rad z tego, że zaraz po odejściu policyjskiego nieomieszkał się z nami radością swoją podzielić.
— No, cóż mówicie na to, rzekł z tryumfującym uśmiechem — czyż nie jestem zręczny dyplomata? —
Rzeczy przytem ułożyły się tak pięknie, że wszystko poszło, jak z płatka. Mówiąc na stronie, byłem w wielkim kłopocie, bo do komitetu bym nie poszedł, a bez tego śmieszne położenie...
— prawda papo, wybrnąłeś z kłopotu, rzekliśmy wszyscy trzej — i na pamiątkę powinieneś nam chociaż sprawić Figury do herbaty. panowie! w górę papę, Papa nam sprawi Figury.
Figurami nazywa się masło, cytryna, ser, zgoła wszystko, co wychodzi po za zakres zwyczajnej studenckiej wieczerzy, składającej się zwykle z herbaty i bułek. przy skromnych dochodach, każdy się musi

szczuplić, jak można. Figury więc bywają na stole bardzo rzadko i dla tego tém większy mają powab. –
– Dobrze, sprawię wam Figury, rzekł wesoło Słowiński – na pamiątkę zerwania z Aksinją i tryumfalnego odwrotu z pod Hochstädt.
Posłano więc natychmiast po cytryny, ser, masło, i szynkę; Słowiński chciał jeszcze kupić czerwonego wina do herbaty, co było jego ulubioną przyprawą, aleśmy go odmówili od tego. Kazaliśmy nastawić samowar i zasiedliśmy do stołu. –

XXIII.

Wieczory spędzaliśmy zwykle przy obszernym zielonym stole, który się już dla nas stał poniekąd historycznym. Z jednej strony tego stołu, na kanapie siadywał Słowiński, naprzeciwko niego Gromicki; a ja i Radoszewski po bokach. Każdy się zajmował swoim przedmiotem, a od czasu do czasu toczyła się pogawędka przeplatana śmiechem i żartami. – Józef wtedy sporządzał zwykle kursa z zapisek szamyck i do tej pracy znosił zawsze mnóstwo książ i papierów, co było powodem do ciągłych żarcików. Ro jak się otoczył książkami, jak zaczął grubo, a według jego wyrażenia, gruntownie sztychować z doborem rozmaitych ruchów i wykrzywień pizarniąz, to trudno się było wstrzymać od uśmiechu. –
Na domiar wesołości Słowiński doskonale go przedrzeźniał i trącał nas pod stołem nogami, aby pa-

trzeć na jego pantominy. Bywało więc nieraz że siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, patrząc na piszącego Józefa i podrzeźniającego Stowińskiego, i zaledwie się wstrzymując od śmiechu i nieraz nadbiegło przesilenie, że parskneliśmy nagle we trzech, patrząc się jedni na drugich. Wtedy Józef domyślając się, że to z niego, poglądał gniewnie na papę i fukał gwałtownie:—
— Że też u miljon diabłów nigdy się nie możesz uspokoić!! — Co ty zawsze masz w tém, żeby mi na złość robić! — Co ja też za nieszczęśliwy, że oni mi wiecznie dokuczać muszą! —
I trzymał się tak długo i fukał i mruczał i krzywił się, coby było jeszcze większym powodem do śmiechu. Wtedy powstawał na Józia:
— A ty cymbale mógłbyś już raz stulić tę gębę! Niedość, że jeden jest głupi, ale i drugi chce gwałtem głupcem zostać... Już jemu nie dziwię się, że błaznuje, ale że ty jesteś takim cymbałem, to mię bardzo dziwi! —
Potem wstrzymywał się trochę i dokańczał:
— Miałem o tobie lepsze wyobrażenie...
I zabierał się dalej do pracy spoglądając zukosa na papę i starając się go złowić na gorącym uczynku podrzeźniania, ale Papa umiał się strzedz doskonale i najwięcej był wtedy zamyślany. Zdarzało

się przecież, że nas Józef wszystkich złowił na jednym uczynku; wtedy powstawał gniewny od stołu i zaczął się przechadzać po pokoju, dając nam rozliczne błogosławieństwa.
Słowiński mu się najwięcej sprzeciwiał, ale Kapistran najwięcej go gniewał. Zdawało się Józefowi że Radoszewski, jako jego kuzyn, powinien więcej być dla niego względniejszym i mniej z niego żartować. Brał go więc czasem na stronę i dawał pewien rodzaj morałów:
— No cóż ty głupcze! Im się nie dziwię, że warjują, bo oni są cymbały, ale ty przecież powinieneś mieć zastanowienie...
A Jan na to:
— Nie gniewaj się Józiu, nie gniewaj — wiesz przecie, że to wszystko żarty...
— Już te wasze żarty stoją mi zawsze kością w gardle. Już wszyscy się na to uwzięli, żeby mi wiecznie na złość robić. A już najgorszy ten cymbał, co jak, jak.... naśladuje błazna.
— Et tu Brute contra me! — mówił znowu do mnie, widząc, że i ja na stronie jego wrogów. Już to ja w nikim nie mogę znaleźć przyjaciela, te przeklęte kpiny powinny by wam się raz już przecie uprzykrzyć! —
Józef, jakem to już nadmienił w jego charakterystyce, był bardzo rzadkim, wszem widzimisię

mierzył wszystko i gniewał się, jeśli, co znalazł nie-
zgodnie z tą samowolną miarą. Z tąd też sposób
jego mówienia był zwykle cierpki i opryskliwy. —
Przyzwyczaił się widzieć żartujących z jego zręcz-
ności; ztąd też wyrodził się w nim pewien rodzaj
podejrzliwości: sądził się być zawsze otoczonym
zgrają żartujących i robiących mu na złość, co tym
bardziej zaostrzyło w nim nudę. Często, jeśli czego
nie mógł znaleźć, odzywał się do nas z przekąsem
w tej myśli, że mu robimy na psotę; sam bowiem
przyzwyczajony do najściślejszego porządku, nie
mógł pojąć, jak się stać mogło, że swojej rzeczy
znaleźć nie może. —
Obecnie, że się wrócę do naszego wieczorku, Grot był
w dość wesołem usposobieniu. Przygody Papy, dały
mu pole do żartów i drwinkowania ze swego nie-
przyjaciela, który je wesoło przyjmował. — Przynie-
siono samowar, bułki i Figury i Pazio jako Mistrz
obrzędów, zajął się przygotowaniem do podróży.
Józef kończył spiesznie swoje scripta, bo mu głód
bardzo dokuczał, a głód jego był niepowstrzymanym
jak fala. — Jak we wszystkiem, tak i w tém był
on bardzo niecierpliwy: wszystko mu było jedno,
co zje, byle zjeść dużo i jak najprędzej; dla tego
też często jeszcze przed przyniesieniem potraw
cały chléb obiadowy przeniósł się ze stołu do żo-
łądka Grota, który z żartobliwością lwa, jak się

Papa wyrażał, zmiatał wszystko, co tylko do jedzenia posłużyć mogło.
I teraz też niemogąc się doczekać herbaty pospieszył Józef do chlebodajnego koszyka; nie spostrzegliśmy jeszcze tego ruchu, kiedy nas już doszły jego słowa opryskliwe:
— Cóż to jest u milion djabłów! — Ludzie przemieniają się w zwierzęta; człowiek naprożno tylko gębę psuje... gadać jak do muru do tych osłów! ale mur przynajmniej na złość nierobi...
Zrobiliśmy wielkie oczy na Grota, słuchając jego utyskiwań i z oderwanych słów jego dowiedzieliśmy się przecie, że powodem niezadowolenia była omyłka ze strony służącej, która zamiast trzech polskich bułek, które jej Grot przynieść kazał, przyniosła tylko dwie. Józef wyprawiał każdego z nas kolejno żeby ją posłać drugi raz, ale żaden iść niechciał chcąc go od nieśmiałości oduczyć. Musiał więc rad nierad iść sam.—
— Tatjanna! zawołał na sługę.
— Czego panu potrzeba?
— powiedz mi, rzekł do niej z przekąsem — czy jesteś głucha, czy też tak mało masz oleju w głowie, że zawsze inaczej zrobisz, niż ci powiedziano...
Na takie dictum acerbum wszyscy parsknęliśmy śmiechem — i służąca zaledwie go mogła stłumić; Grot zaś jak skamieniały patrzył się na wszystkich

Nareszcie rzucił jakiś przekleństwo i wyszedł na ganek trzaskawszy poprzednio drzwiami, że aż się okna zatrzęsły.
Posłaliśmy stróżącą po brakującą bułkę i wyprawiliśmy Kapistrana dla udobruchania Grota, co zaledwie po wielu usiłowaniach dało się uskutecznić; długo bowiem potem obrażał się jeszcze na naszą, jak nazywał, impertynencyę wobec nieznajomego zwierzęcia. —

Tymczasem herbata naciągła, i bułka została przyniesiona. Petersburgski nektar, przeszedłszy do gardeł, sprowadził lepszy humor na gorące twarze; zaczęła się pogawędka na dobre i przechodziła z jednego przedmiotu na drugi. Papa się rozgadał — mnóstwo zaraz przygód wystąpiło na scenę i ogólna wesołość zapanowała nad naszem całem Kółkiem.
— No cóż Redaktorze, rzekł do mnie Kapistran, — jak tam stoi Twoja Literatura? —
— Dotąd dobrze. Przygotowuję trzeci numer „Natchnienia”. W przyszły Wtorek wychodzi „Skowronek” spodziewam się ostrej Krytyki.
— Na którą, zapewne również ostrą przygotujesz odpowiedź, która sprowadzi replikę i wywoła walkę przeciągającą się do nieskończoności... Nieprawdaż? rzekł Słowiński.

— Będzie to zależeć od charakteru krytyki, od
przedmiotu. Niemówimy o tem co nastąpi później, bo
wiele mamy do pomówienia o tem, co się już stało...
— To za bardzo praktycznie, rzekł Jan. Wiecie pa-
nowie, mnie się zdaje, że wszystkie nasze postacie
wejdą kiedyś na pióro Multańskiego, aby tańczyć
przed oczyma znajomych. Niedarmo on małomó-
wny; on z nas teraz wzorki zbiera, aby je potem
odfotografować swojem piórem... Nieprawdaż?
— przyznaj się panie poeto?
— Niewiem, moi drodzy — przyszłość nie odemnie za-
leży. Czy was będę opisywał, czy nie, jest to pytanie
nierozstrzygnięte, ale z dzisiejszych danych mógłbym
wam odmalować wasze przyszłe charaktery, które,
jeżeli się nie mylę, już istnieją w miniaturze...
— Mów! mów, rzekł Słowiński — ale co do mojego
przyszłego charakteru, muszę ci oświadczyć, że je-
śli chcesz o nim mówić z tego, w czem ci się obe-
cnie przedstawiam, to się mylisz najzupełniej, boś
mię dotąd niepoznał na jotę. —
— Papa skryty, papa skryty! — rzekli razem Józef
i Jan — szkoda tylko, że co skryje do kieszeni, to
mu zawsze niezgrabnie wygląda...
— Mylicie się wszyscy, odparł Słowiński — ale sza!
silentium — ciekawym jak on nas też odmaluje, za-
cznijmy od Kapistrana.
— Dobrze. Zacznijmy od Prota. —

Radoszewski będzie typem dzisiejszych urzędników. Dobrze zjeść i wypić, zwiedzać wszystkie handle i cukiernie a krótko posiedzieć w biurze, mieć trochę długów dla mody i trochę niedostatków na domowe potrzeby, byleby na inaolandia wystarczyło – oto zwyczajny i powszedni plan jego życia. Za dostateczny powód do wytłumaczenia sobie podobnego sposobu życia, będzie miał zawsze gotową, słabowitość zdrowia, dla której trzeba wiele poświęcić, a która go nigdy nie opuści. Dla tej słabowitości obiady domowe mniej mu będą smakować niż lekkie cukiernicze przysmaki, które jak dziś mówi, nie obciążają żołądka; dla tej słabowitości nie będzie mógł rychło przychodzić do biura, ażeby się rannem powietrzem nie przeziębić. A praca biurowa nadwerężająca jego zdrowie będzie przyczyną wyjazdu do wód za granicę, jeżeli na to zasoby pieniężne dozwolą; zgoła dla owego niby – zdrowia Radoszewski będzie miał wiele wydatków w swojem życiu. –

Mając serce otwarte dla wszystkich będzie lubił hulać z przyjaciółmi, a przyjaciółmi więcej może kochającymi jego kieszeń, niż osobistość, co może być przyczyną wielu goryczy w jego życiu. – W zwyczajnych zajęciach może on być dość akuratnym, bo jakkolwiek dziś lubi próżniaczyć, ale przyszłe położenie w świecie przymusi go do większej pracy; reszty wrodzone mu zdolności dokonają. –

Niespodziewam się jednak, aby coś wielkiego zbudo-
wał, bo słabość jest pierwszorzędną wadą jego cha-
rakteru. Przy Garibaldim mógłby być Prądzyń-
skim, bo ma umysł bystry i otwarty, ale bez Gari-
baldego może być zerem. Dzisiejsza jego płochość
umiarkuje się po ożenieniu i przyjściu na swą gło-
wę zwykłych domowych kłopotów, a jego życie do-
mowe zależeć będzie od żony. Jeżeli to będzie ko-
bieta z silnym charakterem, to nad nim rozcią-
gnie opiekę, i tego nie powinien sobie uważać za
ubliżenie, ale owszem za szczęście, gdyż zginąłby do-
szczętnie, gdyby jego małżonka była tyle słabą, co
on. Więcej o nim nie powiem, bo przyszłe okoli-
czności jego życia są przede mną zakryte... Uti-
nam sim falsus vates, ale to prawdopodobne, że
się może srodze rozczarować, bo za bardzo wie-
rzy w świat, bo ludzi uważa za Aniołów, co jest
błędem pierwszorzędnym, a tym bardziej niebez-
piecznym, im bardziej go w pozory prawdy ubie-
rać będziemy.
O ile z początku tej gawędy wesołość pląsała po li-
cach, o tyle przy końcu zasępiły się czoła. Rado-
szewski się zamyślił, jakby przywięzując wagę do
tych słów wyrzeczonych na ślepo i zamiast mi w
czém zaprzeczyć, przyznał mi owszem trochę słuszności:
— Odmalowałeś mię trochę jaskrawo, rzekł do mnie
ale im więcej się zapatruję na siebie, tym bardziej

spostrzegam, że twoja charakterystyka jest dosyć zgodna z rzeczywistością. Tak, ja jestem słaby i to jest główną moją wadą; ale z wady tej trudno się uleczyć, bo jest przyrodzoną...

— Pracuj nad sobą, rzekł Józef — a Bóg cię wesprze w usiłowaniach... Bierz przykład z Demostenesa... Masz zdolności wielkie, masz nawet wiele czasu przed sobą, użyj siły i woli, dokładaj po cegiełce do budowy, a gmach wzrośnie powoli... Rozpaczać się nie godzi, bo sama rozpacz jest dowodem słabości.

— Grot ma słuszność, dodał Oleś — praca wiele zbudować zdolna, ale mimo to wszystko, ja w siły Jana nie wierzę.

— Bo sądzisz o nim, odparłem — z dotychczasowego życia; nie używał sił swoich, więc też ich przed ludźmi nie okazał, ale gdy przyjdzie chwila pracy to i siły się znajdą. —

— Amen! — zakończył Radoszewski. Cóż nam też powiesz o papie? —

Papa, rzekłem — jest dzisiaj tak różnostronny, że trudno powiedzieć, co jest główną, a co podrzędną stroną jego charakteru. O ile mi się zdaje, Słowiński nie jest samoistnym, bo jest za bardzo podległy wpływowi świata, któremu z uległości się hołduje. Jest on z rodzaju tych ludzi, co są bardzo dbali o pozór; nie mówię ja przez to, żeby Słowiński miał na uwadze pozór jedynie,

a rzeczy główne stawiał na uboczu – zawsze jednakże wyznać muszę, że dba za wiele o sąd świata, co jest bardzo szkodliwém, bo może być przyczyną zaniedbania wielu rzeczy, które z pożytkiem dla społeczności uczynione być mogły. Człowiek czynu nie zważa na pozory, i idzie naprzód nieoglądając się po za siebie, niesłuchając postronnych krzyków, jak ten szukający o północy zaklętego skarbu, o którym nam legendy wspominają. – Gdyby złe na świecie do tego stopnia doszło, że dać wsparcie ubogiemu byłoby niesławą, Papa by nikomu, a przynajmniej jawnie wsparcia nie udzielił. Jeśli się ta strona jego karakteru utrzyma i nadal, Słowiński zmarnotrawi wiele przymiotów ducha, których mu przyroda udzieliła i będzie człowiekiem miernym; epikureizm, który nim włada po za granicami zewnętrznego świata, będzie jego jedynym przewodnikiem na drodze żywota.

O tym to epikureizmie muszę nadmienić słów kilka. Papa lubi wygódki i umie ich ze smakiem używać, a lubi nadewszystko kobiety. Wystawcie sobie papę, tak jak go dzisiaj widzicie, przeniesionego w małżeńskie zacisze. Ma on dzisiaj narzeczoną, którą kocha, jak mówi, chociaż ja temu bardzo nie wierzę. Ale przypuśćmy, że ją kocha – czy sądzicie, że małżeństwo przywiąże go zupełnie do żony?... Nie, to nieprawda – i choćby

Słowiński złożył mi przysięgę na wierność swo-
jej żonie – ja jeszcze wtedy powiem na stronie,
że w przysięgę taką nie wierzę. Bo Papa, który ma
taki pociąg do wszystkiego, co estetyczne, nie przyj-
mie zapewne brzydkiej pokojówki do usług,
a przyjąwszy ładną, nie będzie tak zakamie-
niałym purystą, aby miał od niej stronić;
nie stroniąc od ładnej pokojówki trudno, aby
się nią nie zajął, a zająwszy się choć cokolwiek
trudno, aby nie zawiązał stosunków tajem-
nych. – Nie wstrzyma go wzgląd na przestrzeń
pana od sługi, bo Papa jest zwolennikiem po-
stępowym, który równość zupełną głosi i pra-
gnie ją sobie właściwym sposobem w czyn
wprowadzić; nie wstrzyma go wzgląd na żonę,
bo on wierzy w miłość kosmopolityczną – a
zresztą on gotów zawsze utrzymywać, że żony
nie zdradza, bo ją tylko jedną kocha, a z innemi
ma prostą znajomość. Jestem pewny, że tak
będzie jak mówię, bo wiem jakim Słowiński
jest dzisiaj a wierzę w przysłowie, że "natura
ciągnie wilka do lasu". A jeżeli tak będzie,
to mogę łatwo przewidywać następstwa. Wsku-
tek niewierności małżonka, żona będzie nieszczę-
śliwą, i zgotuje powodowi swoich cierpień niepokój
domowy. A ponieważ szczęście domowe jest podsta-
wą życia, będzie więc papa pozbawiony ustanowienia

działalności i popędu do pracy, co nie będzie bez wpływu na jego położenie w świecie. - Dixi. - Może się mylę w przypuszczeniach, może młode piwo wyszumi, może stan małżeński umiarkuje Słowińskiego, ale to wszystko jest może, nie mające dotąd żadnej podstawy. -
Rzućmy teraz zasłonę na epikureizm Słowińskiego i uważmy go na chwilę jako człowieka czynu. Posiada on zdolności, posiada wolę, działalność, zręczność, wymowę, w ogóle przymioty mogące człowieka podnosić w górę, mogące mu przynieść korzyść społeczeństwa. Te wszystkie przymioty są stałe i mogą się jeszcze rozwinąć, jeżeli nie uderzą o nieprzełamane przeszkody. W takim razie Słowiński może być zaszczytną cząstką społeczeństwa, - a nawet kierownikiem rządu powszechnego. -
W rządzie konstytucyjnym widzę dlań otwartem niejedno ważne dostojeństwo, gdyż jak powiedziałem, zdolności jego są wielkie. Zawód obrończy, który sobie obiera, o ile jest zaszczytny, o tyle ważny do wzlotu w górę, do zjednania sobie sławy i wziętości. -
Papa ma szczęście do ludzi. Wrodzone to szczęście umie jeszcze powiększyć uprzejmością obejścia, ogładą wychowania i umiejętnością życia. Będzie on lubił wydawać wieczorki i baliki, tańcujące herbatki i skakające szampanka, przy których

nogom swoim nie pozwoli nigdy próżnować; będzie lubił skradać pocałunki i uściski, otumaniać niewinne główki, zasiewać wiosenne romanse, zwodzić młode mężatki, podmawiając przytem wszza starym mężom — co wszystko jest dozwolonem w świecie, w którym polor jest całem kodeksem. — Wskutek takiego życia Słowiński, jako człowiek zdolny i dobrze wychowany, uprzejmy i przyjacielski, słowem człowiek comme-il-faut, jak mówią Gallowie, zyska i szczęście wewnętrzne i dobre położenie w świecie.

Mowę moją przerywano gęstym śmiechem i żartami z Papy, który sam też podwajał wesołość swojem zwykłem parskaniem i pantominami. Nareszcie jednogłośnie Grota wywiedziono na scenę:

— Maluj nam Grota! maluj nam Grota, wołano na mnie. Grot będzie zapewne ciekawy … przewiduję twoją orację, rzekł Jan.

— Dobrze, rzekłem — odmaluję wam Grota, ale nalejcie mi czaju, bo szklanka już pusta, a i gardło już podeschło od gawędy. —

Jan nalał herbaty. pociągnąłem parę haustów i zapaliwszy papierosa, spojrzałem się w oczy Józefowi:

— Grocie! natchnij mię i przedstaw się tak, jakbym cię miał odfotografować. Ale nie — to niepo-

trzebne. Kto przebył z Józefem dzień jeden, ten zna go na wylot, a kto go poznał, ten może śmiało mówić o jego przyszłym charakterze. – Otóż Grot, według mego zdania, nie odmieni się ani na jotę, bo wszystkie jego przymioty i wady są już stałe i wyrobione – zamrą chyba z nim razem. Powiedziałem o Radszewskim, że będzie typem dzisiejszych urzędników; o Gromickim powiem, że przedstawi nam najdoskonalszy typ prawnika i to jeszcze Rejenta. – Pracowity do najwyższego stopnia, zasiedzi się jak mól w papierach i reszta będzie go obchodziła o tyle, o ile mieć będzie czas do stracenia. Zrzędny i zgryźliwy będzie fukał nieustannie to na żonę, to na dzieci, to na dependentów, to nareszcie na siebie, narzekając na swoje nieszczęście i rzucając djabłami jak grochem. – Żona będzie z nim bardzo nieszczęśliwą, jeżeli się nie wczuje w jego charakter i nie przyzwyczai do jego grymasów, bo choć ją będzie kochał z całej duszy, ale na karb tej miłości będzie od niej żądał za wiele. –

Akuratność będzie dla Grota igłą magnesową; wszystko u niego w domu musi pójść jak zegarek: śniadania, obiady, wieczerze, będą miały ściśle oznaczoną godzinę, od której, pod karą, kija, uchybić nie będą mogły – a pomimo to jeszcze, znajdzie on zawsze coś takiego, co uważa za powód do zrzędy. –

To mu się obrus niewyda dość czysty, to mu się obiad przegotuje lub niedogotuje, to mu mucha wpadnie w rosół, za co już prześle do piekła i gotów pukać na żonę, że muchy w złej trzyma karności. — Będzie z niego wielki krupiarz; kuchnia zarówno z biórem będzie pod jego ścisłą kontrolą; służące muszą mu się kręcić jak na szpilkach — będzie im czynić uwagi, że za dużo soli sypią, że za wiele na ogień kładą, że za późno statki pomywają; tę rznie w kark, tę wydrze za łeb, tę wyśle do milion diabłów, wedle swego zwyczaju... A niechże się, broń Boże, co stłucze, co to będzie wtedy za piekło! — uciekaj przed gniewem pańskim. — Wtedy żona będzie drżała, jak trusia, dzieci się pokryją w kąty, dependenci pouciekają z pisarni, a sługi będą się żegnać i odmawiać modlitwę: Od powietrza, głodu, ognia i wojny a szczególniej od gniewu pańskiego wybaw nas panie! —

Śmiejcie się — prawda, jestto obraz śmieszny, ale za to prawdziwe. Grot będzie sobie taki stary gdéra, któremu nikt nie dogodzi. Zrzędą swoją dokuczy wszystkim, co sam potem nieraz będzie się starał naprawić:

— No cóż moja droga, powie do żony — czy ty się na mnie jeszcze gniewasz? ja cię mocno przepraszam za moją porywczość, ale bo widzisz ja nie mogę z niczem trafić do ładu: to papiery

dzieciaki rozrucą, to wołamu nieporządek, nic na swojem miejscu. Już bo to ja taki nieszczęśliwy, że mi się wszystko, czy umyślnie, czy nieumyślnie na złość dzieje. Ale i ja też może trochę za nudny — ty masz do mnie, jak widzę, urazę — przebacz mi, ja cię bardzo przepraszam.
To znowu zawoła na dependenta:
— panie protazy!
— Słucham, odrzeknie dependent drżąc jak liść i spodziewając się jakiej nowej burzy.
— panie protazy, wyrzecze dobrodusznie pan Rejent — ja panu nagaiłem słowo ostro, ale proszę mi wybaczyć, bo to było w gniewie. A przytem ja mam zawsze powody do niezadowolenia. Już bo to ja jestem taki nieszczęśliwy, że jakby na złość, wszystko mi się nie szczęści. pełnomocnictwo miało być gotowe na piątą — pan się spóźnił parę minut i osoby musiały czekać. Jakież oni będą mieli wyobrażenie o mojej kancellaryi? —
A przytem mówiłem już raz, że wszelkie wyciągi prywatne powinny być pisane grubo, gruntownie, żeby atrament prędko nie wypełznął i ażeby łatwo było przeczytać. Cośdzie do Akt powinno być jeszcze gruntowniej pisane, bo to jest rzecz wieczysta, a przytem „jak cię widzą, tak cię piszą" — a ja pragnę, aby nikt kiedyś nie wyrzekł, że byłem w podobnych rzeczach niedbały...

Tak więc, nic dziwnego, że się gniewam, jeśli nie-
widzę takiego porządku, jakiego sobie życzę...
Ale zawsze, ja przepraszam, proszę do mnie nie mieć
urazy....
A obiecuję dzieciom które za umaczanie w atramen-
cie chorągiewki od pióra, da im na przeprosiny
po groszowem ciastku.
Wszyscy się śmiali do rozpuku w czasie mojej ora-
cyi. — W końcu dodał Alexander:
— przedstawiłeś nam stronę zabawną, malujże
teraz poważniejszą.
— Co do służby swojej, prowadziłem dalej — Józef
będzie jednym z lepszych prawników, bo chociaż
nie jest bystry i rzutny, ale pracą może dalej
zajdzie, niż my. Praktyka wyćwiczy go doskonale w prawie, a powoli uzbierane prawoznawstwo, będzie sobie umiał dobrze usystematyzować w pamięci. — Jako obywatel będzie
miał świętość, głos jego będzie miał swoje
znaczenie, bo będzie głosem człowieka poważnego,
nie mówiącego nic płocho i nierozważnie, ale
z gruntowną rozwagą i namysłem. Pomimo
swojej zwięzły będzie umiał żyć z ludźmi, bo
jest otwarty i szczery, co mu z oczów nawet wyczytać można; do nudy jego można się z czasem
przyzwyczaić, a zresztą on jest tylko w domu
nudnym — z ludźmi zachowuje nawet prze-

przesadzoną grzecznością i uprzejmością. Pomimo więc swojego wrodzonego dziwactwa Józef będzie człowiekiem pożytecznym społeczeństwu; widzę w nim dobrego prawnika i jeszcze lepszego Obywatela kraju. — Skończyłem moją obszerną gawędę i prosiłem moich przyjaciół, aby i o mnie z kolei powiedzieli słów kilka, ale potrzęśli głowami:

— Poeto! rzekł Jan — tyś sobie powinien sam przyszłość wymarzyć! Za mało mamy danych, abyśmy o tobie mówić mogli. Wiemy tylko, że posiadasz wiele woli, dość zdolności i pracy. Przy takich zasobach można zrobić wiele, byle pracować oględnie. Kierujesz się więcéj na literata niż prawnika; zawód to trudny i bolesny. Ci którzy świat karmią chlebem duchowym, nie jedną, odeń goryczy połknąć muszą... Ale pracuj, idź naprzód nie oglądając się w tył, jako Jan wyrzekł mówiąc o Słowińskim — bo jeśli ci przeznaczono coś stworzyć, to środki się znajdą ku temu. A ty wierzysz w przeznaczenie, powinieneś więc wierzyć w swe siły!...

— Zgoda, wyrzekłem — będę wierzył w swe siły i postaram się zdolności przetopić na pracę, ale i wy zróbcie to samo. Będziemy się wspierać wzajemnie...

— Będziemy się wspierać wzajemnie, powtórzyli wszyscy — z jedną myślą i słowem i

XII.

innem zejdziemy się może i na jednem polu... Bo niebo przyszłości powleka się chmurą; bliz-ką już burza, a burza gwałtowna, co świat cały przetworzy na inny. A wtedy serca nasze zło-żymy ludzkości na ofiarę, uczucia nasze rozepniemy na odmłodnionych polach rodzinnych i uściskamy naraz braci, tak jak teraz ściska-my się wzajem! —

Mówiąc to, rzeczywiście podaliśmy sobie szcze-rą dłoń przyjaźni i złączyliśmy się w jednym uścisku. Każdy był trochę wzruszony, bo każ-dego przyszłość rozmarzyła i pogrążyła w zadumie...

XXIV.

Często nam podobnie schodziły wieczory; przed herbatą każdy pracował — po herbacie zawiązy-wała się pogawędka i nieprędko się kończyła. Zawsze jednak wyznać trzeba, że wieczorami najwięcej się pracowało i najwięcej zrobiło. Ja wtedy miałem wiele zajęcia z wydawnictwem raz ogłoszonego dziennika. Co dwa tygodnie wychodził nowy zeszyt "Natchnienia", poezye dobierałem dość z uzbieranych skryptów, ale prozę musiałem zawsze doryweczo opracowywać. — Jakem mówił wyżej, umieszczałem w moim dzien-niczku poglądy na dzieje świata. Każdy taki po-gląd kosztował mię dosyć pracy, w podziwowaniu

bowiem krytyki, a w niej szczegółowego rozbioru umieszczonych przeze mnie ustępów, musiałem się dobrze namyśleć, nim co przelałem na papier, aby potem śmiało i odważnie się bronić.

Oczekiwana krytyka zjawiła się przecie w „Skowronku", ale jaka to była krytyka! Zamiast ścisłego naukowego rozbioru, rzucono mi tylko szyderstwo, drażniło mię nawet boleśnie, bo dotknięto mojej wiary. Miałem powody mniemać, że to wyszło z pod pióra Szyrzniewicza, z którym od pewnego czasu byłem dość chłodny w obejściu. Gniewało go bardzo moje literackie wystąpienie i domyślać się może, że przy sposobności nieomieszkam działać przeciw jego wpływowi, starał się więc przed czasem zniechęcić mię i zmusić do milczenia. Ale jeżeli miał tę myśl to się zawiódł, bo w charakterze moim niema takiej uległości; zamiast umilknąć postanowiłem więcej działalnie wystąpić i każdy mój byłby go może strącił z piedestału, gdyby ogół nasz był więcej samoistnym i więcej zdolnym do zrozumienia myśli tajemnej jaką mu w bezbarwnej masie przedstawiłem.—

W odpowiedzi na rzucone mi wyzwanie przedstawiłem chorobliwy stan naszego towarzystwa i zamachy zarozumialców na dobra, stanę jednostek zgoła wszystkie, cokolwiek było śmiesznością i dziwactwem, a przybierało nazwę i mas-

ale

ke opieki nad dobrem ogółu.-
Ton tego ustępu był taki, że łatwo było wyrozu-
mieć o kim mówię, ale zdaje mi się, że nie poję-
to do czego zmierzam. Ja pragnąłem pod-
nieść ogół powszechny do samodzielności; więk-
szość zaś widząc literackiej walki, spostrzegała
w niej tylko prywatną zwadę - zamiast więc szcze-
rego zajęcia się pozostała obojętność, wskutek
czego Pyzniewicz i jego towarzysze utrzymali się
przy dawnym wpływie, na dawnem stanowisku,
co już stanowiło dla mnie przegraną, bo niwe-
czyło mój cel główny.
Na ten wypadek pracowało wiele okoliczności.
Ja z swojej strony popełniłem błąd wielki, żem
się jaśniej nie wypisał; moja sukienka stylowa
za bardzo pokryła myśli, które chciałem ogółowi
przedstawić. I tak np: przedstawiając stronę
przeciwną, użyłem wyrażenia: "ludzie uczeni,
ludzie z zasadami". Było to nie bez powodu,
bo też oni chcieli uchodzić za uczonych; chcieli
wmówić we wszystkich, że cokolwiek czynią, cho-
ciażby to było godne nagany, czynią z pobudek,
mających wyrozumowane zasady; ja więc mówi-
łem z uśmiechem. Ale cóż z tego kiedy uś-
miech mój nie był zrozumiany; czytający są-
dzili, że ja wyśmiewam ideę, że ja uważam

za złe, jeśli kto ma jakie stałe zasady, że ja wyśmiewam uczoność, a zatem "a contrario" zachęcam do próżniactwa i.t.d. Było więcej takich miejsc niejasnych w mojej odpowiedzi, ale mógłem przypuszczać, że czytający nie poznają się na wyśmiechu dość nawet widocznym.

Strona przeciwna w odpowiedzi na moją odpowiedź pracowała także silnie, aby skrzywić znaczenie słów moich i przedstawić mię jako zapaleńca z urojonemi przesądami, jako płochego dziwaka bez celu i rozwagi. Wystąpiono nawet dosyć zręcznie, bo odziano się togą pseudo-patryjotyzmu i przedstawiono mię jako rozsiewacza zasad wstecznych. Wszystko to, połączone z pokątnem nicowaniem moich myśli, sprawiło, że moje prace nad przywróceniem rządu powszechnego spełzły na niczem, że strona przeciwna utrzymała się na dawnem stanowisku, a ja zaledwie nie padłem ofiarą usiłowań zabicia mojej dobrej sławy. Przykro mi było z tego powodu, ale znało mię wielu z zasad prawnych i szlachetnych, i ta może myśl skłoniła moich przeciwników, że w odpowiedzi na moje wezwanie ich do jawnej rozmowy, chociaż na to wręcz odmówili, napisali przecież, że co do zasad osobistych nie mają mi nic do zarzucenia i niemogąc tego oświadczenia

z dawnemi zarzutami pogodzić, dodali, żem co innego myślał, a co innego napisał.
Tak więc obawa moja utracenie dobrej sławy znikła; pozostało mi tylko gorzkie wspomnienie tego machjawelizmu, w który się poniekąd z własnej winy zaplątałem. Przy pierwszej myśli wydawnictwa miałem jedyny zamiar uczynienia rozrywki kolegom z moich piśmienniczych płodów i spodziewając się rozsądnej, rozbiorowej krytyki, przeciw której broniłbym się wedle możności, sądziłem, że obudzę przez to większe zaciekawienie do czytania, coby nawet i pożytek pewien przynieść mogło. Otrzymawszy zamiast krytyki szyderstwa Pyrzmiewicza i jego towarzyszów i widząc, że ogół obojętnie patrzy na naszą walkę i bawi się zamiast sądzić, zniechęciłem się trochę i zamiast poruszyć i rozebrać różne pytania żywotne, co było moim pierwotnym zamiarem, skończyłem tylko raz zawsze dzieło.

Tymczasem życie nasze domowe szło po dawnemu praca i zabawa związane z sobą prawie nierozłącznie, zabierały nam czas zbiegający bardzo szybko. Czasem szliśmy na operę, czasem do kolegów, czasem znowu przyjmowaliśmy gości

u siebie, a wtedy wieczorek przybierał zwykle znamiona zebrań studenckich. Zdarzyło się nieraz, że i karty wystąpiły na scenę, nigdy jednak nie było gier zapalonych namiętnych, co to do gruntu wstrząsają człowiekiem niszcząc mu i majątek i zdrowie. U nas gra była zawsze zabawą i cechy tej nie straciła nawet wtedy kiedy więcej osób miało w niej udział. Pomimo to, Józef zawsze fukał na karty i każdy grający był u niego szulerem, szczególniej też gderał na Jasia, gniewało to bowiem, że jego kuzyn wdaje się w takie rzeczy, które on uważa za przestępstwo. Ja grywałem bardzo rzadko i prawie przypadkiem, raz dla tego, że nie byłem dobrym graczem, i mogłem łatwo przewidywać, że przegram — powtóre, że nie widziałem w tem wielkiej przyjemności, nigdy bowiem gra moja nie była połączona z zastanowieniem i rozwagą, które są prawdziwemu graczowi niezbędnie potrzebne. Mimo to jednak nie mogłem się zgodzić na jedno zdanie z Józefem. — Grę w karty, byle grę zwyczajną i umiarkowaną, uważałem zawsze jako jedną z rozrywek, mającą wtedy zwykle pole do popisu, kiedy się zejdą goście, a przedmiot do rozmowy się wyczerpnie. Zamiast nudzić się, lub gawędzić niepotrzebnie, lepiej przecie pojść w zawody ze

szczęściem; w grach umiarkowanych i niezapalonych przegrana nawet nie może być nigdy kosztowną, i zdaniem mojem mniej przynosi złego, niż obmowy i plotki, które zwykle występują na scenę, kiedy poważniejszego przedmiotu do rozmowy zbraknie.—

Występować bezwzględnie przeciwko grze w karty jest wcale bezzasadnem, bo ileż to jest rzeczy na świecie, które pożytku nie przynoszą, a zwyczajowo stały się już koniecznością! — Taniec np: jakiż przynosi pożytek! Jestto naprzód powolne niszczenie zdrowia, często nawet narażające na śmierć przy łatwem przejściu z gorąca do zimna, a powtóre — taniec nie ma w sobie żadnej rozsądnej zasady, owszem naraża człowieka na pewien rodzaj śmieszności... Cóż to jest bowiem rozsądnego w skakaniu po salonie, choćby i systemem w najartystyczniejsze zwroty? jestto prosto komedja osobista. Gdyby zwolennicy tańca skakali pojedyńczo po sali w chwili mniej namiętnej, samiby się nieraz zaśmiali z duszy nad własną komedją: szał tylko ogólny, wir który osoby w powszechnej pustocie unosi, i zamęt jakiś eteryczny oblekający przesuwające się postacie, przelew uczuć z oka do oka, z serca do serca po promieniach jakiegoś namiętnego upojenia — sprawiają, że w tańcu powszechnym za-

pomina się o jego wyrozumowanej niesto-
sowności, a owszem widzi się w nim coś poetycz-
nego, coś unoszącego w marzenia! I taniec
jest dla wielu jedyną zabawą! – Podobnież
rzecz się ma i z innemi zabawami, a nawet
prosto przyzwyczajeniami... Palenie np. faj-
ki jest najzupełniejszą śmiesznością... Trzymać
lulkę w ustach i pogrążać się w tej bez ustanne-
go dymu, ma w sobie coś zabawnego; trawie-
nie tego dymu jest nawet rzeczą szkodliwą;
czemuż przecież Tytuń ma tak wielu zwolen-
ników nawet pomiędzy płcią delikatniejszą?
Bo się umiał wkraść w przyrodę, hołdę, w
przyzwyczajenie powszechne; zwyczaj i przyzwy-
czajenie oblokły go szatą przyzwoitości, której
dotąd nie posiadał i pomimo swoich wad i śmie-
szności spokojnie sobie panuje... Zażywanie
tabaki jest przyzwyczajeniem jeszcze więcej śmie-
sznem, a nawet niepoważnem a przecież ma
tylu, może nawet więcej od tytuniu wyznaw-
ców! – Zgoła wszystkie zabawy, wszystkie za-
jęcia, wszystkie przyzwyczajenia, jeżeli nie
przynoszą korzyści, to też i nie są nigdy bar-
dzo szkodliwe; tego tylko wymagają głównego
warunku, aby były w miarę używane; każ-
dy nadmiar jest rzeczą złą, ale prowadzi to na
zastósowanie nawet w rzeczach przynoszących

korzyść, bo i nadmiar pracy jest szkodliwym.— Myśli te jednak nie trafiły do przekonania Józefa; był on stałym przeciwnikiem zabawy w karty i ile razy następiła, nie mógł się pohamować od uwag i gderania.
Pewnego razu kapitan kupił nowe karty i przyszedł z nimi do domu.
— Co tam niesiesz zapytał Grot.
— Mydło, bo go już na jutro zbraknie, odrzekł Jan. Ale Józef był ciekawy, lubił zaraz wszystko oglądać; zaraz się więc kłamstwo wydało. Odtąd karty nazwano u nas Mydłem i ile razy zebrało się kilku kolegów na wieczorek, a Józef zauważył, że kapitan szepce coś na ucho drugiemu, zawsze zgadł, że pragnie preferansika urządzić i powtarzał swoje ulubione: „Tres faciunt Mydło", co miało oznaczać, że zejście się trzech znajomych jest łatwym sposobem do przejścia w grę w karty.
Tak więc czas przepędzany na pracy przeplatanej zabawą, w której charaktery Aleksandra i Józefa najlepiej się wybitniały — przechodził nam dosyć wesoło. Jedyną troską naszą podówczas, była przyszłość, były myśli natężone o nieznanym życiu, które nieraz osiadały w głowie kamieniem i męczyły swą tajemniczością, chociaż

i one nie bawiły nigdy długo w umyśle, zmuszone ustępować przed różnostronną teraźniejszością

I mieszkalibyśmy tak długo, gdyby nie porywczość Józefa, która rzuciła główną kość niezgody. - Żarty, któremi uprzyjemnialiśmy wieczory, a które po większej części odbywały się jego kosztem, znudziły go niesłychanie, tak że pewnego razu dość ostro przemówił się ze Słowińskim.

- Radbym się już raz przecie odczepić od Ciebie, rzekł doń Grot rozgniewany jakąś psotą - nie mogę już patrzeć na ciebie, ty mi gotów jesteś resztę niezepsutej krwi wysączyć...

Słowiński był dosyć drażliwy i jakkolwiek wierzył, że dąsy Grota są zawsze przelotne, teraz przecież sądził inaczej:

- Czy ty Grocie mówisz to na prawdę, stanowczo?.... rzekł doń.

- Tak, tak, rzekł Józef z przekąsem - jużeś mi się bardzo uprzykrzył...

- A, jeżeli tak jest w istocie, wymówił z godnością Papa - to postaram się uwolnić cię wkrótce od mojej uprzykrzonej obecności...

- Najlepiej zrobisz, przyświadczył Józef - zostawisz mi święty spokój.

Tak powadzili się dwaj nasi towarzysze; staraliśmy się pogodzić ich, ale nie dało się to przy-

wieść do Małka: Grot był rozgniewany – papa obrażonym się zdawał. Przykro nam było z tego, wiedzieliśmy bowiem, że to pociągnie za sobą rozłączenie, ale nie było rady.–
Rozłączenie to było nawet spieszniejszem, aniżeliśmy poprzednio sądzili. Gospodyni nasza dawała nam obiady tak nędzne, żeśmy je zaledwie przełknąć mogli; chcieliśmy się więc stołować gdzie indziej. Ale gospodyni nie chciała nam mieszkania bez obiadów wypuścić, trzeba więc było poszukać innego.
Chodziliśmy po mieście szukając dogodnego na czterech mieszkania, ale, jak na nieszczęście, nie mogliśmy go znaleźć – dawny więc zamiar rozłączenia musiał koniecznie ożyć. Podparła go jeszcze ta okoliczność, że Słowiński był na wyższym kursie i prędzej czy później musiałby porzucić nasze grono dla przygotowywania się do wypytań.– Że zaś na trzech nie można było również znaleźć pomieszczenia, przeto i ja też musiałem o samotności pomyśleć.–
Tak więc rozdzieliliśmy się na trzy części: ja zamieszkałem samotnie na nadbrzeżnej kanału Katarzyny – Słowiński wynalazł dla siebie pokoik o parę minut drogi odemnie, a Grot z Proteem

zamieszkali we dwójkę również bardzo blisko od mego mieszkania, tak że sądy by nasze były w jednym okręgu, którego moja była środkiem. Jednakże takowe rozłączenie nie wpływało na poróżnienie naszego kółka, owszem utrzymywało się po dawnemu, związane tymbardziej wspólnem stołowaniem, które miało miejsce u Dwójki i bliskiem zamieszkaniem dozwalającem częściej się odwiedzać.—

XXV.

Mieszkanie, w którem Jan i Józef osiedli było wynajęte od Polki, czyli jak ją nazywaliśmy Słowiańsko-petersburgskiej katoliczki. Panna Aneta /tak się nazywała ich gosposia:/ była kobietą młodą, i nie okazującą wcale wstrętu do młodzieży. Mówiono o jej różnych miłostkach, już dawno ubiegłych, dano jej nazwę ładnej zalotnicy, zgoła starano się widzieć plamki na jej cnocie, co jednakże nie byłoby dostatecznem do wyrokowania o niej stanowczo, gdyby jej obecne życie nie potwierdzało dawnych opowiadań. Miała ona obecnie przyjaźń z jednym ze studenckiej młodzieży, który od niej również wynajął pokoik i tym sposobem zbliżył się do przedmiotu swojego życia. Nazywano go Wróblem, który to przydomek będąc skróceniem jego właściwego nazwiska określał zarazem jego mającej dość podobieństwa do ptaszego owalu.

Wróblewski zamieszkawszy przy Anecie owładnął jej całem gospodarstwem. Aneta utrzymywała się jedynie z dochodu, jaki jej odnajmowanie pokoików przynosiło; było to szczupłe i na dwie osoby wystarczyćby nie mogło, gdyby Wróbel nie dołączał do wspólnej domowej kassy stypendjum pobieranego od rządu. Tak połączony dochód utrzymywał gospodarstwo, nad którem Wróbel miał zarząd bez granic. Aneta do tego stopnia była słabą, że bez porady Wróbla, nic się nie ośmieliła uczynić. On zarządzał całym dochodem i wydzielał z niego na wydatki, on wynajmował mieszkania, on rządził kuchnią i całem gospodarstwem, on nawet rozporządzał, jakie potrawy mają być na obiad... Aneta nie mogła nawet swobodnie wyjść z domu, tak była skrępowana dozorem. - Bywało, wypadnie jej kiedy wyjść na miasto - idzie się więc zaraz spowiedzić Wróblowi.

— Klemensie, ja muszę wyjść.

— Gdzie i po co? zapyta.

— Do znajomej przyjaciółki... odpowie Aneta.

Wtedy Wróbel postanawiał wyjście krótkiem słowem. Dobrze, lub - Niemożna. Jeżeli się zgadzał, to oznaczał czas powrotu - jeżeli nie, to Aneta zostawała w domu. Przedstawiała mu nieraz, błagała o zawsze łagodnie, zawsze pokornie, jego

woli nie ośmieliłaby się oprzeć, bądź to przez słabość, bądź przez zbyteczne w niego zaufanie.
Wróbel był pośrednikiem pomiędzy Anetą pokorną gospodynią domu, a mieszkańcami odnajętych pokoików. Za jego pośrednictwem ja, Szopa, i kilka innych osób, zaczęło u Anety obiadować i wspólne stołowanie odbywało się zwykle u Wróbla. Obiadki takie bywały dosyć wesołe, i zaspokojenie głodu przeplatało się pogawędką o różnych przedmiotach potocznych; nieraz nawet z gawędy wywięzywały się rozprawy dość długo się przeciągające. Takiśmy z czasem przywykli do tego, że mieszkanie pozostałej Dwójki uważaliśmy prawie za nasze i gawędząc o tém i owém bawiliśmy się nieraz do wieczora.–
Wróbel zaglądał czasami do naszego zgromadzenia, aby też uczestniczyć w rozmowie, nigdy jednak długo nie bawił, spiesząc się do swojej pseudo-żony i gospodarstwa, którego był głową. Co to nieraz było śmiechu z tego niby-małżeństwa! Stosunki wzajemne Wróbla i Anety były zbyt widoczne, aby o nich postronni nie wiedzieli; gołąbkowie jednakże sądzili wcale inaczej, a przynajmniej pozorować się starali. Aneta wesoła i trzpiotliwa starała się przedstawić płochą, którą może była rzeczywiście; Wróbel zaś posępny, milczący, chciał się okazać jeszcze bardziej poważnym

aniżeli był nim w istocie.
Czasem będąc w dobrém usposobieniu zapytywaliśmy go żartami:
— Prawda to Wróblu, że zdejmujesz Anecie pończoszki?—
Na to Wróbel przybierał zakłopotaną i dość zabawną postawę i mówił na-pół teatralnie:
— Kto wam o tem baje? Wiesz dalibóg, że oni (rozumiał pod tem słowem znajomych towarzyszów.) nie mogą się obejść bez plotek! Że jej pomagam w gospodarstwie, to nie daje powodu mniemać o jakichś stosunkach; czynię to jedynie dla tego, że ona kobieta taka słaba, taka nierozważna, że sama przepadła by doszczętnie...
— Dobrze robisz mój Wróblu — to jest uczynek prawdziwie miłosierny...
— Ale bez żartów, mówił Wróbel — ja jej nawet dobrze nieznam...
Te jego uniewinniania bawiły nas bardzo, a były tem zabawniejsze, że Wróbel był Litwin, mówił zatem trochę przeciągłym przygłosem i nieco dziwacznie wysławiał się. Papa od pierwszego rzutu oka zaczął ostrzyć zęby na Anetę.
— A wiecie co? rzekł do nas — ta wasza gosposia jest wcale niczego facetka! Gruntowna jak Grot lubi, zgrabna i ładna i ponętna... Gdyby mi się udało z nią zawiązać stosunki!!—

— A nie! mówił po chwili kręcąc głową — nie da się: Wróbel cerber sługowy pilnuje jej dobrze, i przystęp wcale nie łatwy...

— Spróbuj Kapo! odpowiadaliśmy mu na to — wszak ty mistrz w podobnych rzeczach: może ci się uda Wróbla odpalić....

— A wiecie co? rzekł do nas Słowiński po dniach kilku — nie jest tak źle jak sądziłem: mówiłem z Anetą, powiedziałem jej słodycz i ona mi też wzajemnie, uścisnąłem ją na dobranoc i wymiarkowałem, że jest łatwa do poznania... A my na to:

— Brawo panie Słowiński! brawo! zacząłeś, trzymajże się dobrze....

— Tak, powtarzał Słowiński — Wróbla można odpłoszyć, bo ona go nie lubi; przykrzy jej się z tym ptakiem ponurym... Brawo Kapo! będziesz ruch! powtarzał sam do siebie, ciesząc się zawczasu ze swoich zabiegów.

A tymczasem Aneta strzelała na wszystkich oczyma i w pysznie rozpuszczonej sukni przechadzała się po korytarzu.

Ja wtedy w zamkniętem mieszkaniu miałem dosyć wygodnie. Pokoich jakkolwiek drogi, bo za osim rubli miesięcznie, był jednak wesoły i usposabiający do pracy. Ranek przepędzałem zwykle na naukach w Szczelnicy jeżeli był ważny jaki przedmiot

na wykładzie; jeśli zaś nie, to zostawałem w domu i zasiadłszy przy okienku wychodzącem na gwarny dziedziniec, czytywałem dzieła. O trzeciej chodziłem na obiad, po którym spędzałem chwil kilka na pogawędce z przyjaciółmi, a wieczorami albo czytałem xiążki, albo też pisałem ustępy do wydawanego dziennika. — Wydawnictwo to kosztowało mnie trudu nie mało, bo chociaż zeszyty co dwa tygodnie tylko wychodziły, jednakże pisanie ustępów, poprawianie ich i przepisywanie powtórne zabijało mi wiele drogiego czasu, któregobym nie poświęcał tyle na przygotowanie rozrywki towarzyszom, gdybym się był z początku z rozmiarem pisma lepiej obliczył. — Często się bardzo zdarzało, żem pracował do drugiej w nocy i dłużej, raz, że przy zajęciu czas szybko ubiegał, a powtóre, że często zakres pracy wymagał tego koniecznie. A jeżelim wcześniej swe dzienne zajęcia zakończył, to wtedy położywszy się na spoczynek, stawiałem świecę przy łóżku i usypiałem nad jakim romansem. Tak powoli czas zbiegał wśród mojej jednostajności. —

Dnia 5/17 Kwietnia 1860 r.

Dnie mamy prześliczne: prawie codzień jasnomodry lazur rozjaśnia się słonecznemi promieniami

niami; wszystko zwiastuje wiosnę, bo i ptaszych pieśni nie brakuje i na ulicach już sucho — ba! nawet kacapy swoje demokratyczne brody roznoszą...
Ale to jeszcze ułuda: jeszcze Newa i jej towarzysze kanały są nieczułe na przymilanie się słońca i jego ogniste pocałunki, stoją chłodno i niewzruszenie nadstawiając mu twardą i trudną do przegryzienia zbroję; jeszcze drzewa milczą o przyszłości i ani jednem westchnieniem nie dają poznać po sobie, że wierzą w odmłodnienie swoje — bo one dopiero po połowie Maja rozkwitną...
Ale ludzie nie milczą, jak obumarli, owszem szaleją okropnie, bo to teraz Święta Wielkanocne. W Wyższych Sferach społeczności galowe ubrania nie próżnują; karety i dorożki przewożą chmury galonowanych etyketantów na ceremonjalne wizyty — a z drugiej strony rozpite radi prazdnika /z powodu święta./ tłumy hulają na różnego rodzaju igrzyskach, przebąkiwując niezrozumiale swoje "Chrystos woskres" i wo istinu woskres." /"Chrystus zmartwychwstał" i naprawdę zmartwychwstał"./, wódka i wino, szum i hałas, wypolerowane o fabryczne słówka, rozbestwienie i hulanka przyswoita, tańce i szał bez granic dopełniają tego obrazu, co się dzisiaj w Petersburgu rozmalował.

A ja smutny byłem, bom podumał o swoich — o sercach, którem daleko pozostawił za sobą, a

smutek mój tym bardziej się powiększył, kiedym rozebrał dzieje mego życia... I cóż tam bowiem znalazłem? - Oto próżne szamotanie się tylko pomiędzy nadzieją a goryczą... Straciwszy matkę pozostałem sierotą, bo Ojciec jak powiedziałem wyżej był dla mnie dobrym Ojcem, ale Matki mi zastąpić niemógł... Macocha moja, chociaż w gruncie dobra kobietą, ale uprzedziła się do mnie, sądząc że będę kiedyś nieprzyjacielem jej dzieci... Z tej nieufności wyrodził się w jej sercu jakiś wstręt do mnie który napróżno zyskaném mniej więcej obejściem się pokryć chciała; wybitniał on się zawsze w jej oczach, w jej słowach, w jej postępowaniu ze mną, zgoła z całego stosunku pomiędzy nią a mną bluzgała w moje serce gorycz, którą powoli trawić musiałem. Nieśmiałem się nigdy z tém przed Ojcem wynurzyć, bo obawiałem się chłodnych przełożeń; przewidywałem, że moim utyskom nie przychyli ucha, boby zarazem o żonie usłyszał to czegoby słyszeć nierad.

W takiém wewnętrznem trawieniu się przetrwałem długo, nieśmiejąc się przed nikim otworzyć, ale mi było przykro, boleśno i niewytrwałem dłużej. Nadchodzą imieniny mego Ojca; z tej okoliczności postanowiłem skorzystać, aby sobie otworzyć wstęp do jego serca i wynurzyłem się przed nim w liście następnej osnowy:

16. Kwietnia 1860. r. Peters:

Najukochańszy Ojcze!

Nadchodzi wreszcie drogą dla mnie rocznica imienin Twoich mój Ojcze kochany! Witam ję razem z promieniami wiosennego słońca, co nam ozłociło niedawno jeszcze ołowiane niebo — i jakby umyślnie, abym się nie smucił wtedy, kiedy Ty Ojcze weselić się będziesz... O! bo jest pewien rodzaj radości wewnętrznej, kiedy się obchodzi rocznicę pierwszego powitania ~~się~~ świata i rocznicę niejednej już pamiątki w życiu przebiegłej... Nikt, zdaje mi się, gdy spojrzę po sobie, nie jest obojętnym na wspomnienie chwil ubiegłych oddawna, — jakto coś uroczego w poglądzie na przeszłość i patrzémy na nią rzewnie i radośnie, jak poeta, gdy czyta swe dawne utwory i pogrąża się w tych myślach które niegdyś z bólem lub rozkoszą przelewał na papier... Boleści lub rozkosz przebrzmiały już dawno, i ich wspomnienie niewstrząsa już namiętnie naszą duszą, ale wzrusza ją spokojnie, jak obraz straconej kochanki, co nam cicho błądzi po myśli, a do którejbyśmy przypierzyli z namiętnym uściskiem, gdyby nam stanęła na jawie... Tak — ja czuję ucznia Solenizanta, bo najwszystkich mniej więcej pamiątka jedyna w roku, jednakie obudza wrażenie. I nie mogę Ci Ojcze

!

nic więcej przynieść na wiązanie, jak wczuć się w Twoje myśli i uczestniczyć współczuciem. Przywiązanie – oto jedyne słowo, jakie dziś szepnąć mogę – a cicho, tajemniczo, bo głośne nie zyskałoby może wiary... Tak – bo oto ostatnie może mi dopiero walczyć wypadnie, gdyż są struny w sercu ludzkim, nawet w sercu Ojca, z których ręka kochającej osoby nie jest w stanie dźwięku wydobyć. Dźwięk ten wydobywa tylko wpływ świata i okoliczności życia. Jeśli te dwie dźwignie są zgodne z uczuciem rodzicielskiej duszy, to dobrze, to szczęście; ale jeśli jest przeciwnie, to biada biednemu sercu poświęconemu na ofiarę – bo ono najczęściej zostaje do walki... O! ja to czuję głęboko – i dla tego mówię cicho i tajemniczo do Twoich uczuć mój Ojcze, aby odważną Twoją ręką zerwać dla mnie różę szczęścia, a jej kolcem nie zakrwawić... Więcej nie powiem, bo sił mi nie staje – a głos mój nie tyle potrzebny, co myśl moja: przeczucie ją dopowie, a pamiętnik wyjaśni... przeczytaj Ojcze mój pamiętnik, tam obca ręka skreśliła wiele chwil z mojego życia, a chwil przesiąkłych więcej daremną walką wśród łez i boleści i pragnień szczęścia, zapartego nieodemknioną klamrą – niż radością i weselem niedanemu

(:)

danem; bom szczęścia prawdziwego nie kosztował nigdy – bo jego błyski niepewne zgasły razem z ósmym rokiem mego życia, pozostawiając mi odtąd nieustanną walkę wśród szamotań i zapadu bez nadziei, których gorycz sam piłem udając, że się poję słodyczą....

Moje życie odmalowała powieść Korzeniowskiego pod nazwą „Garbaty”; tam wiele moich chwil ubiegłych, myśli i uczuć tajemnych, wypisało się niestartemi głoskami i dla tego uważam to dzieło za pamiętnik mego życia. Jaki był koniec Garbatego pamiętam, jaki będzie mój – nie wiem... ale się spodziewam, że lepszym nigdy, jedynie gorszym być może...

Daruj Kochany Ojcze, że w miejscu zwyczajnych słów powinszowania przesyłam Ci wyrazy, być może nudne i niezajmujące, ale w dniu Twoich Imienin, w dniu wspomnień i uczuć, może przyjdzie chwila, w której swobodnie podumasz o Synu, gdzieś tam smucącym daleko, a którego dotąd może własne tylko myśli rozumieją....

To jest pierwszy list, który piszę do Ciebie Kochany Ojcze, do Ciebie tylko i w takiem usposobieniu, jak wtedy kiedym w dzieciństwie również oddalony od Ciebie, wpatrywał się w Twój portret z westchnieniem cichem a niepojętem....

Przyjmij go Kochany Ojcze, a z tem przekonaniem, że niezawsze jawna serdeczność jest szczerą i pozorna chłodność rzeczywistą, bo jest wielu ludzi, a ja zdaje mi się, że do nich należę, co więcej życzą myślą niż słowem lub oznaką, co więcej czują niż wypowiedzą i więcej płaczą cicho, niż boleją przed światem. Jeśli serce Syna będzie zrozumiane przez Ojca, to będę szczęśliwy — gdyby zaś było przeciwnie, to będę się żalił nie na mego Rodzica, ale na los złowieszczy, co ściga niejedną ofiarę niewinnie i niezasłużenie.

Bronisław

List ten dosyć tajemniczy miał zbliżyć mego Ojca do stanu mojej duszy. Nie nadmieniałem w nim prawie wcale o moich uczuciach i przyczynach ujemnej strony mego życia, bo pragnąłem poprzednio wyrozumieć o ile wyobrażenia i przekonania Ojca są zbliżonemi do moich, gdyż za żadną cenę nie powierzyłbym nikomu, nawet jemu moich myśli, jeślibym pewny był, że chłód martwy przedożeć będzie dla nich odpowiedzią. A ja pragnę z całej duszy pragnę w Ojcu znaleźć powiernika moich myśli samotnych... Obym nie tylko pojął i zrozumiał! —

Tegoroczna zima była dla nas nie bardzo

względną; siedmiu Kolegów pożegnało nas na-
zawsze, wybiegając na Elizejskie; Marzec szcze-
gólniej swojém nieznośném powietrzem dokuczył
wszystkim: wielu z naszych chorowało, dwóch
umarło wtedy; umarł także i Piotr Kadłubków
mój zeszłoroczny Krztałciciel, o którym wspomnia-
łem wyżej, a który umiał sobie zyskać powszech-
ny szacunek.

W zeszłym miesiącu na naszym widnokręgu
studenckim (zdawało) zaszło zdarzenie, któ-
re może być miarą godności osobistej naszego
ogółu. "Kurjerek" w swoim pisarskim zarwa-
nie doszedł do tego, że skarykaturował kilku
naszych Kolegów i to jeszcze tak zręcznie, że
podobieństwo było uderzające. Karykatura
ta przedstawiła ich zestrony nader złej, bo
pogrążonych w różnego rodzaju rozpuście, co
było przyczyną zepsucia im dobrej sławy. – Dla
tego też jeden z odmalowanych uniesiony na-
miętnością podarł zeszyt "Kurjerka" z czego
urosła bardzo zawikłana sprawa. "Kurjerek"
wraz z swymi stronnikami domagał się za to
pogwałcenia własności publicznej, wydalenia
winowajcy z naszego grona, przypominając za-
razem Zawiadującemu Księgozbiorem, że na ta-
kie pogwałcenie dozwolił. – Ale skarykaturowani
zyskali wielkie poparcie w ogóle; oburzyło to

każdego, że „Kurjerek" ośmielił się nawet deptać godność osobistą, i powszechność nietylko nie uważała za złe podarcia „Kurjerka" ale nawet w wielkiej części domagała się zupełnego zniesienia jego wydawnictwa. Nastąpiły ogromne rozprawy, co Wtorek i w Sobotę (: dnie otwarcia Księgozbioru :) schodziło się w Księgozbiorze po stu blizko studentów na rozwiązanie pytania: Czy pan X. miał prawo podrzeć „Kurjerka" a „Kurjerek" czy miał prawo gwałcić godność osobistą? – Od rozwiązania tych dwóch pytań zależeć miało dalsze wydawnictwo „Kurjerka" i dalsze należenie pana X. do naszego grona. Rozprawy były gorące: jedna i druga strona przedstawiała swoje dowody, poruszono wszystkie prawa i wyniki z tych praw, według których rządziło się nasze Towarzystwo, biorąc do pomocy całą potęgę pseudo-dowody. – Przyszło nakoniec do takiego rozdrażnienia, że ton rozpraw zaczął przybierać coraz bardziej nieprzyzwoitą barwę i byłoby może przyszło do walki otwartej, gdyby Zawiadujący Księgozbiorem nie wyprawiał wtedy gości do domu. Nareszcie niewidząc innego sposobu do rozstrzygnięcia tej sprawy, zaczęto powszechnie wołać o Ogólne Zebranie, chcąc resztę prawnie

zakończyć. Zgromadziła się cała młodzież na comitia na których wybrano piętnastu sędziów ad hoc i ci postanowili ostatecznie, że ani Pan X. wydalonym z ogółu, ani "Kurjerek" zamkniętym być nie może; przeszłość została uśpiona, a na przyszłość polecono Zawiadującemu Księgozbiorem przyjmować tylko takie pisma, które nie obrażają nikogo, albo też noszące podpis rzeczywisty utworcy, z którymby obrażony mógł się otwarcie rozprawić nie czyniąc przez to zamięszania w ogóle. Był to sąd dosyć porządny, zapobiega bowiem na przyszłość wszelkim podobnym zamieszkom i rozdźwiękowi pomiędzy braćmi, jaki w obecnej sprawie był bliskim do urzeczywistnienia. Obydwie bowiem strony groziły, że w razie nieprzyznania im słuszności porzucą wspólne koleżeńskie grono. - Skorom tylko usłyszał takąż groźbę, napisałem w moim dzienniku ustęp o tej sprawie pod nazwą "Sąd polubowny" w którym przedstawiwszy obustronnie rzecz całą, a przedstawiwszy że żadna z dwóch stron nie jest tak dalece winną aby na nią ogół miał wymierzać karę, radziłem aby Ogólnego Zebrania, jako formy prawnej, do której przyzwyczailiśmy się przywięzywać jakąś cechę więcej uroczystą - nie zwoływać

na rozwiązanie takiej drobnostki, a ograni-
czyć się na przymuszenie stron winnych do
wzajemnego przeproszenia.-
„Niech wszyscy - mówiłem - w dniu danym
„znajdować się będą w Księgozbiorze; zbiorą
„swe podpisy na nakaz Panu W. do przeproszenia
„piśmiennego wydawcy „Kurjerka" a „Kurjer-
„kowi" do podobnegoż przeproszenia obrażonych
„osób. Jeżeli - mówiłem dalej - niezechcą do-
„browolnie tego spełnić, to stosownie do tego
„która strona będzie niezgodną, użyje się
„kary zawieszenia - Pana X. w należeniu do
„Ogółu, a „Kurjerka" w wydawnictwie aż do
„czasu zgody i obejdzie się bez Ogólnego Ze-
„brania, które nam jest potrzebne na waż-
„niejsze rzeczy!"-
Taką podałem radę Ogółu, ale któż zdoła roz-
burzone namiętności uchamować? przeczytano
moją rozprawę, pogawędzono nad nią, ale po-
mimo to zostano przy dawném zdaniu.-
Ogólne Zebranie stało się koniecznym i to je-
szcze wielkie szczęście, że zdołało wywrzeć wpływ
skuteczny.
Opisałem tu to zdarzenie jako dowód żywej krwi,
jaka płynie po żyłach młodzieży. Cieszyło mnie
wielce, że ogół umiał się tak wcielić w jedno-

ści

stkę i obrazę godności osobistej przyjąć za obrazę. Gdybyż tak we wszystkiem umiał każdy poczuć swoją samodzielność; gdybyż tak we wszystkiem sąd powszechny był na prawdzie oparty?! –

XXVI.

zacząłem w Petersburgu a dokończono w Warszawie

Przeszedł naraście kwiecień, w którym skończyłem wydawnictwo "Natchnienia" i zaczęliśmy się przygotowywać do rocznych wypytań. Mieliśmy w tym roku niewiele przedmiotów, bo wskutek nowego rozporządzenia zwolniono polskich prawników od szczegółowego rossyjskiego prawa, co nam znakomicie umniejszyło pracę. Pozostały nam tylko cztery przedmioty: 1, Dzieje prawodawstwa Rzymskiego, 2, Prawo Stórmikowe rossyjskie, 3, Dzieje porównawcze prawodawstw europejskich, i 4, Prawo urządzające Królestwa polskiego. Wymieniając obowiązujące nas przedmioty wspomnieć muszę i o kurtatcicielach.

Schneider, posiadający mównicę Prawa Rzymskiego był już dawnym i wysłużonym kurtatcicielem. Obecnie mógł on już pobierać emeryturę, wolał wszakże pełnić dalej swoje obowiązki za podwójną płacę. Jak wszyscy Niemcy trzymał się on przysłowia: "tam Ojczyzna, gdzie chleb"; dla tego też starał się nie tylko sam zapomnieć, ale i wszystkich przymusić do zapomnienia o jego pochodzeniu;

chciał uchodzić za Moskala. A chociaż wymowa jego łamana wskazywała zawsze, że Niemcem się urodził, ale jego zasady i wyobrażenia otwierały dlań sferę czysto-moskiewską. Jego pogląd na prawo Rzymskie był przesiąknięty czysto-monarchicznemi pojęciami. Aż do czasu Cezarów nie widział on w dziejach Rzymu i rzymskiego prawa żadnej treściwej wartości; nazywał on ten okres szamotaniem się napróżnem płochego narodu i powolną chorobą wśród ogólnego rozprężenia. Dopiero kiedy złoty monarchizm okuł w żelazne pęta daremną swobodę i otworzył „złote podwoje" „ciszy i porządkowi" tak długo oczekiwanemu przez „śpiący dotąd duch Rzymian" – wtedy to, według zdania Szneidra, zajaśniał najpiękniejszy wiek dla dziejów Rzymu. Wtedy to, tak długo trzymany w rozerwaniu umysł uczonych, zaczął rzucać gwiazdami na ociemniałe dotąd głowy; wtedy to świata dobroczynnemi promieniami zaczęła ogrzewać całą rzymską społeczność; wtedy to spełniło się zadanie świata w najlepszem jego rozwinięciu i Rzym przyszedł do samopoznania. Zgoda, im większa samowola uciskała naród rzymski, tem większy dobrobyt, według zdania Szneidra, opromieniał Rzym, który dla tego tylko upadł, że nie umiejący się poznać na dobroczynnej władzy Cezarów

starał się otrząsać z siebie władzę tak bezzasadnie 150
znienawidzoną! – Taki był pogląd Schneidra na Rzym; pogląd ten rozwijał on wszędzie, gdzie tylko dało się trącić o dzieje powszechne; – niedziw więc, że nie mógł znaleźć odgłosu w polskiej młodzieży, która też na jego nauki bardzo niechętnie uczęszczała. – Każda jego nauka przetykana prawie /: gdyż miał szczególnie nudną wymowę :/ i napojona wrogiemi zasadami była pańszczyzną, która się odbywało z nienawiścią dla tego jedynie, aby nie ściągnąć na siebie wyrzutów za niebywanie, na co Schneider pilnie uważał.

Innym wcale był Kawelin, wykładaciel prawa Sto-sunkowego rossyjskiego, czyli tak zwanego „Swodu Zakonów". Człowiek postępowy i prawdziwie wykształcony, umiał i nauki swoje pięknie obrobić a przeto i słuchaczy pociągać. Na jego naukach słuchalnia była zawsze przepełniona, i zbiegano się tłumnie na słuchanie tej wymowy i tych zdrowych zasad, jakie Kawelin zaszczepiał. Bo chociaż przedmiot jego był suchy i nieciekawy, ale on go zawsze w piękne ubranie przybrać umiał; dla niego Swod był tylko podstawą, na której swoje opierał: wokół tej podstawy wiły się bluszcze zasad europejskiego prawa, dzieje i filozofia popierały zgłoszone przez niego myśli, a myśli obrobione przez dojrzałą europejską społeczność. – Zapiski Kawelina odznaczały się i jasnością

poglądu i ścisłym układem pojedynczych części prawa; cała niedokładność, cały odmęt Swodu znikał w jego kursie, który był doskonale zmozaikowany, ułożony, obrobiony i, że się tak wyrażę, wypolerowany ładnym stylem, poetyczną filozofią i zdrowem rozumowaniem. – Kawalin był dla mnie i dla wielu jednym z najpierwszych kształcicieli; jako osoba potoczna był człowiekiem pełnym godności i taktu; jako pisarz odznaczał się jędrnością stylu i postępowością zasad, był zgoła człowiekiem, któremu jeżeli można coś zarzucić, to chyba naukową dumnomyślność.

Również godnym uwagi był Utin, który dopiero w roku obecnym objął mównicę Porównawczych dziejów europejskiego prawa. W jego wykładzie przebijały się lekko republikańskie pojęcia, które się głównie starał osnuwać na Anglji, jego ideale dziejowym. I temu jedynie mogłem zarzucić, bo jakkolwiek oddawałem zasłużoną pochwałę wielu angielskim urządzeniom, ale nie mogłem się zgodzić na bezwzględną prawdziwość tych złotych farb, w jakich starał się wszędzie naród angielski przedstawić. – Młodego jeszcze i to młodego Moskala, wychowanego pod baczną opieką samowładzy, musiała podróż do Anglii wprawić w pewien rodzaj odurzenia, duchowej szkoły, która

mu zasłoniła prawdziwy charakter Anglików; widział niewidzianą dotąd wolność, spostrzegł samorząd narodowy i upił się nim zaraz na wstępie: niedziw więc, że wrażliwy pozór przed zamglonemi oczyma przedstawił mu się jako rzeczywistość. — Bądź co bądź Utiu był dobrym Wykładacielem; główne bo jego zarady odczuwało naszym pojęciom — z tąd też pozyskał u nas odgłos i szacunek.

Ale cóż powiem o p. Stanisławie Łagunie wykład-cicielu Urządzeń Krajowych? Człowiek "z ciepłem i zimnem" jak się wyraził Czajkowski, przedstawiając go nam na wstępnej nauce, człowiek pełen gorącego uczucia i zimnej krytyki, człowiek pełen zdolności, których miał użyć na stworzenie Kursu prawdziwie zajmującego, bo ozdobionego różnostronnemi poglądami — okazał się wcale za wysokim na te przesadzone pochwały. Czajkowski, człowiek uszczypliwy i szyderczy, który go nam przedstawił jako pół-bożka na to tylko, aby nagle upadł z Olimpu, mówił potem do Studentów po cichu, że p. Łaguna jest głupi. Na to zgodzić się nigdy niemożna, bo Łaguna jakkolwiek młody, jakkolwiek niedawno wyszły z Wszechnicy, posiadał przecież niezaprzeczone zdolności, których z korzyścią dla swojej wiedzy użyć umiał. Wiadomości, jakie posiadał, były może za różno-

stronne, a przeto mniej gruntowne, zawsze jednak trudno mu odmówić ukształcenia. Jedyną rzeczą, której mu zarzucić można było, ale za to rzeczą główną, była niezdolność wykładu z przyczyny fałszywego pojęcia warunków wykładu. Był on wysłany kosztem skarbu za granicę i kształcił się w Paryżu na przyszłego przewodnika na polu Rządoznawstwa. Pobyt w Paryżu dał mu poznać w zasadzie i w wykonaniu mechanizm francuskiego rządu, którego główną osią jest ześrodkowanie władzy. To ześrodkowanie nadające rządowi sprężystość i szybkość w wykonaniu, tak zachwyciło p. Łagunę, że zapomniał o najgłówniejszej rzeczy, zapomniał, że ześrodkowanie władzy jest zawsze w przymierzu z samowolą rządu, a wzrost tego ześrodkowania jest w stosunku ujemnym z wolnością narodu. Ale cóż to szkodziło p. Łagunie, że naród francuski cierpi, że rząd francuski jest kamieniem gniotącym wolność Francyi, kiedy ta Francja, za to samo właśnie, że cierpi jest wielką, jest panią Europy, straszącą wszystkich swoją ogromną potęgą, bo wszyscy wiedzą, że „za pierwszym odgłosem alarmowanego dzwonu" jak się wyraził jeden z uczonych francuskich — „już widać całą Francyę na nogach!"

Cóż to, mówię, szkodziło P. Łagunie, że przyjął

pozór za treść, że wieńcem strzębnej sławy pro-
święcił wolność narodu? Tak, P. Łaguna nic nie
zawodził, ale słuchacze jego wykładu nie byli je-
dnego z nim zdania; słuchacze choć jeszcze nie
byli w Paryżu, ale za to posiadali serce drażliwe na
despotyczne uważenia, i musieli się koniecznie od-
osobnić od Łagunowego zeswoltrowania i uwonis-
tych wykrzyków?
To był główny zarzut, który można Mu było śmia-
ło uczynić, bo zarzut ten jest oparty na przekona-
niu narodowém. Inne jego zasady, a raczej wady,
jako nauczyciela, są już błędem jego własnego
kroju i odnoszą się do sposobu, w jakim wykła-
dał. – Tak ważny przedmiot jak Zasady Rządu
Państwa winien być głęboko obmyślany i wszech-
stronnie opracowany: w wykładzie takiego przed-
miotu winny mieć czynny udział i filozofia i
dzieje, i ekonomia polityczna i prawo obywatel-
skie, zgoła wszystko, co tylko może jaśniej wy-
datnić stosunki wzajemne obywateli kraju i po-
łożenie ich względem rządu, który powinien być
nie głową, ale treścią narodu. Takiego wykładu
pragnęliśmy i spodziewaliśmy się od P. Łaguny,
ale snać praca jego nie odpowiedziała zdolnoś-
ciom, bo nauki jego ograniczały się na streszczeniu
Dzienników praw, którémi rząd obcy zarzucił na-
szą społeczność. Główną jego myślą było – pobie-

rować nas na dobrych czynowników ruskich; taka praktyczność zastósowana do obecnego stanu rzeczy mogłaby zyskać pochwały u Kraszewskich i Korzeniowskich — ale wśród młodzieży, wśród polskiej młodzieży, dla której główne ukształcenie stanowi obywatelskość, nie mogła znaleźć i nie znalazła odgłosu. Czynownikiem zostać łatwo; dość na to wyuczyć pamięciowo dzienniki praw i przelać potem tę pamięć w praktykę pieniężną. Do takiej przyszłości niepotrzebne przewodnictwo. P. Łaguna bardzo się omylił, jeśli w nas tylko żądzę czynownikostwa spostrzegał.

Trzej byli nasi tegoroczni kształciciele; najwięcej pociągu wzbudzał Kawelin i Utin, najmniej zaś Łaguna, na którego naukach dość jałowych i suchych, po kilku zaledwie słuchaczy bywało.—

Ale jakiekolwiek byłyby przedmioty, jacykolwiek ich wykładacze, zawsze jednak w końcu, gdy przyjdzie pora wypytań, okazuje się jeden wynik, a tym wynikiem jest praca. Jakiem już wspominał nieco wyżej, zaraz po Wielkanocy zaczęliśmy przeglądać zapiski i im bardziej czas płynął, tem bardziej przysiadywaliśmy, jak to mówią, fałdów. Ja i Józef pracowaliśmy od rana do nocy; Jan choć więcej próżnował, ale nas zawsze doganiał, nagradzając pracę niezwykłemi zdolnościami; Papa

w swojem zaciszu zajął się również nauką i cały nasz odpoczynek składał się z kilku godzin snu i godzinki przeznaczonej na obiad, który był zarazem jedyną rozrywką. —

W czasie naszych przygotowań wychodzi nowa dla Wszechnicy ustawa, mocą której przechodowe z kursu na kurs wypytania zniesiono, pozostawiając tylko ostateczne, z których połowa miała być na drugim a połowa na czwartym kursie. Ponieważ ustawa ta była zastósowaną do wszystkich wydziałów, przeto mnóstwo młodzieży, zajętej przygotowaniem do wypytań, ucieszyło się nią bardzo. Co to była za radość Papy, kiedy się o tem dowiedział! Przyszedł zaraz do nas i zacierając ręce zawołał:

— A, kuję kowale! kujcie kowale — ja już kuć nie będę.

— Jak to? co, dla czego? zapytaliśmy go jednogłośnie.

— Bo egzamina 1 i 3 kursów są zniesione. I zaczął nam opowiadać treść całego ogłoszenia, które to jeszcze przynosiło ustawienie, że obecnych studentów 2 i 3. kursu zwalniało od powtarzania raz już przebytych wypytań. Ucieszyło to Słowińskiego niezmiernie, bo z obydwóch kursów wyszedł kandydatem. Tej radości bez granic nie mógł sam żadną miarą przetrawić i to śmiechem, to całowaniem, to różnorodnemi obja-

wami wesołości obchodzić tę szczęśliwą nowinę.
Co do nas, wyznać trzeba, żeśmy byli trochę smutni, bo jako drugokursiści musieliśmy przechodzić wypytania, do których teraz, widząc wyjeżdżających do domu towarzyszów, trudniej się było przygotowywać, ale konieczność zmusiła nas do żelaznej woli; przekonaliśmy siebie, że czy prędzej czy później wypytania przejść trzeba, a nadzieja ukończenia pożyczała nam cierpliwości.
Tak przeszliśmy dwa wypytania, z których Jan drugie opuścił, gdyż się źle z czasem rozrządził; zostawały więc jeszcze dwa drugie do ukończenia roku.
Ale przed nowem zajściem wybraliśmy się jeszcze na wieczorek pożegnalny, który dla nas Alexander z okoliczności wyjazdu wyprawiał.
Zeszliśmy się we (czwartek) czterech, przyszło jeszcze kilku innych towarzyszy i zasiedliśmy przy wspólnym stole studenckim. Krążył czaj, krążyły jedzenia, kurzyły się papierosy, ale nie było już tej wesołości co dawniej, bo jeszcze praca oczekiwała nas z powrotem. Papa starał się wszelkiemi sposobami rozweselać i wreszcie dokazał swego. Zaczęła płynąć rozmowa, to o naszych wypytaniach, to o odjeździe Papy, to o wolnych czasach i rozrywce w kraju i w zapomnieniu o pracy przebiegły nam chwile wieczorne. Pożegnaliśmy Słowińskiego życząc mu szczęśliwej drogi, i przed odjazdem jutrzejszym miał on nas jeszcze odwiedzić. —

Ale któż jutro przeczuje?
To jutro, które swobodnej głowie Alexandra zieleniło wiosną, odjazdu do kraju oczekiwającego nań z rozrywkami i przyjemnościami — przytłoczyło go tak nagle i niespodziewanie, że Słowiński zaledwie się nie oblał rozpaczą;
po południu, kiedyśmy byli najwięcej zajęci, Papa wpadł do nas z twarzą tak zakłopotaną, jakby popełnił jakiś czyn karygodny i niewiedział jak się zeń wybrnąć. Dowiedzieliśmy się od niego, że przed samą chwilą odjazdu doniesiono mu, że wskutek nowego rozporządzenia skarbokosztni studenci zostali wyjętymi z pod ogólnego prawa i obowiązani do corocznych wypytań. Papa był skarbokosztnym: spadł więc od razu z Zenitu na Nadyr; niedawno upojony nadzieją rychłego powitania domu, został jednochwilnie przybity do pracy. Ten cios, a cios tak niespodziewany niezmiernie go dotknął i jak to mówią, zbił z pantałyku; niewiedział co począć:
— Co ja zrobię! rzekł do nas z rozpaczą — do wyjazdu wszystko przygotowałem, gospodyni mieszkanie wymówiłem i już mi nie wywiesiła kartę... cóż ja teraz pocznę? zawód, kłopot, zapiski... A bodaj ich jasne pioruny, zatrzasły!! —
— Widzisz Papo, rzekliśmy mu na to — śmiałeś się z naszego kawalstwa, a teraz sam się musisz zabierać

do kuźni... Wprowadzaj się do nas i kuj! będziemy
ci dodawać otuchy... Papa w kłopotach! Ha-
ha-ha! papa w kłopotach!!
I zaśmialiśmy się głośno.
— Niema się z czego śmiać; mnie się na rozpacz
zbiera... Byłem u Andrzejewskiego /: sekretarza
wydziału/: przedstawiłem mu stan rzeczy, powie-
działem, że mam już zapłacone miejsce na poczcie..
— I cóż, i cóż? zapytaliśmy razem.
— A cóż... odpowiedział mi, że na to nic nie po-
radzi. Wystawił naprzód swoją linię pizys i oświad-
czył mi grzecznie, ale stanowczo: Jechać Pan nie
możesz wbrew rozporządzeniom, bo to zagraża
utratą skarbowego utrzymania! — Cóż mu na to
miałem powiedzieć?
— Ale wiecie co? przerwał nagle z nowym zwrotem-
ta żonka Andrzejewskiego, to wcale ładna kobieta!..
młodziutka, zgrabniutka... Andrzejewski nie
wart takiej żony...
— Jak widzę, rzekł Jan, — papa zawsze jednostronny,
wiecznie mu kobiety na myśli... On nawet na dnie
piekła gotów spoglądać na łydki... Ale nie zapa-
łaj się, Olesiu, bo tu teraz zapiski na scenie....
Mógłbyś stracić chęć do kuźni...
— I niezdać wypytań, dorzuciłem.
— I nie dostać przejścia, dodał Józef.
— I stracić stypendium — zakończył Jan.

— E! cóż to ma do tego! przerwał Słowiński niecierpliwie. Wszakże ja się Panią Andrejewską nie zajmuję wcale. A co do egzaminów naszego kursu, mnie się zdaje, że się odbędą pro forma...
— Tak, mogą się odbyć pozornie, ale na to liczyć niemożna..
— Zobaczymy, zobaczymy, jak to będzie... Ale ja się jeszcze pójdę prowiadywać.
Wypadł jak strzała z pokoju i poleciał na miasto.
Wieczorem przybiegł do Dwójki i rzekł stanowczo:
— Jadę! qui ne risque pas ci a rien — będę policzony do tych, których to fatalne ogłoszenie już nie zastało na miejscu. Żegnam was! do zobaczenia w Królestwie!
I rzeczywiście — po krótkiej chwili wyjechał. Mnie wtedy u Dwójki nie było, nie pożegnał się więc ze mną, za co miałem doń trochę żalu; zważając wszakże na pośpiech z jakim wyjeżdżał, postarałem go się sam przed sobą usprawiedliwić. —

— —

Wszyscy skarbokortni trzeciokursiści byli mniej więcej w tém samem położeniu: ci co byli przygotowani do podróży, postąpili tak samo jak Słowiński — ale ci, co zwlekali z wyjazdem, musieli się zatrzymać i odbyć wypytania. Kosztowało ich to niemało, bo stracić od razu usmiechającą się nadzieję, jest ciosem więcej przykrym, niż niespodziewanym. Dlatego też klęli okropnie: diabły i pio-

runy i wszelkiego rodzaju przekleństwa stali w poselstwie do całego areopagu Wszechnicbiego — niemniej przeto musieli się ugiąć przed twardym a koniecznym nakazem. —

Tymi też powoli odbyliśmy dwa ostatnie wypytania. Ja i Grot zaraz po ukończeniu naukowych kłopotów, zabraliśmy się do podróży; Jan musiał pozostać, bo odłożył przedmiot Kawelina i miał się z nim później ułatwić. —

— Żegnam was moi mili! rzekł do nas smutno przy wyjeździe, ujrzymy się przy końcu Czerwca.

— Dowidzenia Janie! a trzyj dobrze, abyś nie utonął przed brzegiem... Anetę porucznamy twojej pieczy — miej o niej i o sobie staranie. —

Rozstaliśmy się z Janem — dorożka powiozła nas na kolej żelazną. —

X.XVII.

Warszawa dnia 15 Lipca 1860 r.

Jestem więc znowu w Warszawie, a czas mi przechodzi wesoło w gronie różnorodnych zajęć i koleżeńskiej zabawy. Ranek i popołudnie przepędzam na umysłowych zatrudnieniach, wieczór przyjaciołom poświęcam. A moi przyjaciele nie są liczni: zawsze krążę w jednem kółku, ale za to kółku dobranem. Prócz Stacha i Bolesława, który na Wolne Czasy zjechał z Kijowa — należą doń jeszcze dwaj moi szkolni towarzysze a których dotąd nie opisywałem.

Są to: Władysław Stoczyński i Godzisław Potoże-wicz, Studenci Umiejętności lekarskiej.

Potożewicz, zwany pospolicie Godkiem, niewiele przedstawia barw, którymi bym mógł go odmalować. Dobry kolega i przyjaciel, do których to nazw przywięzuję szczerość i otwartość, lubiący pracy o tyle, o ile mu jest niezbędnie potrzebną; używający wszystkich darów młodości, ale zawsze, według przepisów uniwersytetowania; kawałek trzpiota z okruszynami woli i działalności, które zachowywał na konieczne potrzeby — oto w kilku słowach cały obraz Godka.

Ponieważ są to przymioty wspólne wielu ludziom, przeto nie widzę potrzeby ani ich objaśniać, ani rozwijać; malują one go zupełnie. Za to nad Stoczyńskim więcej się muszę rozpisać.

Był on z rodzaju tych ludzi, których z pozoru można sądzić za istotę bierną i mierną, ale poznawszy go bliżej, każdyby musiał zdanie swoje cofnąć. — Władek odznaczał się i hartem i pięknością duszy. Jego myśli, jego wyobrażenia były napojone zdrowym rozsądkiem — a obok rozsądku nie porzucił uczucia, bo serce miał otwarte i szczere. Nie umiał on swych myśli w bawełnę obwijać, ani też niedbał o względy — co na sercu, to i na języku, jak to mówią, było zawsze u niego i to mu, nie zważając na porywczość i drażliwość, jaką się niekiedy powodował — poczytać muszę za dodatnią stronę

ducha. — Jako obywatel był umiarkowanym republikaninem, jako członek stowarzyszenia dbał o swoją przyszłość o tyle, o ile warunki przez nią nałożone żądały od niego; jako kolega był jedynym z tych, którzy innym nieśli zawsze serce na dłoni; jako przyjaciel był stałym i szlachetnym. —
Dla przyjaźni gotów był na poświęcenie, ale przyjaźń była u niego drogim kamieniem, którego chciał poznać prawdziwość. Znał on różnicę przyjaźni od znajomości i dla tego też od przyjaciół żądał czegoś więcej od zwyczajnych wyrazów powstania pragnął wzajemności opartej na samopoznaniu jego duszy. Jeżeli go ktoś ocenić umiał — otwartość swoją znał o tyle, że wierzył w swoją szlachetność — to poświęcał mu w ofierze całe swoje serce, ale jeśli tego jednego w nim nie dojrzał, to gotów był na jednostronne stowarzyszenie z przyjaźni której dalej żadne inne uczucia nie były w stanie uzupełnić.
Ta strona jego charakteru bardzo mi się podobała, bo nie dość być otwartym i szczerym, nie dość żyć z ludźmi i przestawać z nimi przyjacielsko, ale trzeba umieć zawsze godność swoją w równowadze z godnością ogółu utrzymać. A godność taka znajdować się winna, nie na czczem samocenieniu, które zwykle bywa zarozumiałością i głupotą, ale na samopoznaniu własnej szlachetności, która winna być miarą duszy człowieka. —

Może on innym poświęcić swoję wolę, swoje cele, wszystko cokolwiek tylko ceni jako własności swojego umysłu i będzie to w danym rodzie ofiarą na ołtarzu przyjaźni złożoną - ale szlachetności własnej winien samą przyjaźń poświęcić. Bo kiedy szlachetność własna żąda takiej ofiary, to przyjaźń jest już niegodna tego imienia. Takie zasady miał Władek - poznałem je z kilku, a pozornie błahych zdarzeń jego życia, co pomnożyło mój dawny dla niego szacunek. -

W obejściu się był prostomyślny i niewykwintny w dobrze stylu, czegoru jednak za złe mieć nie można, bo przyjaźń daje prawo do niezachowywania żadnych względów. Wesołe żarciki, obleczone często w suknię dowcipu lub dowcipku, osnute siecią anegdotek dziejowych i piśmienniczych i okraszone własnemi uwagami, mającemi zawsze barwę żartobliwą, były suknią jego zwyczajnych rozmów; było to lubianem, było dowodem jego wesołości i swobody umysłu, ale może też to samo posłużyło nieznającym go bliżej do uznania go za mierności.

Takim był Władysław Stoczyński, jeden z pięciu moich najlepszych przyjaciół, w których kółku myśl moja najczęściej bujała. Obecnie po przyjeździe do kraju, często przestawałem z Władkiem, i towarzystwo jego stało się dla mnie prawie koniecznem.

Jedne usposobienia moralne, wiele wspólnych przekonań, tak politycznych jak i społecznych zbliżyły nas do siebie, aby zaprzęgnąć do pogawędki, do rozprawy o różnorodnych przedmiotach.—

W czem tylko głównie niemogłem się zgodzić, ani z Władkiem, ani z wielu innymi - to w przekonaniach filozoficznych. Ta część wiedzy stawszy się u mnie zupełnie odrębną, posłużyła do okrzyczenia mnie za dziwaka, a może za człowieka niezupełna rozumu. Ja wierzyłem w konieczność. Nie było to zwykłe przeznaczenie, tworzące sobie z ludzi i z ludzkości urabiać igraszkę; ja nie byłem fatalistą, każącym ludziom opuszczać ręce i obezwładnieć w nadziei na Fatum, — ale wierzyłem w niezbędną i nieodwołalną konieczność wszystkiego, co człowiek myśli, mówi i czyni. Sfera ducha, według moich przekonań, tak samo jest podległa, rozumnym i niezmiennym prawom, jak i sfera zmysłowa /: materia :/. Jak błyskawica, zawisła od pewnych danych, powstaje w oznaczonym czasie, miejscu i przestrzeni, tak i myśl, zawisła od pewnych źródła myśli, powstaje w oznaczonym czasie i zakresie. Dwie podobne myśli w podobnych okolicznościach i czasie zawsze sprowadzają zetknięcie się, a w skutek tego myśl trzecią, która jako wytrawniejsza może zrodzić

słowo, które pobudzi, jak myśl, przechodząc dro-
gę, jest początkiem czynu. — Wierząc w jedność du-
cha byłem tego przekonania, że człowiek i Bóstwo
są tejże samej istoty, że zatem myśl Bóstwa jest
zarazem myślą człowieka, choć działa tu już w
więcej zdrobnionym zakresie, bo też i ludzkość ca-
ła rozdrabnia się w myśli człowieka, sprowadza
jego czyn, w którym się urzeczywistnia; a ponieważ
wola ta jest niezmienną jako prawo, jako siła
wiecznotrwała, przeto w czynach ludzkich, które są
jéj wypływem, panuje jedna ogólna dźwiązania
i pomimo różnorodności nie sprowadza przecież
bezładu. Ale taka teorya nie mogła znaleźć popar-
cia. Zaprzeczenie bezwzględnej wolnej woli człowie-
kowi nie trafiało nikomu do przekonania, oburza-
no się owszem i krzyczano na mnie.—
— Coś ty u licha wymyślił? Jakże można człowie-
kowi woli zaprzeczyć, kiedy jawnie się okazuje,
że ją posiada? Zaprzeczać woli jestto człowieka
stawiać w gronie zwierząt!
— Bo i rzeczywiście jest zwierzęciem — odpierałem
im na to — jedyna różnica zachodzi w tém, że
człowiek jest najdoskonalszem zwierzęciem, mają-
cem o tyle np. wyższości nad koniem, o ile koń nad
pełzającym gadem lub rośliną. Nie dziwicie się,
że drzewo tak, a nie inaczej rośnie, rozwija się
w pączki ubiera, chociaż mu nie przyznajecie woli

czemuż się nie zgodzicie na to, że i myśli nasze według stałych praw płyną — że jak drzewem rządzą prawa przyrody, tak myślami człowieka niezmienne, konieczne prawa ducha! Przecież to nie jest tak dalekie od naszych pojęć! Dla czego człowiek w dzieciństwie jest niedołęgą umysłowym i rozwija się stopniowo duchem dojrzewając na ciele? Czyż to samo nie wskazuje nam wyraźnie, że w sferze ducha istnieją pewne stałe prawa i że te prawa są w powinowactwie z prawami przyrody? Dla czego nieraz myśli nasze krzyżują się jak pociski na polu bojowem; jedna drugiej wroga, chciałaby ją pognębić i zniszczyć do szczętu, a przecież musi się znaleźć silniejsza — i ta silniejsza bywa nieraz tą, która się z głównem przekonaniem niezgadza? — Dla czego nieraz wbrew naszym chęciom myślemy, mówimy i czynimy, czyż to nie jest dowodem, że cała nasza istota jest bierną i stósować się musi do wielkiej siły rządzącej, swojej pani niezmiennej, co nad Wszechświatem rozpościera skrzydła?

Takie i tym podobne myśli rzucałem na poparcie mych przekonań o konieczności. Ale konieczność pomieszano z Przeznaczeniem i nazwano mię Fatalistą, czego ja się najuroczyściej wypieram. Jest bowiem wielka różnica pomiędzy temi dwoma, na pozór blizkoznacznemi wyrazami. Przeznaczenie

jest to niejako wyrok, powstały z chwilowego kaprysu Rządcy Wszechświata, kiedy tymczasem Konieczność jestto jedno wielkie niezmienne prawo żyjące w Bóstwie, prawo z którego wszystko, cokolwiek świat myśli, mówi, czyni, czuje i żyje wysnuwa się powoli i niezmiennie. W Przeznaczeniu człowiek byłby tylko marną igraszką, - w Konieczności jest działaczem, jest wykonawcą planów, jakie w jego istocie przy samém powstaniu, wykreślone zostały. - Przeznaczenie, zależąc na kaprysie i igraszce dążyłoby do bezrządu, do ogólnego rozprzężenia, kiedy tymczasem Konieczność czyniąc wszystko według stałych praw sprowadza porządek i dźwiganie powszechne.

Z pomiędzy przeciwników mojej teoryi najwięcej zabawnym był Stacho. Nieraz kiedy przyszło o tem mowa wybuchał śmiechem na pół gniewnym:

— Ha-ha-ha! ten człowiek oszalał ze swojem Przeznaczeniem! Ha-ha-ha! - On nas czyni zwierzętami bezmyślnemi! To mię zaczyna potrosze i bawić i gniewać! mówił ze zwykłym sobie patetyzmem. A ja na to:

— Wolno wierzyć, jak ci się podoba: nie narzucam mego zdania nikomu... Nie wstydzę się jednak tego, co, jak ty mówisz, jest ubliżeniem godności człowieka, bo wierzę mocno w to,

XIV

co myślę i mówię: Gdyby wola w świecie była rozdrobniona na miljony i każda cząstka niezawisle i odrębnie działała, to byłby ogromny bezrząd, ogromne rozprężenia, a Bogu by czasu zbrakło, gdyby miał ciągle myśleć o tem, jak wywracany ciągle porządek naprawiać!

Na to wszyscy słuchacze uśmiech; rozprawa przechodziła różne zwroty, ale pospolicie kończyła się na tem, że jeden drugiego nie przekonał. Tak to zwykle bywa i żaden świeży pomysł nie zyskał od razu zwolenników — jakżeby więc moja teorja miałaby być pod tym względem szczęśliwszą? Kiedy nawet jest mniej dla pojęć ludzkich przystępną bo obala wolną wolę człowieka?

Do wyrobienia sobie podobnej teoryi przyszedłem w przeciągu lat kilku. Niezgodność zasad i prawdeł religijnych była wstępem do moich filozoficznych rozmyślań. Wyidealizowawszy sobie Bóstwo, jako Istotę Wszech potężną a niezmienną, nie mogłem żadną miarą pogodzić tego pojęcia z bezwzględną wolą człowieka. Jedno z tych dwóch pojęć musiało zostać zwycięzcą w moim umyśle, zwycięstwo to przechyliło się na stronę Bóstwa, które upostaciowałem jako niezmienną konieczność. — Obróciłem potem do utwierdzenia się w

tem przekonaniu potwierdziły mi Dzieje, które przez cały ciąg moich nauk, były mi najulubieńszym przedmiotem. Badając je, rozbierając wypadki dziejowe i szukając w nich stałej łączącej nici, przychodziłem tym sposobem do odgadywania głównych sprężyn, głównego źródła przewrotów dziejowych – dojrzałem ogólną dźwignię w całym ogromie przeszłości i dźwignia ta utwierdziła mię stanowczo w raz powziętem przekonaniu. Bo to co w pojedyńczych wypadkach zdawało mi się dziwnem, przedstawiło mi się zawsze rozumnem, ile razy rozbierałem je w towarzystwie całego ogromu przyczyn i wyników – a przedstawiwszy się rozumnym w ogromie, zrodziło we mnie przekonanie, że i burze pojedyńczo, odrębnie nie może być pustem i bez znaczenia. Badając i rozbierając powszechność dziejów widziałem, że zarówno złe i dobre wspomagają się wzajemnie i dążą do jednych wielkich wypadków – a więc różnica pomiędzy złem i dobrem znikła w moim umyśle i przedstawiła się tylko jako ujemne i dodatnie struny jednej wielkiej dźwigni świata. – Ci co brali rzeczy powierzchownie musieli mię osądzić za dziwaka; gdyby byli zechcieli zagłębić się, tak jak ja, w myślach i zastanowić systematycznie nad tak ważnym przedmiotem, byliby może

ogłędniejsi w dawaniu sądu o mojej teoryi i
jeżeli niezgodziliby się ze mną w wielu przedmiotach, ale przyznać by musieli, że myśli moje nie były wypływem rozgorączkowanej wyobraźni, ale skutkiem pracy umysłowej, która pochwytując i rozbierając treść depce wszelkie marne i zwodnicze pozory.

Tyle o mojej teoryi. Pomieściłem o niej słów kilka w tych dziejach mojego życia, bo też ona zajmowała i zajmuje mię żywo. Niejedną ja chwilę poświęciłem rozmyślaniom i niejedną myśl świata przetrawiłem w swym umyśle; uważam więc swoją pracę jako godną zająć miejsce na tych stronach, na których moje życie maluję. Przyjdzie może czas, że to ziarno, które dzisiaj uprawiam, wyda jaki plon dla społeczności; może tym chlebem, którym się dzisiaj sam żywię, udzielę społeczności cząstkę i rzucę grosz wdowi do ogólnej świata skarbnicy... Tyle już było filozoficznych teoryj, że możnaby z nich stworzyć mozajkę niedościgłej wszechwiedzy; jedna za drugą upadła, ale każda wywarła jakiś wpływ i jak matka w chwili bólu nieprzerwanego ciężonego porodu, dała życie nowym myślom, przenosząc się sama w sferę śmierci... Nie jestem tyle zarozumiały, abym sądził że moja jest bezwzględnym świata pewnikiem – dość kiedy

dla mnie wystarcza — zadowalam się tem dostatecznie... Dla świata posłużyć ona może tylko za nowy krok na umysłowej drodze; z kości mojej myśli wykwitnie może nauka doskonalsza i wierniejsza, a wtedy choć już tego niedoczekam, cieszyć się będzie duch mój, że w chwilach ziemskiej pielgrzymki dorzucił choć jedną cegiełkę do gmachu doskonałości! A to jedno przekonanie potwierdza zarazem tę myśl moją, że wszystko, co się dzieje na świecie nie jest bez znaczenia i bez skutków, że wszystko dąży do doskonałości i z niej czerpie siły, a tą doskonałością jest Ideał, jest Bóstwo dotąd stanowczo nie pojęte i nie określone, ale będące wiecznie zapałem i popędem dla Ludzkości.—

Zastanawianie się umysłowe — polityka, filozofia i dzieje, badanie stosunku tych trzech dźwigni przyszłego rozwoju świata do obecnego stanu społeczności zajmowały i zajmują najwięcej chwil mojego życia.— Tak ważne zadanie jak podniesienie się uśpionych dotąd narodowości, zadanie rozwinięte w początkach obecnego stulecia, a przelane w czyn dziejowemi wypadkami, nie mogło niezająć mojego umysłu i niezachwycić mojej duszy. Powstańczy odgłos wszelkich pułków śpieszących na wyzwolenie Ojczyzny, brzęki pokruszonych kajdanów

i przerażające krzyki upadającego despotyzmu rwały moje piersi w niewysłowionej, a dawno oczekiwanej rozkoszy... Każde zwycięstwo Garibaldego, każdy tryumf Piemontu, każdy stanowczy krok Napoleona, Emanuela i Cavoura był dla mnie nowym nadziei promieniem! Bo ja wierzę w związek dziejów świata, ja wierzę, że każda kropla odmłodnionej krwi włoskiej dodaje dzielności sarmackiej młodzieży, ja wierzę, że każdy swobodny okrzyk w Appeninach przenosi swój odgłos w tajemnicze kryjówki Karpatów i litewskich borów; ja wierzę, że Po szumi tą samą pieśnią, co Wisła, co Dniepr, i co Dźwina; ja wierzę, że zatknięcie trójkolorowej chorągwi na szczytach Kapitolu jest chwilą ocucenia białego ptaka, co dotąd bezczynny smuci na Wawelu! Dlatego to każda wieść z nad brzegów Sekwany i Adrjatyku wszystkie moje zmysły w ruch zmienia; dlatego to każdy numer Gazety chwytam niecierpliwie do rąk drżących, wezbraniem nadziei i wszystkie moje myśli, cały mój słuch dzisiaj przelata po przyszłych tańcach europejskiego boju, co w krótce świat cały odmłodni! —









